



Agata Grzelińska

TO BYŁO JAK LĄDOWANIE NA KSIĘŻYCU

Wspomnienia lubińskich samorządowców z pierwszej kadencji 1990–1994

Lubin 2020



Muzeum Historyczne w Lubinie

Agata Grzebińska



To było jak lądowanie na Księżycu

Wspomnienia lubińskich samorządowców z pierwszej kadencji 1990–1994



Muzeum Historyczne w Lubinie

Lubin 2020



Spis treści

Wstęp	5	Janusz Lipiński	Urok wielkich zmian	58
Zarząd Miasta Lubina w latach 1990–1994 (skład)	6	Krzysztof Machajek	Pod jednym szyldem	59
Rada Miejska Lubina w latach 1990–1994 (skład)	7	Jerzy Marciniak	Myślami zostałem w Lubinie	61
Kalendarium samorządu lubińskiego w latach 1990–1994	8	Władysław Mikulski	Ludzie byli pełni zapału	62
To była rewolucja		Jan Mowiński	Trochę jak saperzy	63
Wywiad z Robertem Raczyńskim , prezydentem Lubina	11	Elżbieta Palej	Wtedy wszyscy byliśmy razem	66
Tadeusz Maćkała		Stefan Patralski	Do jednej bramki	69
Gorączka tworzenia	15	Edward Rewers	Pomnik dla poległych	72
Tadeusz Bączkowski		Małgorzata Rudniewska-Przygoda	Polityczna dziura w drodze	73
Spisaliśmy każdy skrawek ziemi	19	Zofia Sarna	Tylko na sto procent	75
Aleksandra Dąbrowska		Karol Seweryniak	Codziennosc na drugim planie	76
Wreszcie miasto było nasze	21	Danuta Sołtysiak	Jeden procent na zdrowie	77
Dariusz Milka		Marian Szmigiel	Mogliśmy zrobić więcej	78
Wierzyliśmy, że zmieniamy świat	24	Zbigniew Szpich	Czas wielkiego uniesienia	81
Zbigniew Kot		Zbigniew Szykułski	Zainteresowany człowiekiem	82
Skok na głęboką wodę	27	Władysław Trent	W 1990 roku zaczęliśmy budować nowe	83
Władysław Szczotka		Jarosław Wantuła	Byliśmy wybrańcami ludzi. Dosłownie	84
Zawsze pochłonięty pracą	29	Józef Wawrzyniak	Żyliśmy problemami miasta	86
Paweł Niewodniczański		Henryk Wojtuściszyn	Zielona gwardia z wielkim zapałem	89
Wszystko ludzi interesowało	30	Antoni Wysocki	Czuliśmy powagę chwili	91
Helena Hatka		Józef Wyspiański	Chciałem patrzeć na ręce	94
Pierwszy prawdziwy przejaw wolnej Polski	34	Edward Zaczyński	Mądre kobiety, utrudniacze i kielich	96
Józef Pleśniak		Jan Zimroz	Czas budowania	98
Główny energetyk na cenzurowanym	37	Stanisław Dobrowolski	Niby przypadkowi ludzie, a same tuzy	101
Henryk Bober				
Poruszyć zegar na kościelnej wieży	38			
Artur Dubiński				
Chcesz coś zmienić? To startuj!	41			
Waldemar Flądro				
Choroba wieku dziecięcego	45			
Ryszard Janeczek				
Entuzjazm w czasach, gdy nic nie było oczywiste	47			
Dariusz Jankowski				
Czuliśmy, że razem możemy coś zmienić	48			
Zdzisław Jarosz				
Serce na dłoni	49			
Czesław Klemaszewski				
Ordynator z misją	50			
Zbigniew Korczowski				
W samorządzie nowej generacji	53			
Leon Kossowski				
Tamta rada była najlepsza	55			
Piotr Langner				
Nie traciliśmy czasu				



■ Wstęp

To było trochę jak lądowanie na Księżycu – powiedział jeden z moich rozmówców, radny pierwszej kadencji samorządu lubińskiego o sytuacji, w jakiej przyszło im rządzić miastem. Przesadne porównanie? Niekoniecznie. Zaledwie 8 lat wcześniej na ulicach Lubina z rąk milicjantów zginęli ludzie. Od kilkunastu miesięcy Polska była wprawdzie wolnym krajem, ale w pobliskiej Legnicy wciąż stacjonowały radzieckie wojska. I wciąż dochodziło do zdarzeń takich, jak to opisane w drugim numerze *Biuletynu Lubińskiego* z 1991 roku: „4 września o godz. 21.20 szeregowiec armii radzieckiej oddał z okna wagonu kilka strzałów do chuliganów – kibiców Zagłębia Lubin. Następnie wybiegł na peron, gdzie padła druga seria. Na szczęście żadna z 13 kul nikogo nie ugodziła”. Była więc wolność, ale nie poczucie bezpieczeństwa.

Miejska kasa świeciła pustkami. Tygodnik *Konkrety* 19 października 1990 informował, że „Zarząd miasta w Lubinie rozważa możliwość zwrócenia się do rady miasta z wnioskiem o zawieszenie prac organów samorządu. Powodem jest katastrofalna sytuacja finansowa miasta i brak reakcji agend rządowych na podobne położenie gmin w całym kraju”. Brakowało pieniędzy, ale ludzie mieli wielki zapał do pracy. Nie było jasnych przepisów, komputerów, internetu, telefonów komórkowych, a stacjonarnymi dysponowali nieliczni. Lubinian, jak ogromną większość Polaków, przepełniała jednak wiara, że wszystko jest możliwe i radość, że wreszcie mogą sami decydować o sobie i swoim mieście. Na każdym kroku, z każdego kąta wyłaniały się trudności, braki, niewiadome, ale – niezależnie od poglądów – tych, którzy przejęli władzę i stanęli przed wielkim wyzwaniem, łączyło poczucie wspólnego celu.

Tylko i aż trzy dekady temu Lubin, Polska i świat wyglądały zupełnie inaczej. Trzydzieści lat to niby niewiele, ale jeśli spojrzysz na skalę zmian, jakie w tym czasie zaszły, okazuje się, że oddziela nas od nich prawdziwa epokowa przepaść. I właśnie o tym jest ta książka. O Lubinie z początku lat 90. XX wieku. O mieście, w którym – jeśli moglibyśmy w jakiś magiczny sposób cofnąć się w czasie – bardzo trudno byłoby

nam się odnaleźć, które trudno byłoby poznać. O tworzeniu samorządu od zera, wytyczaniu szlaków, ustalaniu zasad, opracowywaniu wytycznych. O wielkich wyzwaniach, jak restrukturyzacja gigantycznego przedsiębiorstwa w momencie, kiedy ludzi najbardziej przerażało widmo bezrobocia. O walce z postępującą biedą, wykluczeniem (wtedy chyba nikt nie używał takiego słowa), przestępczością, zapaścią gospodarczą. O budowaniu w tych trudnych warunkach podstaw nowoczesnego miasta. Przede wszystkim jednak jest to książka o niezwykłych ludziach – odważnych, przebojowych, pracowitych, tryskających pomysłami, pełnych zaangażowania i zapału do ciężkiej pracy, a do tego niemyślących o korzyściach własnych. O ludziach, którzy nie bali się wyzwań i potrafili oddać innym mnóstwo swojego czasu i energii za darmo, nawet kosztem swoich najbliższych. Mimo nieraz bardzo zdecydowanych różnic w poglądach działali razem dla wspólnego dobra, dla Lubina. Nieprawdopodobne? Zbyt piękne? A jednak prawdziwe.

Zanim oddam głos tym, dzięki którym Lubin dziś jest miastem nowoczesnym, kilka słów wprowadzenia. Impulsem do zebrania wspomnień członków zarządu miasta i radnych z lat 1990–1994 jest przypadająca w 2020 roku 30. rocznica pierwszych wyborów samorządowych. W tamtym czasie zarząd miasta liczył 7 osób, a radnych miejskich było 40. Część z nich pełniła dwie funkcje: radnego i członka zarządu. Niestety, czas płynie i nie ma już wśród nas dziewięcioro osób z tego szacownego grona. Z żyjących prawie nikt nie odmówił podzielenia się swoimi wspomnieniami, za co wszystkim ogromnie dziękuję. Na rozmowę nie zgodziła się tylko jedna osoba. Jest też jeden głos spoza rady i zarządu – kierownika biura rady miejskiej. Na podobny zestaw pytań każdy z rozmówców odpowiedział inaczej, bardzo ciekawie, osobiście, nie ukrywając emocji i swoich ocen. Jaka opowieść się z tego ułożyła? Proszę się przekonać osobiście. Zapraszam do lektury.

Agata Grzeleńska



Zarząd Miasta Lubina w latach 1990–1994 (skład)

Robert Raczyński – prezydent
Tadeusz Maćkała – wiceprezydent
śp. Władysław Szczotka – wiceprezydent
Tadeusz Bączkowski – członek zarządu
Aleksandra Dąbrowska-Chwastek – członek zarządu
Dariusz Milka – członek zarządu
Zbigniew Kot – członek zarządu



Rada Miejska Lubina w latach 1990–1994 (skład)

Paweł Niewodniczański – przewodniczący
Helena Hatka – wiceprzewodnicząca
śp. Józef Pleśniak – wiceprzewodniczący

Tadeusz Bączkowski
Henryk Bober
Aleksandra Dąbrowska-Chwastek
Artur Dubiński
Waldemar Flądro
Ryszard Janeczek
Dariusz Jankowski
Stanisława Kalista (od 18.01.1994)
śp. Zdzisław Jarosz
śp. Czesław Klemaszewski
Zbigniew Korczowski
Leon Kossowski
Zbigniew Kot
Piotr Langner
Janusz Lipiński
Krzysztof Machajek
śp. Jerzy Marciniak
Władysław Mikulski

Dariusz Milka
Jan Mowiński (od 06.04.1993)
Elżbieta Palej
Stefan Patralski
Robert Raczyński
Edward Rewers
Małgorzata Rudniewska-Przygoda
śp. Zofia Sarna
śp. Karol Seweryniak
Danuta Sołtysiak
Marian Szmigiel
Zbigniew Szpich
śp. Zbigniew Szykulski
Władysław Trent
Jarosław Wantuła
Józef Wawrzyniak
Henryk Wojtuściszyn
Antoni Wysocki
Józef Wyspiański
Edward Zaczyński
Jan Zimroz



Kalendarium samorządu lubińskiego w latach 1990–1994 (wybrane wydarzenia, o których opowiadają radni miejscy i członkowie zarządu miasta pierwszej kadencji)

1990

27 maja

Pierwsze wybory samorządowe. Frekwencja: 36,6 %. Wyniki: Komitet Obywatelski „Solidarność” – 34 radnych, Demokratyczna Lista Obywatelska (SdRP, SD i Laikat Prawosławny) – 4 radnych, Ludowo-Narodowa Lista Obywatelska – 1 radny, Lista z Woli Mieszkańców – 1 radny.

7 czerwca

Pierwsza sesja Rady Miejskiej Lubina, wybór Prezydenta Miasta Lubina i Zarządu Miasta Lubina, a także przewodniczącego i wiceprzewodniczących rady oraz kierownika urzędu stanu cywilnego.

17 grudnia

Rada Miejska Lubina podjęła uchwałę o zmianie herbu miasta. Przywrócono historyczny herb, oto wyjaśnienie jego symboliki: „orzeł z sierpem księżycowym przez skrzydła wskazuje na przynależność miasta do Piastów legnickich (władcy do 1675 r.). Popiersie Madonny umieszczone w miejscu głowy orła nawiązuje do patronki najstarszego kościoła parafialnego w Lubinie pod wezwaniem Panny Marii i w tym motywie patrona symbolizuje miasto i jego samorząd od czasów piastowskich”. (*Biuletyn Lubiński*, nr 1, sierpień 1991).

1991

1 lutego

Utworzono Dzienny Ośrodek Adaptacyjno-Rehabilitacyjny dla Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej. To pierwsza i jedyna w Polsce prowadzona w pełni przez samorząd placówka tego typu.

luty

Miasto Lubin wspólnie z KGHM, Bankiem Handlowym i Miastem Głogów utworzyły Cuprum Bank SA Miał na swoją siedzibę m.in. w lubińskim ratuszu.

Rozpoczął się proces prywatyzacji/likwidacji Przedsiębiorstwa Realizacji Inwestycji Miejskich (PRIM).

17 maja

Prezydent Miasta Lubina jako pierwszy w Polsce powołał straż miejską. Została zlikwidowana 25 lat później.

25 czerwca

Rada miejska podjęła uchwałę w sprawie zmiany ogólnego planu zagospodarowania przestrzennego miasta.

1 lipca

Komisja Rozwoju Rady Miejskiej Lubina przyjęła wniosek, który w efekcie doprowadził do przyjęcia zasady przetargu jako obowiązującej formy zlecania zadań inwestycyjnych w mieście.

1 sierpnia

Ukazał się pierwszy numer *Biuletynu Lubińskiego*.

31 sierpnia

Wojewoda Legnicki i Prezydent Miasta Lubina podpisali porozumienie w sprawie powierzenia Prezydentowi funkcji zarządcy dróg krajowych i wojewódzkich na terenie miasta.

wrzesień

Rozpoczęły się prace przy budowie pomnika Pamięci Ofiar Lubina '82.

4 listopada

W Sądzie Rejonowym w Legnicy zarejestrowana została Agencja Rozwoju Regionalnego „Arleg”. Jednym z jej założycieli było Miasto Lubin.

1992

luty

Władze miasta rozpoczęły proces restrukturyzacji Lubińskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego.

Utworzono Zakład Drogowy przy urzędzie miasta.

maj

Otwarto Dom Dziennego Pobytu „Senior”.

28 maja

Stanisław Śnieg otrzymał Nagrodę Miasta Lubina. Był w mieście symbolem walki o wolność, współtwórcą lubińskiej „Solidarności” i autorem książki *Alarm dla miasta Lubina* o Zbrodni Lubińskiej.

1 lipca

Zakończyła się budowa wysypiska komunalnego.

31 sierpnia

Odstłonięty został pomnik Pamięci Ofiar Lubina '82.

15 września

Rada miejska podjęła uchwałę o zmianie nazw ulic: Lenina na Bankową, 22 lipca na Sybiraków, Marcellego Nowotki na Śląską, Janka Krasickiego na Ignacego Krasickiego, Karola Świerczewskiego na Sudecką, Armii Czerwonej na Armii Krajowej, Aleksandra Zawadzkiego na Ignacego Paderewskiego, Hanki Sawickiej na Księcia Ludwika, Wincentego Pstrowskiego na Kazimierza Wielkiego, 11 lutego na Stanisława Staszica.

1993

16 marca

Rada miejska przyjęła uchwałę w sprawie przekształcenia Lubińskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego.

1 kwietnia

Lubińskie Przedsiębiorstwo Komunalne zostało postawione w stan likwidacji.

■ 1 maja

Rozpoczął działalność Zakład Zieleni Miejskiej i Usług Komunalnych „Ileks” – spółka powstała na bazie restrukturyzowanego LPK.

Powstał (jako spółka, na bazie LPK) Zakład Remontowo-Budowlany „Dek-Mal”.

■ 27 maja

Laureatem Nagrody Miasta Lubina został Jan Biliński, historyk, kronikarz miasta, autor książek o Lubinie.

22 czerwca

Rada miejska powołała do życia spółkę Lubińskie Parkingi Miejskie.

czerwiec

Zakończono remont dwóch wiaduktów w ciągu ulicy Bema – nad torami kolejowymi i nad drogą krajową nr 3.

1 września

Rozpoczęły się lekcje w Szkole Podstawowej nr 4, pierwszej wybudowanej, wyposażonej i prowadzonej przez samorząd lubiński.

28 lipca

Zarejestrowana została Telewizja Regionalna Województwa Legnickiego w Lubinie.

1 listopada

Działalność rozpoczęły: Zarząd Cmentarzy Komunalnych i Zakład Gospodarki Mieszkaniowej (oba utworzone w wyniku restrukturyzacji LPK).

28 grudnia

Rada miejska uchwaliła powołanie Miejskiego Ośrodka Profilaktyki i Wczesnej Terapii Uzależnień.

1994

1 marca

Na bazie LPK powstało Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania, Składowania i Przeróbki Odpadów Stałych (od maja 1996 roku spółka nosi nazwę Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Odpadami „MUNDO”).

22 marca

Rada miejska podjęła uchwałę w sprawie emisji obligacji imiennych Gminy Miejskiej Lubin, dzięki którym mieszkańcy Lubina mogli wykupić mieszkania komunalne na własność.

1 kwietnia

Na bazie LKP powstała spółka Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji w Lubinie.

19 maja

Nagrodę Miasta Lubina otrzymał Aleksander Płotnicki, psycholog, współzałożyciel i pracownik Ośrodka Fundacji im. Brata Alberta w Lubinie.

19 czerwca

Odbyły się wybory samorządowe na drugą kadencję. Tym samym zakończyła się pierwsza kadencja samorządu lubińskiego. Prezydent Miasta Lubina, Zarząd Miasta Lubina i Rada Miejska Lubina z niezmienionym prezydium przetrwali cztery lata, co wówczas było ewenementem. W tym czasie w Polsce urzędowało aż sześciu premierów, dwóch prezydentów i trzy parlamenty (za: *Biuletyn Lubiński*, nr 37, maj 1994).

■ To była rewolucja

O przygotowaniach do przejęcia władzy, wyborach, pierwszych decyzjach i błędach, których uniknięto tylko w Lubinie, opowiada prezydent **Robert Raczyński**, w 1990 roku najmłodszy prezydent miasta w Polsce.

Jak 30 lat temu został Pan najmłodszym prezydentem w Polsce?

Byłem szefem lubińskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, więc równocześnie naturalnym, wręcz oczywistym kandydatem na to stanowisko. Prezydentem mogłem zostać już rok wcześniej.

W jaki sposób?

Komitety obywatelskie, które były tworzone przed wyborami parlamentarnymi 1989 roku, przetrwały i zaczęły uczestniczyć w życiu politycznym. Można powiedzieć, że zaczęły się rozpychać. Partia komunistyczna zanikała jako organ polityczny w Polsce i w to miejsce naturalnie wlewały się komitety obywatelskie. Oczywiście był nad tym nadzór polityczny, zawsze jest, po to właśnie istnieje władza. Kiedy więc zmiany były nieuniknione, władza polityczna przyjęła wobec nich kilka różnych rozwiązań. Przykłady mieliśmy w trzech prezydenckich miastach byłego województwa legnickiego. W Głogowie komitety obywatelskie porozumiały się z ówczesną władzą i zdecydowano, że pozostał dotychczasowy prezydent Jacek Zieliński, który zresztą rządził do 1998 roku. Wiceprezydentami zostali natomiast ludzie z ramienia komitetów obywatelskich. W Legnicy przyjęto inny model – zostawiono wiceprezydentów, a wymieniono prezydenta. Został nim Tadeusz Pokrywka, który jednak był nominatem systemu politycznego sprzed 1989 roku.

1989 rok to jeszcze czas, gdy nie było samorządów.

Były tak zwane TOAP-y, czyli terenowe organy administracji państwowej, a prezydentów i wiceprezydentów powoły-

wali wojewodowie. To się marzy PIS-owi. Wprawdzie były wybory radnych, ale administrację powoływało państwo. I w myśl tej zasady ówczesny wojewoda legnicki na wniosek nowych sił politycznych dokonał wspomnianych zmian w tych dwóch miastach. Mnie, jako szefowi komitetu, również zaproponował podobną zmianę, ale się nie zgodziłem.

Dlaczego?

Powiedziałem, że władza, która ma dokonywać zmian, musi przejść tryb wyborczy, bo inaczej nie ma prawa do takich działań. Co to za mandat do kierowania samorządem bez wsparcia wyborczego? Władza z nominacji partyjnej, niewybrana demokratycznie jest po prostu słaba.

Czyli chciał Pan władzy, ale mocnej z mandatem od ludzi, nie od partii?

Chciałem po prostu rządzić. Pycha i próżność (*śmiech*). Mnie nigdy nie interesowało reprezentowanie. Mnie interesowało rządzić i reprezentowanie. Dotychczasowe władze lokalne jedynie reprezentowały administrację państwa w terenie. Miały więc inne cele, hierarchiczne i były uzależnione od rządu. Dlatego, gdy wojewoda zaproponował mi zmianę, powiedziałem mu: „Panie wojewodo, władza, która nie jest wybrana, nie ma mandatu do zmian. W związku z czym ja nie wyobrażam sobie takiej sytuacji, że będę reprezentował władzę państwa w terenie. Ja chcę rządzić”. I odmówiłem. Większość była zdziwiona taką decyzją. W efekcie w Lubinie nie doszło do wymiany prezydenta, nadal tę funkcję pełnił Ryszard Maraszek. Lubin był jedynym miastem w województwie legnickim, gdzie nie doszło do wymiany politycznej. Bo pilnowałem tego, żeby zmiany nastąpiły tylko w wyniku procesu demokratycznego.

Ale miał Pan pewność, że to się stanie? Chciał rządzić i odmówił bez gwarancji, że dostanie drugą szansę?

Tak. Nie miałem ani pewności, ani gwarancji. Nie wiedziałem, że wybory będą za pół roku, ale byłem przekonany, że one muszą nastąpić. Nie wiedziałem tylko, kiedy. To się stało kilka miesięcy później, w styczniu lub lutym 1990 roku. Dowiedzieliśmy się, że będą wybory samorządowe, do których od razu zaczęliśmy się przygotowywać.

Jak te przygotowania wyglądały?

Zebrałem kandydatów na radnych i zaczęliśmy się szkolić. Znów jako jedyni w województwie przygotowaliśmy się do przejścia władzy.

Jak Pan wybierał kandydatów na radnych?

Sami się wybrali. Wszyscy kandydaci przyszli na jedną salę. Było ponad 100 osób z rekomendacji komitetów, związków zawodowych „Solidarność” i innych organizacji. Dominowała Solidarność, zresztą przecież tak się nazywaliśmy – Związek Komitetów „Solidarność”. Naszym naturalnym zapleczem w zakładach pracy były związki zawodowe, które rekomendowały swoich chętnych do rady miasta. Przyszli i głosowali. To były niesamowicie demokratyczne wybory. Wszyscy oczekiwali, że to ja przygotuję listy, ale odmówiłem. Powiedziałem: „Ja państwa nie znam, więc trudno, żebym to ja dokonał wyboru. Najlepiej będzie, jak państwo się sami zweryfikują”. I proszę mi uwierzyć, że naprawdę wybrali najlepszych.

To były prawyborcy.

Pierwsze wolne wybory na tym terenie. Ludzie sami siebie wybrali. Nie przygotowywałem żadnej listy. Oczywiście potem kolejność na liście to już ja ustalałem. Ale skoro przeszło 90 procent kandydatów, to jakie to miało znaczenie, kto był na którym miejscu.

Jak wyglądały przygotowania do przejścia władzy?

Jeździliśmy na szkolenia, czym jest radny, czym się zajmuje, jakie są problemy. To były szkolenia organizowane, jak pamiętam, w Żaganiu przez fundację powołaną przez ministra Reguńskiego. Później też przyjeżdżali do nas do komitetów eksperci i my, jako jedyni w Zagłębiu Miedziowym, przygotowaliśmy statuty, jedyni dokonaliśmy wymiany wszystkich władz miejskich na pierwszej sesji. Nigdzie tego nie zrobiono – tylko w Lubinie. Przeważnie na pierwszej sesji w innych miastach wybierano tylko przewodniczącego rady. U nas wybrano wszystkich: przewodniczącego, wiceprzewodniczących rady, prezydenta, wiceprezydentów i zarząd miasta, szefów komisji. Dlatego, że mieliśmy już przygotowane uchwały. Weszliśmy na pierwsze posiedzenie sesji ze wszyst-

kimi niezbędnymi dokumentami, wcześniej opracowanymi. To było szokiem dla wszystkich urzędników w województwie legnickim. Jak mówiłem, byliśmy przygotowani do przejścia władzy. I nie popełniliśmy błędu, do którego doszło w wielu polskich miastach.

Jaki to błąd, którego Państwo uniknęli?

Wybraliśmy kierownika urzędu stanu cywilnego.

Dlaczego to takie istotne?

Dlatego, że kadencja kierownika tego urzędu wygasła automatycznie z końcem kadencji poprzedniej rady miejskiej, wtedy jeszcze miejskiej rady narodowej. W miastach, w których nie powołano od razu nowego kierownika USC, udzielane w tym czasie śluby były nieważne. Śluby w Lubinie, rejestrowane już po wyborach, były legalne. Taka sytuacja panowała tylko w Lubinie. Przez dwa tygodnie w wielu miastach, gdzie samorządy nie wybrały nowego kierownika urzędu stanu cywilnego, trzeba było powtarzać śluby. I wystawiać wszelkie inne w tym czasie wydane przez USC dokumenty, jak akty urodzenia czy akty zgonu. Taki cyrk trwał w Polsce trzy miesiące. Nie dotyczył on tylko Lubina.

Szkolenia to nie wszystko, było też praktyczne przygotowanie do pracy w radzie – na sesjach, w komisjach.

Jak mówiłem, przed wyborami nie uczestniczyliśmy w rządzeniu, ale poważnie się do tego szykowaliśmy, określiliśmy swoje zadania, mieliśmy cel. Kandydaci na radnych chodzili na sesje starej rady i słuchali, czym oni się zajmowali, patrzyli, jak działają komisje, jakie są problemy w mieście. Uczestniczyliśmy w tych posiedzeniach jako ciała społeczne, obserwatorzy bez prawa głosu. Chociaż dostałem propozycję uczestniczenia z prawem głosu. Był taki przepis, który umożliwiał powołanie do prezydium osoby spoza rady. Zresztą obowiązywał on jeszcze w pierwszej kadencji 1990–1994 – na jego podstawie można było zostać radnym spoza rady. Nie miało się prawa głosowania w sprawach podejmowanych na sesjach plenarnych, ale można było brać udział w tych obradach i być członkiem komisji rady. Odmówiłem, bo nie miałem mandatu do sprawowania władzy. Zdecydowałem, że zaczekam.

Czyli jednak miał Pan wewnętrzną pewność, że wcześniej czy później dojdzie do władzy i zostanie prezydentem.

Wszyscy wiedzieli, że zostanę prezydentem. W związku z tym oswajali się oni i oswajałem się ja. To było naturalne. Jestem przekonany, że większość ludzi biorących udział w tamtych przemianach tak myślała. Nie rozmawiałem nigdy z nimi o tym, ale to było tak naturalne, że nawet nie było poszukiwania innego kandydata. Proszę nie zapominać, że miałem olbrzymią przewagę wiedzy nad innymi, bo wiedziałem, jak działa państwo polskie, mimo że byłem młodszy. Większość radnych to byli ludzie z przemysłu, nie wiedzieli, jak działa administracja, bo się tym nie zajmowali. Nie wiedzieli tak do końca, czym się zajmuje samorząd. To były sfery, w których większość Polaków dotąd nie uczestniczyła, bo nie mogła. Dlaczego więc mieli się interesować sferą życia publicznego, skoro nie mogli w niej uczestniczyć? Dzisiaj brzmi to jak pycha i próżność, ale proszę nie zapominać, że to był okres rewolucji. A w czasie rewolucji wątpliwości nie istnieją. Nikt nawet nie stawia pytań, ona się po prostu dzieje. I tak było wtedy, działa się rewolucja. Większość uważała, że jestem naturalnym liderem formacji, w związku z czym naturalnie powierzono mi kierowanie miastem w imieniu tej formacji.

Skala odpowiedzialności Pana nie przerażała?

Nie. Już mówiłem, że chciałem rządzić. Z różnym skutkiem to robiłem, bo przecież też nie wiedziałem masy rzeczy. Dowiadywałem się na bieżąco. Nie wiedziałem na przykład, że jest coś takiego jak KPA, czyli Kodeks Postępowania Administracyjnego. Sekretarka mi powiedziała, gdy zostałem prezydentem, że to jest najważniejszy dokument dla administracji. Dowiedziałem się tego jakoś trzeciego dnia po wyborze. Ona mówi do mnie, że KPA obowiązuje. A ja do niej: „Co to jest KPA?”.

I zabrał się Pan za lekturę?

Nie. Zrozumiałem, że pewne dokumenty muszą być podpisane w ciągu 7 dni, a pewne w ciągu 14. I ta wiedza mi wtedy wystarczyła. Zwolniłem jednego dnia wszystkich pracowników urzędu jako jedynym na Dolnym Śląsku.

Nie bał się Pan wyjść na ulicę po czymś takim?

Nie. Musi pani wiedzieć, że to była rewolucja... Takie były oczekiwania, że zwolnię wszystkich. Wielu przyjąłem z powrotem po zweryfikowaniu, czy są potrzebni. Ludzie tego oczekiwali, chcieli wymiany struktur państwa. Nie chcieli grubej kreski. Naprawdę nie chcieli. Uważam, że gruba kreska to był błąd mentalnościowy. Nie chodzi mi o dzisiejsze przenoszenie podziałów. To był szereg decyzji zaniechania, braku odwagi, który spowodował, że stoimy, gdzie stoimy. Mamy wiele problemów, które wynikają z tego, że się baliśmy. Gruba krecha, według mnie, nie wynika z pobłażania, miłosierdzia czy jakichś interesów.

Tylko ze strachu? Czyjego?

Ze strachu i nieświadomości, że tak naprawdę rządzenie to jest prosta rzecz. Opozycja nie wiedziała, że to jest takie proste. Bo nie wiedziała, czym się zajmuje państwo. Gruba kreska została według mnie nadmiernie zinterpretowana jako akt politycznego przebaczenia. Tymczasem Tadeusz Mazowiecki z ekipą po prostu bali się rządzić.

Pana zdaniem z powodu nieprzygotowania?

Po pierwsze, z braku wiedzy. Bali się, bo nie wiedzieli, co się kryje w państwie, które przejęli. Po drugie, byli sparaliżowani obecnością armii sowieckiej. Ja to rozumiem. Byli sparaliżowani strachem. Mazowiecki jeździł na posiedzenia komitetu politycznego Układu Warszawskiego. Wniosek o wyjście z Układu Warszawskiego został złożony dopiero w październiku 1990 roku, czyli cztery miesiące po wyborach samorządowych. Już szykowały się wybory prezydenckie. Dopiero wtedy rząd się odważył na taki ruch. Ludziom się wydaje dzisiaj, że to takie proste i oczywiste, ale nie rozumieją paraliżu i strachu tamtej władzy. Większość ludzi władzy była przerażona, że ją posiada. Władza zawsze się bała konsekwencji.

Pan jednak powiedział, że się nie bał. Nawet wtedy?

Ja byłem za młody, żeby się bać. Wydaje mi się, że to kwestia różnicy wieku. I charakteru też.

Pierwsza kadencja rady miejskiej to był czas ryzyka? Przecierania szlaków?

To była permanentna przebudowa państwa. Samorząd jest częścią państwa, w związku z czym on też ulegał przebudowie.

Przebudowie czy w ogóle budowie? Przecież wcześniej nie było czegoś takiego jak samorząd.

Miasta nie miały majątku. Kiedy objęliśmy władzę, wszystko należało do państwa. Nie było budżetu miejskiego, nie było majątku miejskiego. Pierwszy rok był próbą sił, kto komu co zabierze. Rząd nie chciał wszystkiego przekazywać. Toczył się ciągły proces w sądzie o działkę, o rurę, o drogę... Wszystko wymagało uznania, czy należy do samorządu, czy do państwa. Rząd musiał zrezygnować ze swojego majątku. Dzisiaj to jest niemożliwe. Dzisiaj rząd raczej chce przejąć majątek, niż z niego zrezygnować. Wtedy też nie było łatwo. Oddając majątek, rząd musiał mieć świadomość, że ograniczając swoje posiadanie, ogranicza swoje władztwo. To była wielka, gigantyczna wręcz rewolucja własnościowa w pierwszym rządzie. W drugim – podmiotowa.

Zatem rządzenie miastem musiało się zacząć od walki o pieniądze.

Dopiero pół roku po wyborach mieliśmy własny budżet. Taki, który autentycznie sami uchwaliliśmy. Dopiero budżet z 1991 roku był pierwszym w pełni naszym. Ten z roku 1990 stanowił część budżetu państwa, w którym w zasadzie nic nie mogliśmy.

O wszystko trzeba było pytać rząd? To raczej słaba samorządność...

Tak, budżet uchwalał nam rząd. Mogliśmy zrobić tylko niewielkie korekty. Poza tym on był wtedy inaczej skonstruowany. Jeszcze w 1990 roku składał się z funduszy. Na przykład w latach 80. wydatki na kulturę były związane z ilością spożytego alkoholu. Im więcej naród pił, tym więcej było na kulturę. Wzięto się to stąd, że minister kultury kiedyś za komuny wywalczył procentowy udział w funduszu alkoholowym, czyli w podatku od alkoholu. Inny przykład: z funduszu

rolnego pieniądze przeznaczano na parki i inne przedsięwzięcia związane z naturą, przyrodą. Jako rada w 1990 roku w Lubinie zarządzaliśmy tymi funduszami. Takie rozwiązanie miało poważną wadę – budżet nie przechodził na następny rok. Nie było prawdziwych dochodów, tylko dochody na kartce. Państwo przekazywało władzom miasta pieniądze na kartce, bywało, że 24 grudnia i trzeba było je wydać do końca roku, albo przepadały.

Jak w takiej sytuacji cokolwiek zaplanować?

Właśnie, bardzo trudno, dlatego o sensownych inwestycjach można było myśleć dopiero w 1991 roku, bo wtedy po raz pierwszy mieliśmy naprawdę dochody w gotówce w banku. Realne, a nie na kartce. To były dwa różne światy. W 1990 roku funkcjonowaliśmy jeszcze w świecie komunistycznym, jeśli chodzi o przepisy i strukturę zarządzania, a prawdziwy, demokratyczny samorząd zaczął się dopiero od 1991 roku.



Tadeusz Maćkała

Gorączka tworzenia

Cała rada i zarząd miasta z lat 1990–1994 to byli ludzie pełni ogromnego zapału do budowy nowej Polski. Wszyscy chcieliśmy budować nową Polskę i wszyscy tę nową Polskę budowaliśmy. Jak nam wyszło? Może wcale nie najgorzej.

To był czas ogromnego zapału, zaangażowania, energii, tworzenia czegoś nowego, uczenia się świadomości, że decydujemy o pieniądzach samorządu, że większością głosów postanawiamy, co się będzie robiło albo czego się robiło nie będzie. Bardzo, bardzo kształtujące doświadczenie.

To czas, gdy dyskutowało się na sesjach po to, by kogoś przekonać do swoich racji czy postulatów. Oczywiście, istniały podziały. Radni Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” mieli wtedy zdecydowaną przewagę, ale to, że byli z jednego komitetu, nie znaczy, że mieli te same poglądy – tak, jak to jest teraz. Nie, w żadnym wypadku. Prawie każdy z radnych miał inny pogląd i trzeba go było przekonać, dlatego niektóre sesje trwały do godziny 23, a bywało, że do północy. Wszyscy mówili dużo, nie zawsze na temat. Antek Wysocki i Józef Wawrzyniak szczególnie barwnie się spierali, po latach stwierdzam, że w ogóle tamte sesje były bardzo barwne. I co nawet mnie samego dziwi, stwierdzam to z uznaniem, a nie z niechęcią.

Narodziny samorządu

Najważniejszym wydarzeniem 1990 roku było powstanie samorządu. Entuzjazm wzbudzony na fali Solidarności z Sierpnia 1980, na nowo się rozpalił po znamiennym roku 1989. Wybory samorządowe z maja 1990, wtedy pierwsze i jedyne wolne, wywołały ogromny ładunek społecznego zapału, nadziei, energii. Każdy chciał zrobić coś najlepszego, najwspanialszego. Ogromny ładunek chęci, ale też i wiedzy – wszyscy byli gotowi, nie oglądając się na koszty, poświęcić swój czas i energię, żeby coś stworzyć i budować. Dyskutowaliśmy o każdym poważnym problemie, który nas dotyczył, czy chodziło o jakąś inwestycję, czy o zmianę nazw ulic.

Janek czy Ignacy

Dekomunizacja nazw ulic budziła dużo emocji, dyskusje trwały godzinami. Na przykład ulica Armii Czerwonej stała się ulicą Armii Krajowej, a Janka Krasickiego stała się Ignacego Krasickiego, z uwagi też m.in. na koszty, bo takie argumenty padały, że może wystarczy tylko „coś przemałowac” na tabliczkach. Oczywiście to nieprawda, bo trzeba było zmienić nie tylko tablice, ale też dokumenty. Nie czekaliśmy, jak inne miasta, na ustawę o dekomunizacji przestrzeni publicznej. Zmieniliśmy nazwy ulic już wtedy, w pierwszej kadencji. Dla radnych i dla mieszkańców Lubina ważne było, żeby zmienić symbolikę miejsc, w których żyjemy.

Najważniejsze zadania

Było dużo spraw, którymi wtedy należało się pilnie zająć. Poważnymi inwestycjami, jakich się wtedy podjęliśmy, były remonty Centrum Kultury „Muza”, pałacu ślubów, wiaduktu, który wiedzie przez tory przy szpitalu, dróg. Budowa nowego cmentarza rozpoczęła się jeszcze za PRL-u i on był w dużym stopniu ukończony, my tę inwestycję tylko dokończyliśmy. Podobnie rzecz się miała z nowym wysypiskiem śmieci, jego budowa również została wcześniej rozpoczęta, ale w tym przypadku wykonaliśmy większość prac. Duży problem stanowił klub sportowy MKS Zagłębie Lubin, związany z miastem, finansowany częściowo z opłaty targowej z giełdy. Wtedy chyba po raz pierwszy robiliśmy baseny, remontowaliśmy lodowisko, bo miało uszkodzoną instalację. Myśleliśmy o ratowaniu Zalewu Małomickiego, ale to okazało się niewykonalne z uwagi na brak wody. KGHM się uchylał od swojego zobowiązania, żeby dostarczać wodę i w ten sposób zasilać zalew. Podjęliśmy też w tamtym czasie nowelizację planu zagospodarowania przestrzennego. W 1993 roku zaczęliśmy budować szkołę „Czwórkę” – to była inicjatywa wychodząca naprzeciw potrzebom na osiedlu Ustronie IV, bo wówczas jeszcze samorządy nie prowadziły szkół. Budowa została rozpoczęta jeszcze przed wyborami, w 1990 roku i niedokończona, z ziemi wystawały tylko fundamenty. Trzeba przyznać, że mocno o tę inwestycję zabiegał Józef Wawrzyniak, który był prezesem spółdzielni mieszkaniowej na Ustroniu. W tamtym czasie zamieszkałem na tym osiedlu i mnie samemu także bardzo zależało na tej inwestycji. Nauka rozpoczęła się chyba w 1994 roku, ale pewno nie mam.

Na początku lat 90. powstała własność komunalna. Komisja inwentaryzacyjna, składająca się z radnych i urzędników, wykonała tytaniczną pracę, dokonując ewidencji wszystkich nieruchomości, które miasto przejęło na podstawie zmiany ustawy o gospodarce komunalnej. Trzeba było spisać każdy lokal, zinwentaryzować i założyć księgi wieczyste. Większość nieruchomości nie miała ksiąg wieczystych. Miasto nie chciało jednak prowadzić lokali użytkowych i dlatego podjęliśmy uchwałę o prywatyzacji tych zasobów w sposób bardzo uporządkowany. Chcieliśmy, żeby osoby, które pracowały w tych lokalach, kierownicy poszczególnych sklepików i małych firm, przyjęli umowę najmu, a później uzyskali prawo pierwszeństwa w wykupie. Po wycenie bieglego kupowali je po wskazanej przez niego cenie. To była taka – nazwijmy to – lokalna prywatyzacja zasobów.

Drugi bardzo ważny aspekt tego procesu, który przeprowadziliśmy w pierwszej kadencji, to prywatyzacja zasobów mieszkaniowych, zresztą sam się tym zajmowałem. Podjęliśmy uchwałę o emisji obligacji imiennych. Wówczas jeszcze nie było przepisów, które by pozwalały na udzielenie bonifikaty, jak to jest teraz, kiedy samorząd może udzielić 80, 90 czy nawet 99 procent bonifikaty. Wtedy takiej możliwości nie mieliśmy. W Ostrowie Wielkopolskim pojawił się pomysł, z którego skorzystaliśmy, żeby wypuścić obligację na rzecz głównych najemców mieszkań komunalnych i żeby oni za ten mechanizm mogli wykupić mieszkania za 10 procent wartości. W Lubinie było kilka takich emisji. Operacja się świetnie udała i była stosowana do wprowadzenia mechanizmu bonifikat. To był świetny ruch.

W latach 1990–1994 zdecydowaliśmy się też na restrukturyzację wielobranżowego przedsiębiorstwa komunalnego, żeby zapanować nad kosztami. Lubińskie Przedsiębiorstwo Komunalne zajmowało się cmentarzem, gospodarką mieszkaniową, lokalami użytkowymi, niektórymi drogami, wodociągami i oczyszczalnią ścieków, wysypiskiem śmieci, zieleńią miejską – wszystko wrzucone do jednego wora. Wielki kombinat komunalny, w którym nie sposób było dojść do tego, jakie są jednostkowe koszty poszczególnych usług. LPK, dbając o swój interes, zamazywało strukturę powstawania kosztów i ich poziom. W związku z tym podjęliśmy trud restrukturyzacji i częściowej prywatyzacji przedsiębiorstwa. Sprywatyzowaliśmy wtedy zieleń miejską z preferencjami na

rzecz pracowników. Natomiast pozostałe działalności zostały podzielone na kilka spółek – wyodrębniliśmy gospodarke śmieciową i wodno-kanalizacyjną. Gospodarka mieszkaniowa została przejęta przez zakład budżetowy, który powstał w tym celu – dlatego że akurat mieszkania musiały być dotowane przez miasto. Po tej restrukturyzacji koszty stały się jasne.

Pieniądze bez wyników

Przez lata kontrowersje budził spór wokół finansów klubu MKS Zagłębie Lubin. Wątpliwości dotyczyły pobieranej na obszarze giełdy opłaty targowej, która obejmowała stadion i jego przyległości i której 90, a może nawet 95 procent wartości klub uznawał za dochód własny. Wprawdzie MKS tę opłatę inkasował, ale opłata targowa to podatek lokalny i stanowiła dochód gminy, więc pieniądze też należały się miastu, a nie klubowi. Jednak uznawano, że to są koszty poboru tej opłaty i w ten sposób w dużej mierze finansowano Zagłębie Lubin. To rodziło konflikt, głównie dlatego, że wtedy zawodnicy MKS-u grali słabo, byli nieefektywni. Radni oburzeni się, że miejskie pieniądze są wydawane, a dobrych wyników nie ma. Warto dodać, że wielu ówczesnych działaczy sportowych, to byli ludzie rodem z aparatu PRL-u.

Niechciane mienie

Bardzo dużym problemem było przejmowanie niechcianego mienia od KGHM-u. Takim przykładem jest prawie całe osiedle Mickiewicza, gdzie większość bloków to budynki zakładowe, które przejęliśmy. KGHM dopłacił jakąś kwotę na poczet utrzymania i remontu, ale była ona dalece niewystarczająca. Kombinacjonista znajdował się w tamtym czasie w trudnej sytuacji finansowej i musiał ciąć koszty, to okres, kiedy wprowadzono popiwki. Firma z tego powodu pozbywała się zbędnego mienia, jeszcze z czasów PRL-u. Aeroklub przejął lotnisko, a niektóre drogi, infrastrukturę i mieszkania przejęło miasto, kolejną część majątku – kluby sportowe. Takiego niechcianego mienia, którego przedsiębiorstwa w jakiś sposób usiłowały się pozbyć, było więcej. Pozostało też po upadających: LPB Lubińskim Przedsiębiorstwie Budowlanym, Budokompleksie, Fabryce Domów. Miasto nie przejęło

tego majątku po tych firmach, ponieważ wiązało się to ze zbyt dużymi kosztami.

Brak czasu i pieniędzy

Przed wszystkim na wszystko brakowało czasu. Wszystko trzeba było zrobić natychmiast i od razu, a przecież nie da się kilkudziesięciu lat zaniedbań – zawinionych bądź nie, wynikających także po prostu z systemu – nadrobić w ciągu pół roku czy roku, chociaż wszyscy tego chcieli. To był proces, który musiał trwać i trwał. Zawsze brakowało też pieniędzy. Tak bym określił tamten czas: ustawiczny chroniczny brak czasu i pieniędzy. Zresztą to się akurat nie zmieniło.

Wtedy – mimo trudności – panowała atmosfera pozytywnego wzmożenia czy ożywienia, gorączki tworzenia czegoś nowego, budowy nowej Polski. Zarząd i radni z przejęciem pochylali się nad każdą złotówką, zanim ją wydali. Czuliśmy ogromną odpowiedzialność przed wydawaniem pieniędzy, chyba większą niż teraz. Poza tym zarząd był odpowiedzialny wobec rady, a rada wobec wyborców. A to przecież sytuacja bardzo, bardzo różna od obecnej. Rada mogła odwołać prezydenta i ten mechanizm był moim zdaniem zdrowy, wymuszała współdziałanie i był realną kontrolą.

Partnerzy, których nie można pominąć

W pierwszej kadencji dużą rolę ciągle jeszcze odgrywało państwo, które dotowało wiele rzeczy, między innymi inwestycje drogowe, a pieniądze od państwa dzielił wojewoda. Zarządzał Funduszem Ochrony Środowiska. Wojewoda był wtedy poważnym partnerem, zarówno w sensie finansowo-majątkowym, jak i administracyjnym, prawnym. Decydował o wielu sprawach. Nawet kiedy nie pomagał, musieliśmy się liczyć z jego zdaniem, on reprezentował Skarb Państwa.

Pracy nie ułatwiał nam też kurator – wtedy przecież wszystkie szkoły, podstawowe i średnie, podlegały kuratorium oświaty. Jedyńską szkołą, którą prowadził samorząd, była wspomniana „Czwórka”. I to rodziło poważne problemy, bo nie wszystko, co robił kurator, nam się podobało. Takim

przykładem spornym była hala sportowa przy dawnej Szkole Podstawowej nr 4, a obecnie drugim liceum. Nie chcieliśmy kontynuować budowy hali sportowej w takim kształcie, w jakim została rozpoczęta. Uważaliśmy, że trzeba ją przeprojektować i zrobić większą, porządną halę sportową z prawdziwego zdarzenia, która by pełniła nie tylko funkcję sali gimnastycznej, ale byłaby po prostu halą sportowo-widowską przy szkole. Byliśmy gotowi dopłacić brakujące pieniądze, ale kurator się nie zgodził z tym rozwiązaniem. I ukończył budowę według starego projektu szkolnej sali gimnastycznej, przy której wybudowano jedną, małą trybunę. To wszystko. I w takim skromnym kształcie, nad czym ubolewam, sala przy drugim liceum pozostaje do dzisiaj. Szkoda.

Ryzyko wpisane w system

Wszystkie decyzje, które podejmował zarząd, były ryzykowne, bo jeśli radnym coś się nie spodobało, mogli zarząd odwołać. Pamiętam jedną próbę odwołania prezydenta. Ostatecznie została ona politycznie wygaszona. Nawet nie wiem, czy padł wniosek o odwołanie, ale pamiętam długą dyskusję. Wtedy zarząd był wybierany przez radę, więc na dobrą sprawę każda decyzja była ryzykowna. W radzie, w zależności od „dziejowego momentu”, powstawały różnego rodzaju koalicje, konfiguracje, frakcje polityczno-personalne, które miały różne pomysły i zamiary, w tym także i plany personalne.

Blżej mieszkańców

W tamtym czasie mieliśmy dużą, zdecydowanie większą niż teraz, więź z wyborcami. Na dyżury radnych przychodziło sporo ludzi. Wiele inicjatyw radni przejmowali od mieszkańców. Często chodziło o sprawy bardzo drobne, na przykład takie, że gdzieś trzeba zrobić piaskownicę, zatokę parkingową czy wyremontować chodnik.

Parkingi to była stała bolączka miasta, do dzisiaj zresztą jest, bo stale przybywa aut, więc to pewne zjawisko constans. Reagowaliśmy na ten brak bardzo elastycznie. Na przykład na Ustroniu IV wprowadziliśmy ruch jednokierunkowy co do zasady – poza ulicą Kamienną – po to, żeby można było

parkować po jednej stronie ulicy. I to był postulat ze strony mieszkańców. Tamto rozwiązanie nadal funkcjonuje. Tylko ulicą Kamienną, zbiorczą, odbywa się ruch dwukierunkowy. Wprowadziliśmy tam jeszcze jedno rozwiązanie. Kamienna była wtedy nieuprzywilejowana, a wszystkie skrzyżowania na Ustroniu równorzędne. To powodowało wypadki, dlatego zdecydowaliśmy się zawnieioskować do wojewody, który zarządzał ruchem drogowym, o zrobienie ulicy Kamiennej główną, zbiorczą i uprzywilejowaną, a wszystkie pozostałe ulice jednokierunkowymi, najczęściej z równorzędnymi skrzyżowaniami. To był pewien ewenement, który przyniósł pozytywne skutki. W ograniczonym stopniu zastosowano to rozwiązanie też na Przylesiu, gdzie był podobny problem.

Nielegalny pomnik

Z czego jestem dumny? Tak wiele było tych spraw, że trudno wyróżnić jakąś jedną szczególnie. Najważniejszą jest to, że wtedy stworzyliśmy samorząd, po prostu. Ucząc się sami, uczyliśmy też innych, jak go pojmujemy, jak on według nas wygląda, w pewnym sensie chyba trochę go ukształtowaliśmy. Nie pamiętam, czy to było w pierwszej kadencji, czy w drugiej – w parku 35-lecia albo 40-lecia PRL-u (za Muzą) stał obelisk, który miał upamiętniać właśnie 35. czy 40. rocznicę PRL-u. Zacząłem analizować dokumenty i okazało się, że ten pomnik został postawiony niezgodnie z prawem, albowiem nie było uchwały ówczesnej miejskiej rady narodowej, że jest to pomnik. W związku z tym, że obelisk nie był pomnikiem, kazałem go rozebrać, zdemontować i wywieźć. Pamiętam, jaka wtedy wybuchła awantura, nawet ktoś złożył doniesienie do prokuratury, ale nie dopatrzone się przestępstwa z uwagi na to, że... to nie był pomnik. Więcej – była to samowola budowlana. I dopiero w następnej kadencji rada uchwaliła postawienie w tym miejscu pomnika Piłsudskiego – nawiasem mówiąc, jest to do dzisiaj jedyny pomnik Piłsudskiego na Dolnym Śląsku. A, jeszcze robi mi się naprawdę miło, gdy ktoś nazwie czasem pewną ulicę „maćkatówką”.

Z Szerokiej na Kopernika

Ważnym zjawiskiem z tamtych lat, którym zajęła się rada miejska, było targowisko Skorpion. Wtedy żywiłowo rozwi-

jała się gospodarka wolnorynkowa, co w Lubinie przejawiało się między innymi handlowaniem na ulicy Szerokiej (rodowici lubinianie wiedzą, że to Tysiąclecie). Na łózkach polowych, stolikach, stoliczkach i różnego rodzaju krzeselkach wielu zaczynało swoją karierę, nawet wielcy dziś i znani biznesmeni. To był żywioł gospodarczy, który niestety powodował wielki bałagan w mieście. Żeby go w jakiś sposób skanalizować, powstał plac utwardzony betonowymi płytami przy ulicy Kopernika. Rada uchwaliła przeniesienie tam targowiska, co oczywiście wywołało protesty i prawdziwy bój o opłatę targową. To był ogromny problem, ale ostatecznie targowisko funkcjonowało w tamtym miejscu ładnych parę lat. Było lokalnym centrum handlowym, łózka polowe stopniowo zniknęły. Zastąpiły je mniej lub bardziej trwałe szczęki i stragany, które funkcjonowały tam jeszcze długo.

40 radnych, 40 opcji

W radzie dominowała jedna opcja – komitet obywatelski, który miał 36 na 40 radnych, ale każdy z nich miał inny pogląd, inne zdanie. Oczywiście zdarzały się osobiste wycieczki, typu: „komunista”, „pezetpeerowiec” itp. Ale do ważnych spraw podchodzono w sposób zdecydowanie apolityczny. Nie było zjawiska, jakie teraz występuje w samorządzie: nazywając radnych, którzy mają inne poglądy opozycją – z czym ja się nie zgadzam, bo to tylko oponenci czy adwersarze – odbiera się ludziom wyłonionym w demokratycznych wyborach możliwość wypowiedzenia swej opinii na forum, nie dopuszcza ich do głosu, zatyka się im usta. Dawniej wręcz przeciwnie – chodziło o to, żeby każdy mógł się wypowiedzieć. Tamte sesje trwały tak długo, bo wszystkim zależało, żeby wysłuchać, a przede wszystkim przekonać nawet tych, którzy mają inne zdanie – obojętne czy chodziło o radnych z komitetu obywatelskiego, czy z SdRP. Trzeba było przekonać nieprzekonanych, a nie narzucić im swoje zdanie. W rozmowach nie przeszkadzały ani różnice osobiste, ani polityczne. W trakcie dyskusji i debat nad podejmowaniem decyzji pojawiały się bardzo skrajne emocje, zwłaszcza że wszyscy byli mocno zaangażowani. Jednak rozmowy toczyły się bez postaw typu: „Ja tak uważam i koniec, bo moja racja jest najmojsza”. Tak nie było, naprawdę nie! Każdy starał się „przeciwnika” czy adwersarza przekonać, jeśli nie do końca to choć trochę. Rzadko udawało się przekonać kogoś

do końca, choć czasami i tak się zdarzało. Byli radni, którzy ustawicznie zabierali głos w danej sprawie, bo nie mogli się pogodzić z faktem, że większość ma inne zdanie niż oni, więc nieraz dyskusje trwały w nieskończoność. Przeważnie jednak ostatecznie udawało się dojść do porozumienia.

„Pięcioosobowy prezydent”

Podobnie jak w radzie miejskiej było w zarządzie. Dzisiaj władzę wykonawczą sprawuje jednoosobowo prezydent, wybierany przez mieszkańców. Wtedy był to pięcioosobowy zarząd miasta, wybierany przez radę miejską. Prezydent tylko przewodniczył i organizował pracę zarządu miasta. Miał tylko JEDEN głos. I prezydent, i zarząd (także jego poszczególni członkowie) mogli być odwołani przez radę miejską. Dzisiaj funkcja kontrolna rady gminy jest fikcyjna, bo nie powołuje/odwołuje prezydenta. Referenda gminne to w obecnym polskim samorządzie instrumenty martwe. W lubińskim rzecz jasna nie jest inaczej.



Tadeusz Bączkowski

Spisaliśmy każdy skrawek ziemi

Byłem na emeryturze, gdy zdecydowałem się kandydować do rady miejskiej. Zrobiłem to z prostego powodu – nie podobał mi się tamten system. Chciałem coś zmienić, coś dołożyć od siebie, stąd taka decyzja. Nikt się jednak chyba nie spodziewał, że zmiany będą aż tak wielkie. Wtedy trudno było to przewidzieć. Nastąpiła ogromna zmiana, Lubin jest dziś zupełnie inny niż wtedy, gdy decydowałem się pracować w samorządzie. Dla mnie praca w zarządzie miasta to bardzo ciekawe doświadczenie. Czuję, że coś zmieniamy i że biorę w tym udział, drobny, bo drobny, ale biorę i to się liczyło.

W gąszczu nowych przepisów

Pierwsza kadencja samorządu w latach 1990–1994 to sytuacja szczególna, bo wszystko było nowe. Zarówno dla radnych, jak i dla członków zarządu miasta wszystko było nowe. Musieliśmy wypracowywać wiele rozwiązań. Podpatrywaaliśmy, jak robią to inni, a inni podpatrywali nas. Trudności nie brakowało, przede wszystkim w sferze przepisów regulujących działalność. Mieliśmy do czynienia z zupełnie innym systemem samorządowym od tego, który obowiązywał wcześniej. Nowe samorządy miały osobowość prawną, ochronę konstytucyjną. Ogrom pracy wiązało się z przekształceniami nieruchomości we własność komunalną. Brałem udział w komisji, która tworzyła nowy wykaz własności nieruchomości komunalnej. To była żmudna robota, głównie z powodu wielu małych działeczek. Przypomnę, że spisaliśmy każdy skrawek ziemi. Trzeba było przeanalizować każdą z tych działek. Nieraz siedziało się po nocach. Teraz skrzynkę pocztową zazwyczaj mam pustą, a wtedy codziennie, gdy ją otwierałem, wypadał plik papierzysek: projekty uchwał, zaawiadomienia, szereg dokumentów do przejrzania. I wszystkie należało uważnie przeczytać, bo nie sposób pójść na posiedzenie zarządu czy sesję nieprzygotowanym.

Wielkie oczekiwania, małe możliwości

Przed wszystkim nasze rządzenie zaczęło się od tego, że mieliśmy długi. I to poważne długi. Pierwsze miesiące były bardzo trudne, upływały głównie na szukaniu pieniędzy. Radni pracowali społecznie, ale buntujących się z tego powodu nie spotkałem. Wtedy panowała zupełnie inna atmosfera. Szukanie pieniędzy przyniosło efekty. Już następny rok zamknęliśmy na plusie. A potem wyszliśmy dość szybko z długów dzięki sprzedaży nieruchomości, co jednak poprzedził ogrom pracy związanej najpierw z ewidencją, a potem komunalizacją gruntów i nieruchomości. Opłaciło się, bo to dało dobry efekt.

Do radnych i do zarządu miasta przychodziło ogromnie dużo ludzi z przeróżnymi sprawami, niekoniecznie słusznie

kierowanymi pod naszym adresem. Dominowały problemy mieszkaniowe. Część spraw załatwiliśmy, ale większości problemów poszczególnych ludzi, zwłaszcza tych związanych z brakiem mieszkania, nie dawało się rozwiązać od razu. Nie mieliśmy możliwości, bo po prostu brakowało mieszkań. Ludzie natomiast uważali, że nowa władza może wszystko. Mimo że nieraz trafił się ktoś niezadowolony z niezafatwionej sprawy, ludzie oceniali nas dobrze. Na dyżurach nie spotkałem się z krytycznymi uwagami w stosunku do działalności rady. Czuło się, że mieliśmy u mieszkańców poparcie.

Przeważało podobne myślenie

Współpraca pomiędzy zarządem i radą miejską układała się przeważnie dobrze, choć różnie bywało. Rada przyjmowała gros uchwał opracowywanych przez zarząd. Zdecydowana większość realizowanych to te przygotowane przez zarząd. Bywały czasem spory, zawsze co jakiś czas trafiał się ktoś, kto musiał się popisać, zabłysnąć lub po prostu miał inny pogląd na sprawę. Mieliśmy paru oponentów, którzy zgłaszali co pewien czas niekoniecznie mądre wnioski, jednak większość radnych myślała podobnie. Zresztą, zawsze są tacy, którzy uważają, że jeśli są na sesji, to koniecznie muszą się odezwać, nawet gdy nic nie wiedzą na dany temat.

W zarządzie w pewnym momencie odczuwaliśmy lekki chaos. Prezydent Raczyński na początku nie chciał słyszeć o zastępcach, ale pewien zakres zadań należy wyłącznie do prezydenta i gdy on nie miał czasu się czymś zająć, sprawy czekały. W końcu zdecydował się na zastępcę i zarekomendował nam, jak powiedział, lokomotywę, czyli Tadeusza Maćka. I faktycznie pociąg przyspieszył, bo on był bardzo pracowity, na posiedzenia zarządu przychodził solidnie przygotowany. Oni obaj mieli inne style działania, ale najważniejsze są efekty. Prezydent Raczyński ostatecznie jak się na coś zaważmie, to zawsze osiągnie cel. Najlepiej widać to po wielkich zmianach, jakie zaszły w Lubinie. To jest teraz o niebo piękniejsze miasto niż 30 lat temu.

Wystarczyła jedna kadencja

Nie startowałem na kolejną kadencję. Lat mi przybywało. Wprawdzie byłem emerytem, ale cały czas brałem się za różne sprawy i chciałem je wykonać najlepiej, jak potrafiłem. Między innymi te związane z komunalizacją. Nie narzekam, nikt mnie przecież do niczego nie zmuszał, zgłosiłem się do komisji dobrowolnie, także dlatego, że znałem się na sprawach administracyjnych. Byłem geodetą górniczym, więc orientowałem się w temacie gruntów. Poza tym w radzie nie było drugiej osoby o takich kwalifikacjach. W komisji mieszkaniowej również trzeba było przeglądać ogromne ilości dokumentacji, a to wymagało czasu, którego mi jako emerytowi nie brakowało. Poza tym nadal pracowałem zawodowo, choć w mniejszym wymiarze. Odchodząc, miałem świadomość, że jeszcze trzeba dużo w mieście zmienić, ale już byłem zmęczony.

Później jeszcze przez wiele lat współpracowałem z miastem w kwestii opiniowania szkód górniczych. Jak już wspominałem, byłem biegłym sądowym ds. szkód górniczych. Będąc w zarządzie, przygotowywałem zarówno opinie dla gminy, jak i opinie gminy dla KGHM na temat eksploatacji górniczych przebiegających pod miastem w zakresie ich skutków na powierzchni. Niełatwe sprawy. Oczywiście, zawsze opinia kopalni była inna niż miasta. Koledzy po fachu z kopalni często blefowali, a ja im to wytykałem i wydaję opinię niezgodną z ich oczekiwaniami, stałem się ich wrogiem. KGHM zawsze mocno się bronił, a urząd górniczy często stawał po jego stronie. W kwestii planu ruchu, który miał zakres eksploatacji pod miastem, czasami domagaliśmy się, by kopalnia zmieniła nieco zakres robót, by zminimalizować ryzyko szkód na powierzchni. Niestety, w sprawach spornych miasto nie często wygrywało z potężnym kombinatem.



Aleksandra Dąbrowska

Wreszcie miasto było nasze

Kadencja 1990–1994 to był czas realizacji wszystkich marzeń i nadziei. Wszystko się wtedy udawało. Wszystko było czyste i proste. Ludzie nie kłócili się ze sobą, tylko o coś. Dyskutowali. Zawsze o tym, co i jak zrobić, a potem to się robiło.

Pierwsze skojarzenie to trzech fantastycznych facetów: Niewodniczański – urodzony samorządowiec, jurysta, człowiek o szerokich horyzontach. Raczyński – niesamowity entuzjasta, młody chłopiec. Był najmłodszym prezydentem wśród wszystkich prezydentów miast polskich, człowiek z wyobraźnią i z takim szaleństwem. I Maćka – ogromnie zaangażowany, zdecydowany, bezkompromisowy i zorientowany na osiągnięcie celu. Określiłabym tę kadencję tak: czas pierwszy i ludzie pierwsi.

Koniec fałszu

Przyjechaliśmy z mężem do Lubina, ponieważ kombinat się budował i tu było najpiękniejsze laboratorium chemiczne, a my byliśmy po chemii na Uniwersytecie Jagiellońskim, więc marzyliśmy o pracy w takim miejscu. Ale samo miasto było szare i smutne. Symbolem tego starego systemu niech będzie hasło, które widniało na fabryce domów: „Jakość mieszkań symbolem wyższości socjalizmu nad kapitalizmem”. Każdy, kto pamięta tamte czasy, wie, jak wyglądały tamte mieszkania i w jakim tempie były budowane. Naraz zniknęło to hasło i zniknął cały ten świat pozorów, prowizorki, totalnej bylejakości i fałszu, kiedy coś innego się mówiło, a coś innego się robiło.

Kombinat się budował, miasto się rozwijało i to było pozytywne, ale opakowane w propagandę nie do przyjęcia. I raptem to zakłamanie zniknęło i zaczęło się nowe, inne, prawdziwe życie.

Kombinat wspólnie z miastem

Zdarzyło się coś nieprawdopodobnego. Coś, co nigdy przedtem, ani nigdy potem nie wystąpiło. Miasto nawiązało partnerską współpracę z KGHM. Oba podmioty uznały dobro mieszkańców Lubina za wspólny, ważny interes. Celem były nowe miejsca pracy, wzbogacenie kasy miejskiej, podniesienie rangi miasta i ograniczenie jego zaściankowości. Skomercjalizowany kombinat wespół z miastem, przy współudziale Banku Handlowego zdecydowały się założyć bank przeznaczony do obsługi przemysłu miedziowego. I zrobiły to! Powstał Cuprum Bank z siedzibą w Lubinie. Potem powstały oddziały w Legnicy, Głogowie i Polkowicach. Centrala zawsze funkcjonowała w Lubinie.

Śmiałość projektu i jego prekursorski charakter można docenić, jeśli zdarzenie osadzi się w tamtych realiach. Przecież Prawo bankowe miało być uchwalone dopiero w 1997 roku, a kombinat znajdował się na początku drogi od przedsiębiorstwa państwowego do spółki prawa handlowego.

Bank nie przetrwał. Szkoda. Miasto niewiele zyskało, chyba że zyskiem nazwiemy ocalenie trzech zabytkowych budynków, w tym ratusza. Skumulowany czynsz z wynajmu wspomnianych nieruchomości na rzecz banku był jedynym wkładem finansowym miasta na pokrycie udziałów.

Koniec z naszym

Jednym z pierwszych zadań, które przyszło wykonać nowemu samorządowi, było przejście od Skarbu Państwa majątku, którym urzędnicy miejscy administrowali w powojennej Polsce. Przez wiele lat nikt specjalnie nie troszczył się o granice działek, o akty własności, o aktualizacje map i innych dokumentów, tak jakby to mienie było niczyje. Komisja inwentaryzacyjna starała się spisać najmniejsze nawet skrawki ziemi, budynki, place, ulice. Każdemu przypisała właściciela i użytkownika. Majątek został przejęty przez miasto i odtąd ono było jego właścicielem. Ziemia, obiekty, domy przestały być niczyje. To była ogromna, żmudna, kilkumiesięczna praca.

Dysponowanie aktualną i pełną informacją o zasobach otwierało nowy etap gospodarowania mieniem.

Inwentaryzacja stanowiła bazę planu przestrzennego zagospodarowania, który nadal obowiązuje, a opracowywanie go rozpoczęto właśnie wtedy.

Uwłaszczenie obywateli

A potem miasto oddało część majątku ludziom. W 1991 roku podjęliśmy działania, żeby wszystkie mieszkania komunalne przekazać mieszkańcom. Przed nami zrobił to jedynie Międzyrzecz albo Ostrowiec Świętokrzyski. Nie pamiętam. To było genialne posunięcie. Z jednej strony miasto nie mogło się przecież porządnie zajmować kilkoma tysiącami mieszkań. Z drugiej strony mieszkańcy zasobów komunalnych, którzy dotąd mogli tylko pomarzyć o własnym dachu nad głową, mieli szansę to marzenie wreszcie spełnić i nabyć użytkowane lokale. Dla niezamożnych ludzi to miało ogromne znaczenie. Wtedy jeszcze nie było ustawy, która pozwala sprzedawać mieszkania komunalne z bonifikatami, dlatego nasza rada miejska podjęła decyzję, że sprzedamy je za obligacje. Pan Maćkała wymyślił całą procedurę. Obligacje były obsługiwane przez nasz bank. Nabywcy od notariusza dostawali porządny papier. Papier, z którego wynikało, że dotychczasowi użytkownicy są właścicielami. To był właśnie cały Maćkała!

Zawsze ktoś z zarządu reprezentował miasto u notariusza. Pamiętam, jak ludzie wychodzili odmieleni. Nie o to chodzi, że byli zadowoleni – oni byli niezwykle poważni. Czuli powagę chwili. Dla wielu z nich była to pierwsza w życiu samodzielna decyzja dotycząca nabycia rzeczy wartościowej.

Bardzo się cieszyłam, że mogłam w tym uczestniczyć.

Wszyscy, którzy pracowali wtedy w zarządzie i w radzie miejskiej, zabiegali o to, by zrobić wszystko co można dla miasta, dla ludzi.

Wyjątkowi ludzie

Wiadomo, radni pierwszej kadencji byli bez reszty zaangażowani we wdrażaniu reformy samorządowej. Pracowali na dwa etaty, bez liczenia godzin. Nie zaniebdywali pracy zawodowej, bo to było źródło utrzymania. Zajęcia samorządowe dawały satysfakcję pozafinansową. Nikt nie narzekał, wszyscy chcieli jak najlepiej wykonywać powierzony mandat. Tak musiało być. Tak wspomina się zazwyczaj pierwsze lata transformacji.

W moich wspomnieniach pozostała jeszcze jedna grupa wspaniałych ludzi. Mam na myśli pracowników urzędu miasta, mających za sobą dłuższe lub krótsze staże w miejskiej radzie narodowej. Śmiem twierdzić, że bez ich otwartości na zmiany, bez ich woli wdrażania reformy, a także chęci uczenia naturalszczyków, jak się zarządza miastem – nic by się nie udało.

Pamiętam uchwalanie pierwszego budżetu. Zarząd gotowy do podjęcia stosownego postanowienia stawiał się w komplecie. Na każdego z uczestników posiedzenia czekała całkiem pokaźna sterta zadrukowanych tabelami kartek. Panie z księgowości zwyczajem lat ubiegłych przygotowały te papiery, licząc, że postanowimy je hurtem przyjąć, bez zbędnej dyskusji, szybko, sprawnie. No i zaczęło się. Czytaliśmy wszystko dokładnie, mozolnie. Naprawdę bardzo się przejmowaliśmy tymi cyferkami. Skarbnikiem miasta wtedy była pani Ewa Sas, świetny fachowiec. Cóż z tego, że z poprzedniego systemu, skoro tylko ona doskonale się znała na swojej pracy i bardzo cierpliwie wszystko nam tłumaczyła. Pytaniom nie było końca. Dyskutowaliśmy, spieraliśmy się, skakali sobie do oczu. Jeszcze dwa razy spotykaliśmy się, aby w końcu uzyskać konsensus i skierować projekt budżetu do przewodniczącego rady.

Doskonały team

Sukces miasta w pierwszej kadencji zależał według mnie od tego, że prezydent, zarząd i rada miejska wspólnie tworzyły zgodną drużynę. Z mojej perspektywy wyglądało to tak. Wiele spraw nie ruszyłoby z miejsca, gdyby nie prezydent Raczyński, który miał ciągle tysiące pomysłów, a entuzjazmem obdarzał pomysły nie tylko swoje.

Przewodniczący rady miejskiej, pan Niewodniczański prowadził publiczną dyskusję i sobie tylko znanym sposobem potrafił osiągać konsensus. W efekcie, uchwały dotyczące konkretnych spraw, były podejmowane we właściwym czasie, a nawet znaczną większością głosów. Prezydent Maćkała, dysponujący prawniczym wykształceniem, potrafił najbardziej szalone pomysły, o ile nie były sprzeczne z interesem publicznym, ubrać w gorset stosownych przepisów. Do tego był terminowy i konkretny. Panowie Bączkowski i Szczotka – autorytety w sprawach inżynierskich. Pozycje zawodowe, wcześniejsze funkcje i zaszczyty nie przeszkadzały im w pracy na rzecz miasta ze znacznie mniej doświadczonymi, młodszymi kolegami. Pan Milka noszoną w kieszonce koszuli dyskietką promował modę na stosowanie informatyki. Oczywiście, wspominałam tu zaledwie kilka najbardziej barwnych, najbardziej utrwalonych w mojej pamięci postaci. Oni tworzyli zespół liderów, naprawdę mieli wspólny cel: dobro mieszkańców miasta.

A w drużynie funkcjonowała również w pełni rada miejska. Na sesjach toczyły się gorące spory, zawsze o coś ważnego, o najlepsze z możliwych rozwiązanie. Każdy radny przynosił własną wiedzę i doświadczenie. Wszystkie głosy były ważne. Jeszcze nie funkcjonowała dyscyplina partyjna, która każdą dyskusję spłaszcza, a wynik głosowania jest rozstrzygnięty przed rozpoczęciem obrad.

Porządkowanie gospodarki komunalnej

Po starych włodarzach otrzymaliśmy niezły spadek w postaci Lubińskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego. Zatrudniało ponad 500 osób. Zajmowało się wszystkim, to jest: produkcją i dostawami wody pitnej, odprowadzaniem i oczyszczaniem ścieków, cmentarzem komunalnym, zielenią miejską, odbiorem i składowaniem śmieci. Miało własną stolarnię, warsztaty mechaniczne, a nawet własną stację paliw. Totalnie niedoinwestowane przez lata – funkcjonowało, że pożał się Boże. Nie posiadało zaplecza technicznego umożliwiającego właściwe korzystanie ze środowiska naturalnego. Karami było zagrożone składowanie odpadów i odprowadzanie ścieków. Woda pitna nie zawsze była zdatna do picia.

Cmentarz właściwie był już zapełniony. Do tego niebotycznie wysokie straty wody uzdatnionej z racji awaryjności sieci przesyłowych! W takiej sytuacji urodził się pomysł, a następnie plan podziału molocha na mniejsze specjalistyczne firmy i usamodzielnienie każdej z nich. Zadanie zostało zrealizowane na żywym organizmie, jakim było szybko rozwijające się miasto. Chyba pomysł, jak i realizacja były sensowne, bo z niewielkimi zmianami na tych podwalinach miasto funkcjonuje do tej pory.

Swoja woda

Na początku lat 90. woda pitna stała się towarem, takim jak każdy inny, za który trzeba płać. Władze samorządowe zaczęły kontrolować zasadność cen stosowanych przez lubińskie przedsiębiorstwo, zabiegać o maksymalne obniżenie kosztów produkcji i ustalenie akceptowalnej społecznie ceny. To była istna rewolucja!

Pierwszą ofiarą takiej polityki stało się Legnickie Przedsiębiorstwo Wodociągowe, od którego zaprzestano kupować wodę. Przez wiele lat Lubin kupował wodę z Legnicy, z Wielkiej Wody. Kupował ją doktrynalnie, bo wybudowano w Legnicy gigantyczne przedsiębiorstwo, o wiele większe, niż było potrzebne. Ktoś wymyślił, że ten moloch będzie zopatrywał w wodę całe Zagłębie Miedziowe. Komunistyczna gigantomania. Tyle że kupowanie wody z Legnicy nie było interesem Lubina. Ratowało legnicką firmę przed splajtowaniem. Ponadto legnicka woda była nieporównywalnie gorsza od lubińskiej. Uznaliśmy, że koniecznie trzeba zadbać o samowystarczalność Lubina w zakresie gospodarki wodnej. Od tamtego czasu zmodernizowano wszystkie zakłady uzdatniania wody, przebudowano i rozbudowano wodociągi, wybudowano nowe studnie, ale... Wszystko, co się działo potem, było efektem słusznej decyzji o rozdzieleniu interesów Wielkiej Wody z interesem lubinian. Dzięki tamtym decyzjom teraz nie ma problemu braku wody w mieście. Miałam przyjemność w tym uczestniczyć.



Dariusz Milka

Wierzyliśmy, że zmieniamy świat

Lata 1990–1994 pamiętam jako romantyczne i entuzjastyczne. Ludzie przyszli do samorządu z chęcią zrobienia czegoś dobrego dla miasta, zmienienia świata. Wydawało się, że wszystko możemy. Zupełnie jak w opowieściach rodziców, że po wojnie nikt nie pytał, za ile, tylko pracował.

Rok przed wyborami samorządowymi pracowałem w jednym z zakładów KGHM, w ZREM-ie. Pewnego dnia lider Solidarności powiedział mi, że komitet obywatelski szuka ludzi do współpracy. Zbliżyły się wybory parlamentarne. W ogóle mnie nie interesowały, ale poszedłem na spotkanie. Zorientowałem się, że jest dużo gadaczy, a niewielu chętnych do roboty i że mogą im się przydać do postudiowania spraw formalnych, robienie różnych statystyk, analiz i tak dalej, coś podpowiedzieć. Później zaczęły się spotkania z mieszkańcami, zbieranie podpisów. Wtedy mało kto rozumiał w ogóle ordynację wyborczą. Powoli w to wchodziłem.

Trzeba budować

Gdy w 1990 roku się okazało, że będą wybory do samorządu, pomyślałem: „A co mi tam” i zdecydowałem się kandydować. Kompletnie nie wiedzieliśmy, jak wygląda kampania, robiliśmy jakieś proste ulotki. Dzień po wyborach, przed 7 rano zadzwonił do mnie Robert Raczyński, szef Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Wtedy ledwie go znałem. Zadzwonił i powiedział: „Już mają wyniki, jest pan wybrany. Czy chciałby pan być członkiem zarządu?”. Ja na to: „Czemu nie”. I tak się zaczęła moja kariera polityczna w urzędzie miasta. Wbrew temu, co czasami niektórzy mówią, nie wszystko zawsze jest z góry poukładane. Czasem po prostu nagle jest określona sytuacja i zaczyna się improwizowanie. Tak było wtedy w Lubinie.

W zarządzie zaczynaliśmy w szóstkę. Dopiero po roku Robert Raczyński ściągnął z Wrocławia Tadeusza Maćkała.

On został wiceprezydentem. No i trzeba było budować miasto. Dobrze wspominam tamten czas. Oprócz różnych uciążliwości, jak brak pieniędzy czy niejasne przepisy, było przekonanie, że zaczynamy coś od początku. Jasne, że nie od pustej ziemi, ale prawie, przynajmniej w sensie organizacyjnym. Bardzo dużo rzeczy od nas zależało. To my decydowaliśmy, czy w ogóle się za dany temat zabierzemy, a jeżeli tak, to jak to zrobimy, to były wreszcie nasze decyzje. Owszem, obwarowane różnymi uwarunkowaniami prawnymi, ale sedno stanowiły nasze pomysły.

Jako zarząd spotykaliśmy się raz w tygodniu. Zaczynaliśmy o godzinie 10, często siedzieliśmy do 18. Spieraliśmy się z dzisiejszego punktu widzenia o drobne rzeczy, ale mieliśmy świadomość, że robimy coś, czego skutki ludzie będą odczuwać przez dłuższy okres, więc chcieliśmy to zrobić jak najlepiej. Druga kadencja była bardziej pragmatyczna, a w trzeciej zaraz po wyborze wszyscy zaczęli się pytać, ile diety dostaną.

Wtedy też zostałem delegatem do sejmiku. W ogóle nikt nie wiedział, po co ten sejmik istnieje. Byłem w nim dwie kadencje i dwa razy w prezydium, czyli jak dzisiaj by się powiedziało, w zarządzie wojewódzkim. Tylko wówczas sejmik miał niewielki budżet, byliśmy raczej instytucją doradczo-opiniotwórczą.

Możemy wszystko i... nie możemy

Wybory odbyły się 27 maja, a już na początku czerwca miastem rządziła nowa władza, nowy prezydent, zarząd i radni. Nowe przepisy prawne dopiero się tworzyły, w kraju ogólnie sytuacja zaczynała być już coraz gorsza, narastało poczucie niepokoju. A jednocześnie lokalnie wciąż wydawało nam się, że możemy wszystko, zwłaszcza że akurat w Lubinie dobrała się niesamowita grupa. Wychodziliśmy bardzo zdecydowanie z założenia, że co nie jest zabronione prawnie albo nieuregulowane, to nam wolno. I często spieraliśmy się z wojewodą, ale skoro nie było przepisu, który zabraniał, albo był on niejasny – to robiliśmy tak, jak uważaliśmy za sensowne.

Na początku struktura władzy była kompletnie nieprzygotowana. Samorząd powstał na mocy ustawy o samorządzie terytorialnym i musiał być sam sobie sterem, żeglarzem

i okrętem. W dodatku bez pieniędzy, bo ustawa o finansowaniu gmin pojawiła się później. Przejeliśmy miasto bez pieniędzy, ale ze zobowiązaniami po terenowych organach administracji państwowej. Lubin jak inne miasta Zagłębia Miedziowego był na przykład uwikłany w gigantyczną i nikomu niepotrzebną inwestycję o nazwie Wielka Woda. Bardzo szybko do zarządu zaczęły się zgłaszać firmy z żądaniem zapłaty za wykonane na rzecz miasta roboty, np. Zakład Remontowo-Montażowy z KGHM, który robił chodniki, jakieś przedsiębiorstwo, które robiło remont w szkole i tym podobne historie. Ponadto zgłaszały się różne spółdzielnie, które też miały rozmaite roszczenia. Trzeba było zapłacić. Na początku wzięliśmy nieduży kredyt, ale szybko się zorientowaliśmy, że nie tędy droga, że najpierw trzeba zweryfikować te wszystkie zobowiązania. Potem zacząć pozyskiwać środki, które rzeczywiście powinny wpływać do samorządu. Część zobowiązań spłaciliśmy, części – nie, o co latami toczyły się procesy sądowe. Tak było w całej Polsce.

Każda gmina miała obowiązek powołać komisję ds. ewidencji mienia komunalnego, czyli tego wszystkiego co przejmował samorząd i określenia, co z tego zostaje w kompetencji gmin, a co przechodzi pod urzędy rejonowe (dziwny twór administracyjny, który stanowił załączek późniejszych powiatów). To był strasznie skomplikowany proces, dlatego że za komuny, gdy trzeba było zbudować drogę albo położyć rurę, to sekretarz miejski dzwonił do dyrektora jakiegoś zakładu – w Lubinie do KGHM i prosił: „Weźcie i zróbcie”. Oni brali i robili, tylko potem był problem, do kogo należy dana droga czy rura. Brakowało dokumentacji. Ustalanie własności i uporządkowanie formalności trwało kilka lat.

Kolejna ważna sprawa, z jaką uporaliśmy się w pierwszej kadencji, to pozbycie się mieszkań komunalnych. Sprzedaliśmy je mieszkańcom za obligacje. Za 5 procent wartości ludzie stawali się właścicielami. Przed nami taki proces przeprowadziła mała gmina Międzyrzecz. W ciągu trzech lat sprzedaliśmy prawie wszystkie mieszkania (pięć tysięcy). W taki sam sposób pozbyliśmy się również garaży. Co tydzień ktoś z zarządu szedł do notariusza podpisywać akty notarialne. Dla ludzi to były wzruszające chwile, bo nagle mogli mieć coś swojego.

Restrukturyzacja molocha

Jednym z największych wyzwań pierwszej kadencji była restrukturyzacja Lubińskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego. Ono zostało podzielone na kilka firm, z których większość działa do dzisiaj. Lubin był chyba jedynym w kraju miejscem, gdzie przekształcono przedsiębiorstwo nie w oparciu o ustawę prywatyzacyjną, co zazwyczaj w praktyce oznaczało prywatyzację poprzez likwidację. Przeprowadziliśmy ten proces z pomocą mądrych prawników z Uniwersytetu Wrocławskiego, bezpośrednio korzystając z artykułu, który mówi, że – w największym skrócie – gmina mająca mienie komunalne może powołać firmę, zlikwidować, zrestrukturyzować i tak dalej. Powoaliśmy komitet negocjacyjny, w którym ze strony miasta byłem ja i Tadeusz Maćkała. Rozmawialiśmy z pracownikami LPK, z przedstawicielami poszczególnych grup, które miały utworzyć nowe firmy. Powstały wtedy trzy spółki: wodociągi, oczyszczalnia i śmietnisko, zakład remontowo-montażowy Dek-Mal, później jeszcze Ilex, czyli spółka od zieleni i kilka innych mniejszych. Wszyscy wydawali się zadowoleni. Miasto wreszcie wiedziało, ile jaka usługa kosztuje. Podział LPK przyniósł ogromne oszczędności. Z czasem kilka z tych firm zniknęło z rynku, ale największe zostali.

Samorządowa, czyli na najwyższym poziomie

Szkoła Podstawowa nr 4 na Ustroniu została przejęta przez miasto od kuratorium na etapie budowy. Stały tylko fundamenty. Trzeba było większą część obiektu przeprojektować, dostosować do nowych potrzeb, jak np. sale komputerowe. Szkoła została uruchomiona jako w 100 procentach samorządowa. Miała wszystko. To było z naszej strony świadomym działaniem politycznym, elementem nacisku przy podejmowaniu kolejnych szkół. Kuratorium nigdy nie miało wystarczających pieniędzy, więc i tak remonty w szkołach finansowało miasto. Jednak dawanie pieniędzy na cudzy budżet kompletnie nie miało sensu, zwłaszcza że nie mieliśmy kontroli nad szkolnymi wydatkami. Uważaliśmy, że samorząd lepiej poprowadzi szkoły niż kuratorium.

McDonald's, Statoil, Real, czyli wielki świat w małym mieście

Nie myślimy o Lubinie jako o małym miasteczku, ale liczbom nikt nie zaprzeczy. Chcieliśmy, żeby powstał w mieście McDonald's, ale nie od razu to się udało. McDoland's miał bowiem zasadę, że nie stawiał restauracji w miastach poniżej 150 tysięcy mieszkańców. Udało się, gdy pojawiła się u nas stacja benzynowa Statoil. Zdecydował czysty przypadek. Spotkałem na targach inwestycji w Poznaniu człowieka ze Statoil. Oni szukali akurat terenów inwestycyjnych. Mieliśmy odpowiedni teren. W ogóle wszystkie niezbędne dokumenty przedstawialiśmy błyskawicznie w dodatku na komputerze, co było wówczas ewenementem. Tyle że oni koniecznie chcieli, żeby w pobliżu był McDonald's, więc po jakimś czasie wróciliśmy do negocjacji McDonald'sem, ale odpowiednio przygotowani. Mieliśmy badania ruchu ludności, liczby przejeżdżających tamtą drogą samochodów i tak dalej. Ostatecznie zgodę na budowę restauracji w Lubinie wydała sama centrala w Nowym Jorku. Tak stanął pierwszy w Polsce McDonald's w miejscowości poniżej 150 tysięcy mieszkańców. Obok Statoil oczywiście.

Następny był Real. Przyjechali do Lubina ludzie ze spółki pośredniczącej, która dla nich załatwiała tereny w Polsce. I znów zostali zaskoczeni, bo zaraz po rozmowie dostali mapy, rysunki, wszystko, czego chcieli na wydrukach z komputera. Decyzja zapadła szybko. Zasada była prosta: jest inwestor, trzeba podjąć decyzję. Tym bardziej że wychodziliśmy z założenia, że wszystko powoli należy cywilizować, handel też. Przecież budy, szczęki czy leżaki to dobre na chwilę, ale to nie jest przyszłość.

Prawo? Nie przeszkadzało

Spotykaliśmy się raz w tygodniu, siedzieliśmy po 5–8 godzin, bo tyle było pracy. Prezydent miał wtedy mniejsze uprawnienia, był przewodniczącym zarządu i każdą rzecz trzeba było przegłosować. Patrząc z punktu widzenia zarządzenia, uważaliśmy, że jeśli jest problem, trzeba go sensownie rozwiązać. Sprawdzaliśmy, czy da się to zrobić z uwzględnieniem obowiązującego prawa, albo na ile trzeba je nagiąć,

a czasem nawet delikatnie przekroczyć. Parę razy zrobiliśmy rzeczy, o których z góry wiedzieliśmy, że będą nieważne, ale nie było sankcji prawnych, więc decydowaliśmy się na taki krok. Na przykład co roku podejmowaliśmy uchwałę w trybie pilnym o zakazie używania fajerków i petard w mieście w sylwestra. Wojewoda to uchylał w przeciagu trzech dni, ale przez trzy dni uchwała obowiązywała i straż miejska pilnowała, by nikt nie strzelał. Robiliśmy to z pełną świadomością przekraczania głupiego prawa.

Radni pod presją

Z radnymi był pewien problem, bo oni byli rozgrzani do działania. W końcu wszyscy przyszedli do samorządu, by jak najwięcej zrobić. Początkowo wydawało się, że będzie jednomyślność. Na 40 radnych aż 34 było z komitetu obywatelskiego, więc byli nasi. Teoretycznie... Z upływem czasu jednak zaczęły się pojawiać różne interesy, naciski ludzi, sąsiadów, ciągle ktoś czegoś od nich chciał. Na przykład wszyscy chcieli mieć drogę i wszyscy chcieli ją mieć w pierwszym roku kadencji. Rodziła się polityka wewnętrzna, trzeba było łagodzić konflikty, zwłaszcza że wtedy radni w każdej chwili mogli złożyć wniosek o odwołanie zarządu czy prezydenta. I wtedy takie odwołanie stawało się faktem w ciągu dwóch tygodni. Nieudzielenie absolutorium równało się odwołaniu zarządu, więc żyliśmy w dużym napięciu. Zarząd jednak dość skutecznie porozumiewał się z radnymi, bo przez cztery lata w Lubinie nie doszło do zmiany władzy, podczas gdy w innych gminach zarządy zmieniały się po kilka razy w czasie jednej kadencji. Chociaż nie było to łatwe. Niby było poczucie, że w ramach komitetu obywatelskiego jesteśmy jednym obozem, jednak szybko się ujawniło, że parę osób przyszło pozałatwiać po prostu jakieś swoje sprawy. Wielkie zaskoczenie wywołał kiedyś ktoś niedowartościowany, gdy na sesji wykrzykiwał, że „zarząd to złodzieje są i tak dalej”. Albo jeden z radnych strasznie chciał przeforsować jakąś propozycję. Tłumaczyliśmy mu, że nie ma na to pieniędzy. A on wstał w pewnym momencie i powiedział: „Tak to być nie może. Jest potrzeba i zarząd musi znaleźć na nią pieniądze”. Takie socjalistyczne myślenie, że skoro i tak zawsze brakuje pieniędzy, to na słuszny cel muszą być i to dla wszystkich.



Zbigniew Kot

Skok na głęboką wodę

Jako jedyny wywodziłem się z ZSL i miałem doświadczenie w miejskiej radzie narodowej w czasach komunistycznych. Moja druga kadencja w radzie narodowej była niepewna, bo wybory zostały ogłoszone wcześniej. Nie oszukujemy się, za dawnych lat na sesjach wszystko było z góry ustalone, przewodniczący prowadził posiedzenie, ale nikt od nas nie oczekiwał dyskusji, zmian projektów uchwał. Rola radnych sprowadzała się do głosowania. Dla mnie kadencja 1990–1994 była czymś zgoła nowym, prawdziwą rewolucją, można było się rzeczywiście wykazać. Jedno mogę powiedzieć od razu, że bałem się trochę tej nowej sytuacji politycznej, bo byliśmy – ja z ZSL i kilku radnych z SdRP, jak to mówią, komuchami. ZSL czy PZPR czy SD – nieważne, wszystkich tak traktowano. Okazało się, że przyjęto nas inaczej. Wręcz byłem zachwycony tym, że nikt nam tego nie wypominał. Podawali nam rękę. Mało tego, czasami się nawet zdarzało, że ktoś pytał mnie o radę jako doświadczonego radnego. Jak i co robić w komisji, gdzie co przeczytać, chociaż akurat ustawy się wtedy zmieniały. To było miłe. Doceniano moje doświadczenie. Później pan prezydent zaproponował mi członkostwo społeczne w zarządzie miasta, to o czymś świadczy. Byłem tym bardzo zaskoczony. Myślałem, że to jest jakaś pomyłka, ale nie, to nie była pomyłka.

Bez oglądania się za siebie

Robert Raczyński wspominał, że pierwszy tydzień po wyborach spał w urzędzie i trzymał u siebie pieczętki wszystkich naczelników, żeby nikt nie miał prawa podjąć jakiegokolwiek decyzji bez konsultacji z nim. Bo łatwo przystawić pieczętkę, ale za wszystkie decyzje odpowiadał prezydent. Rada była nowa, zarząd też, ale w urzędzie zostali ludzie z poprzedniej ekipy, w tym wszyscy naczelnicy wydziałów.

Nie było łatwo, ale przyszła prężna młoda ekipa, która miała w sobie odwagę i nie oglądała się za siebie. Nie patrzyli na to, co kiedyś, mieli swoje szerokie horyzonty, mieli wytyczony plan i go realizowali. Od planu rozwoju miasta zresztą się zaczęło.

Trudne decyzje, wielkie emocje

Sukcesem była według mnie cała reforma gospodarki komunalnej. Uważam, że to chyba jeden z większych sukcesów prezydenta – odważyć się na rozbicie dawnego Lubińskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego, podzielenie go, przygotowanie do podziału. Chociaż powiem pani szczerze, jak to wspominam. Dawnym szefem LPK był prezes Wygoda, on już chyba nie żyje, człowiek wręcz stworzony do tego. Miał pod sobą całą komunalną – wodociągi, mieszkaniówkę, drogi, cmentarz, bo LPK to był moloch, którym on sam kierował. Wprawdzie miał jednego zastępcę, ale on sam dawał radę. Uważam, że podzielenie tego przedsiębiorstwa to był bez wątpienia sukces i że zreformowanie go przyniosło świetne efekty. Z początku nie było jednak takiej pewności i zgody wśród radnych co do restrukturyzacji LPK. Toczyły się ostre dyskusje, tarcia w komisjach i na sesjach. Nie od początku dominowało podejście „idziemy i burzymy”. Radni mieli obawy, czy to się uda, jak będzie z obsługą mieszkańców, jak będzie z wodą, co ze śmieciami, a co z komunalną. Ten proces budził emocje.

Myślę, że podział LPK na kilka spółek komunalnych to najtrudniejsza sprawa tamtej kadencji. Trudne było zarówno przygotowanie dokumentów, przepisów, podział, jak i napięcie, jakie się z tym wiązało. Wielokrotnie spotykaliśmy się jako zarząd miasta z pracownikami LPK i tłumaczyliśmy im, że oni z tego tytułu krzywdy żadnej nie doznają, że nie tracą pracy. Przyznaję, że z początku sam byłem ciężko przestraszony, że jedno z większych przedsiębiorstw na tym terenie, czyli w województwie legnickim, zostanie poszatkwane. To był skok na głęboką wodę, bo nie mieliśmy doświadczenia w takich przekształceniach. Pod koniec kadencji nie miałem już jednak zastrzeżeń.

Ludzie dostali pomoc i... mieszkania

Sukcesów tamtej radzie można przypisać wiele, przede wszystkim inne podejście do konsultacji społecznych. Za dawnych czasów, tych komunistycznych, też odbywały się spotkania z wyborcami, ale to było co innego. Ludzie mieli po prostu inne nastawienie.

Dyżury radnych były oblegane. Mieszkańcy przychodzili z konkretnymi żądaniem, a my jako radni mogliśmy im, zwykłym obywatelom, naprawdę wiele rzeczy załatwić, pomóc w wielu sprawach. Wyborcy poczuli, że radni są gospodarzami i że oni mają do kogo przyjść i przedstawić problem. To było istotne. Mieliśmy dyżury w kancelarii, ale ja też wzorem poprzednich kadencji pełniłem dyżury u siebie na osiedlu w spółdzielni mieszkaniowej i tam też przychodzili do mnie babcie, samotne matki, ludzie w trudnej sytuacji. Dominowały problemy mieszkaniowe. Życiowe problemy, głównie mieszkaniówka.

Sprzedaż mieszkań komunalnych za obligacje to kolejny sukces tamtej kadencji. Jako że byłem w zarządzie, to uczestniczyłem w podpisywaniu aktów notarialnych. To było bardzo znaczące dla mieszkańców. Podpisałem się chyba wtedy na dwóch trzecich aktów notarialnych i poznałem wszystkich notariuszy. Nieraz spędzałem u nich cały dzień i przez to nie było mnie w szkole, gdzie pracowałem, ale to była ogromnie ważna sprawa.

Amerykańska restauracja i market

A McDonald's? Przecież oni nigdy nie inwestowali w takich małych miastach jak Lubin, ale przekonali się. Najpierw zapadła decyzja, że restauracja powstanie przy ul. Mieszka I, gdzie dziś jest klub szermierki, a wtedy był bar zwany „Szczurkiem”, bo szczury biegały po podwieszanym suficie. Ludziom z McDonald'sa jednak nie odpowiadał taki mały lokal jako nierozwojowy, więc zapadła kolejna decyzja, że się wybudują na Przylesiu, koło drogi nr 94. To była zasługa Roberta Raczyńskiego, że ich przekonał.

Tak samo było ze sklepami wielkopowierzchniowymi. Najbardziej przestraszone było PSS Społem, które bało się konkurencji. Jednak markety powstały, wszyscy pamiętamy, jakie tłumy przychodziły do Reala – pierwszego marketu w Lubinie.

Wtedy zaczęły się inwestycje związane z infrastrukturą. Wymienione zostały sieci wodociągowa i kanalizacyjna. Ludzie, którzy mieszkają w Lubinie dłużej, widzą, jak to miasto się zmieniło przez 30 lat.

Psychiatra w akcji

Dyskusje na sesjach toczyły się zacięte, ale nikt nikogo nie atakował personalnie, to były spory w sprawach, kłótnie o sprawy. Ani mnie, ani Wawrzyniaka nikt nie atakował, co więcej, radni komitetu obywatelskiego nieraz potrafili przyznać nam rację. Pamiętałem, jak procedowaliśmy rozmaite zagadnienie w poprzednich kadencjach i gdy mówiłem, że można zastosować jakieś inne rozwiązanie, inny zapis, nieraz się ze mną zgadzali. Potrafili nas pytać na komisjach czy na sesji, nie zakładali, że wszystko wiedzą lepiej.

Pamiętam śp. pana doktora Klemaszewskiego, który był specjalistą chorób wewnętrznych i psychiatrii. Miałem zaszczyt siedzieć koło niego. Kiedy koledzy zaczynali się za bardzo kłócić, na noże, tak że przewodniczący nie mógł ich uspokoić, wtedy pan doktor się zgłaszał, sala cichła. A on wstawał i ze stoickim spokojem mówił: „Koledzy, nie wiem, czy pamiętacie, że jestem psychiatrą. Bardzo chętnie z panami porozmawiam”. I emocje szybko stygły.

Nowe, pełne uroku

Podobało mi się to, że od początku mieliśmy szkolenia na temat funkcjonowania rady, co to jest wniosek, interpelacja, zapytanie. Chodziło o to, żeby radni nie zajmowali się na sesjach tym, co nie leżało w ich kompetencjach, żeby wiedzieli, z jaką sprawą raczej pójść do naczelników wydziałów, a jaką oni powinni się zająć.

W moich dwóch pierwszych kadencjach, jeszcze za poprzedniego systemu, funkcję radnego pełniło się społecznie. Trzeba było przychodzić na sesje, pracować w dwóch komisjach i jako wszyscy dawaliśmy sobie radę. Potem, po roku 1990 pieniądze za pracę radnych też nie były istotne. Najpierw w ogóle nie było diet, a potem symboliczne. Dla mnie było szokiem, że w ogóle dyskutowaliśmy o dietach – nie sądziłem, że nam się cokolwiek należy.

Z wakacji prosto do notariusza

Zapadła decyzja o utworzeniu telewizji regionalnej, co również uważam za sukces. Mam z tym zabawne wspomnienie. Byłem w radzie nadzorczej tej telewizji, Robert stwierdził: „Przypilnujesz młodych”. Zgodziłem się, ale trzeba było podpisać akt notarialny, a ja w tym czasie byłem z żoną na wczasach, w dawnym województwie gorzowskim u teściów. To przecież kawałek drogi. I któregoś dnia dzwonił telefon, wtedy stacjonarny, teściowa mnie woła: „Zbyszek, jakiś prezydent do ciebie”. Odbieram, to Robert, mówi mi, że jutro trzeba podpisać akt notarialny, bo inaczej spółki nie będziemy mogli zarejestrować. No, ale tłumaczę, że jestem 200 km od Lubina. A on na to: „Słuchaj, a jakbym tak kierowcę po ciebie wysłał, przyjedziesz? Przywiózłby cię, przespałbyś się, podpiszesz i na drugi dzień cię odwiezie z powrotem”. Zgodziłem się, to był lipiec, szwagierka mojej żony, Anna, miała imieniny, więc siedzimy przy stole imieninowym. Nie u teściowej, tylko w innym domu. I nagle ktoś biegnie i krzyczy: „Zbyszek, Zbyszek! Policja cię szuka! Jeździ po ulicach i pyta o ciebie!”. Jaka policja, myślę, a to była straż miejska z Lubina. Służbowym autem, w mundurze Kaziu Śliwowski, obecny naczelnik wydziału spraw obywatelskich, a wtedy strażnik miejski po mnie przyjechał. Najpierw zasiadł przy stole, zjadł i pojechaliśmy. Telewizja powstała. Potem chodziłem na zebrania rady nadzorczej do siedziby telewizji na stadionie. Pamiętam taką scenkę: wczesne lata 90., w Lubinie miał być koncert Kasi Kowalskiej, wtedy młodzieżowej dziewczyny, która dopiero zaczynała karierę. Minęliśmy się w holu. Patrę, stoi taka dziewczynka z prostymi włoskami w płaszczku, więc pytam: „A ty dziecko do kogo?”. A ona: „Ja się nazywam Kasia Kowalska i przyjechałam na koncert”. A mi się zrobiło głupio, że jej nie poznałem.



Władysław Szczotka

1938–2003

Zawsze pochłonięty pracą

Wiceprezydent Lubina w latach 1992–1994. Podlegały mu m.in. sprawy związane z inwestycjami miejskimi. Inżynier górniczy.

Absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jako stypendysta KGHM po studiach w 1962 roku został zatrudniony w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie, gdzie pracował nieprzerwanie do 1992 roku. Przeszedł różne szczeble kariery – od stażysty pod ziemią, przez stanowiska i stopnie górnicze (sztygar zmianowy, sztygar oddziałowy, nadsztygar górniczy, zawiadowca kopalni) po funkcję kierownika działu górniczego. W ciągu 30 lat pracy zajmował się głębianiem szybów wraz z ich wyposażeniem; drażnieniem wyrobisk chodnikowych i komorowych dla kopalń miedzi Polkowice i Rudna; budową tuneli i stacji metra w Warszawie; drażnieniem chodników i komór odwadniających dla kopalni odkrywkowej węgla brunatnego Turów w Turoszowie; zabezpieczeniem komór zabytkowej kopalni Wieliczka; budową tuneli kolejowych w Algierii i projektowaniem technologii budowy metra w Algierze.

Świetnie znał się na inwestycjach, więc nic dziwnego, że rządzący Lubinem postanowili skorzystać z wiedzy i umiejętności górniczego emerytowanego fachowca. Władysław Szczotka najpierw został dyrektorem zespołu obsługi inwestycji miejskich Urzędu Miejskiego w Lubinie. Następnie na wniosek prezydenta Roberta Raczyńskiego Rada Miejska w Lubinie powołała go na stanowisko wiceprezydenta miasta.

Zajmował się inwestycjami gminnymi takimi jak: remonty placówek kulturalnych i oświatowych, w tym pałacu słubów i biblioteki, rozbudowa wysypiska śmieci, modernizacja

sieci ciepłowniczych z likwidacją lokalnych (osiedlowych) kotłowni węglowych, przebudowa dróg, budowa parkingów i nowego cmentarza w Oborze czy program dociepleń budynków i modernizacja elewacji.

– Tato lubił to zajęcie na równi z wykonywanym wcześniej. Zawsze był pochłonięty pracą. Każdą z nich szanował – mówi Witold Szczotka, syn Władysława Szczotki. – Cenił fakt, że miał możliwość zrobienia czegoś pożytecznego dla Lubina. Czuł satysfakcję z wykorzystanych możliwości rozbudowy i zmiany miasta na bardziej dostępne – rozpoczęto wówczas likwidację barier architektonicznych.

Jak dodaje, jego ojciec zwykle nie prznosił spraw zawodowych do domu i nie obarczał nimi rodziny. – Tylko po zakończeniu jakiegoś zakresu robót, inwestycji lubił o tym wspomnieć, właśnie w kategoriach wykorzystanej szansy, progresu, rozwoju – dodaje syn wiceprezydenta.

Uważa, że za sukces pana Władysława Szczotki można uznać całokształt jego działalności zawodowej. – Tato nigdy nie dążył do zaszczytów, nie przedstawiał tego, co robił, jako swoje osiągnięcia. Owszem, zdobył kolejne stopnie górnicze, odznaczenia, wyróżnienia, potwierdzenia patentów, których był autorem lub współautorem, nie były one jednak jego celem – opowiada Witold Szczotka. – Był i nadal pozostaje wzorem dla mnie i moich dzieci, które wspominają bardzo często rady i wymagania dziadka Władka. Dzięki swojemu pozytywnemu uporowi, pracy i potencjałowi intelektualnemu przeszedł drogę z małej wioski Beskidu Żywieckiego poprzez krakowską AGH do Lubina. Tutaj zaangażował się w budowę od podstaw wielkiego przemysłu oraz rozbudowę miasta.



■ Paweł Niewodniczański

Wszystko ludzi interesowało

Pierwsza kadencja samorządu to był niesamowity czas. Pewnie wiele osób to mówi – mieliśmy poczucie, że zmieniamy Polskę. Nawet radni z SdRP, czyli nasi przeciwnicy polityczni też zmieniali Polskę – wszyscy ją zmienialiśmy. Później, po pierwszej kadencji, jeden z radnych, mniejsza o nazwisko, społecznik, bardzo docieklivy przewodniczący komisji budżetowej, który zawsze uważał, że trzeba ostrożnie wydawać pieniądze, powiedział Robertowi Raczyńskiemu: „Ale nie wszystko dobrze zrobiliśmy”. Takie były ambicje – zrobić lepiej albo więcej. Tyle że rzeczywistość mocno nas ograniczała w wielu sprawach – brakowało pieniędzy, nie było wiadomo kto, dlaczego. Nie istniał nadzór finansowy, przepisy rodziły się w trakcie – wszystko działało według zasady „mniej więcej”, co trochę też ułatwiało pracę prezydentowi i jego otoczeniu. Jeśli wydał polecenie, to urzędnicy je wykonywali, teraz by się zastanowili, czy im wolno, a wtedy po prostu to robili.

Wiele się nauczyłem

Niesamowity czas w moim życiu. Codziennie byłem w urzędzie. Codziennie. Bardzo ważny, bardzo intensywny czas. Przychodziłem, czytałem dokumenty, przyjmowałem interesantów, załatwiałem formalności. Ile ja się rzeczy wtedy nauczyłem! Teraz, gdy cokolwiek się dzieje, wiem, co może się stać dalej, co może być w akcie prawnym, w czym tkwi sedno problemu. Ciągłe się uczyłem, jeździliśmy na szkolenia, organizowałem też wiele szkoleń o tym, jak konstruować budżet, jak pisać uchwały. Notabene ci, którzy prowadzili te szkolenia, też się uczyli. Pamiętam, że na zajęciach w Zakopanem, zorganizowanych przez jakąś organizację demokracji lokalnej był profesor, który napisał podręcznik komentarz do ustawy o samorządzie terytorialnym. Nie mogłem z niego

wyciągnąć odpowiedzi na jedno pytanie. Pytałem, czy wolno coś, czy nie wolno, a on nie wiedział. Prawnik, profesor, napisał komentarz i nie potrafił odpowiedzieć. To pokazuje, jak trudno wtedy było. Bardzo dużo się działo, dla mnie to było niebywałe wydarzenie. Zresztą myślę, że dla większości osób.

Błędy w statucie

Mnóstwo nasiadówek, ciągle trzeba było coś omawiać, ustalać, a potem myśleć, jak to zrealizować, sprawdzać przepisy. Strasznie dużo się uczyłem. Czytałem ustawy, pewnie jako nieliczny wielokrotnie przeczytałem całą ustawę o samorządzie terytorialnym. Podobnie statut miasta, który zresztą tworzyłem z Piotrem Langnerem. W komisji opracowywaliśmy statut, to była intensywna praca. Pamiętam, że pojechałem na wakacje w Lubuskie i z tych wakacji kilka razy przyjeżdżałem do Lubina na sesje, a potem wracałem. Komisja statutowa spotykała się też u mnie w domu. Co ciekawe, zawarliśmy wiele błędnych zapisów, których wojewoda nie zauważył, np. podwyższyliśmy próg w głosowaniach na bezwzględną większość lub bezwzględną większość ustawowego składu rady, a prawo nie pozwalało na taki wysoki próg. Honorowe obywatelstwo czy Nagrodę Miasta Lubina też przyznawaliśmy bezwzględną większością ustawowego składu rady, a przepis mówił, że uchwały rady zapadają zwykłą większością głosów, w obecności co najmniej połowy ustawowego składu rady. Dopiero później się o tym dowiedziałem na jakichś kursach. Chciałem to zmienić, ale wtedy podniósł się krzyk.

W tamtym czasie stworzyliśmy flagę Lubina. Szukałem informacji w książkach, jeździłem po bibliotekach i zauważyłem, że stałym motywem herbów na Dolnym Śląsku była szachownica. W starych flagach występowała sekwencja kolorów żółtego i czerwonego. Ale zastanawialiśmy się, ile ma być tych kratek w proporcjach 1:1:4? Kiedy na tej szachownicy umieściliśmy herb, powstała chorągiew Lubina. Flaga (a właściwie chorągiew) Lubina to jest moje dzieło, przyjęte wprawdzie w drugiej kadencji, ale prace nad nim zaczęły się już w pierwszej. Symbole, herb, flaga to są ważne elementy miastotwórcze.

Wielogodzinne sesje

Kiedy podczas sesji był punkt „pytania i interpelacje”, to ona trwała kilka godzin, bo wszyscy radni – każdy z czterdziestu – zadawali pytania. Interesowali się wszystkim – od pasów, których brakowało na jezdni, przez to, co się działo w liceum, chociaż ono jurysdykcyjnie nie podlegało miastu, po daszek nad wejściem do klatki schodowej. Coś niesamowitego! Niekończąca się seria pytań i odpowiedzi. Ludzie wszystkim się interesowali, wszystko ich bolało. Każdy problem budził żywe zainteresowanie.

Dla mnie jako przewodniczącego rady to było ciężkie, bo to zadawanie pytań trwało strasznie długo, a sesję trzeba było przeprowadzić i zrealizować wszystkie punkty. No, ale trzeba było każdemu oddać głos, a ponieważ jedno zadane pytanie rodziło drugie, nieraz siedzieliśmy w urzędzie wiele godzin. Później wprowadziliśmy zapis w statucie, zresztą mojego autorstwa, przyjęty przez radę, że trzeba zadać konkretne pytanie i już nie ciągnąć wątku dalej. Musieliśmy jakoś okiełznać ten żywioł.

Bycie przewodniczącym mi się podobało. Jestem przekonany, że byłem dobrym przewodniczącym. Mimo że sesje trwały po 7–8 godzin i wszyscy musieli się wypowiedzieć, wszystko szło sprawnie.

Wzruszające sceny

Na tamten czas przypada mnóstwo wydarzeń wręcz przełomowych. Myślę, że niektórych zdarzeń, które miały fundamentalne znaczenie, nie zauważono do tej pory. Na przykład tego, że jako jedni z pierwszych w Polsce sprzedaliśmy mieszkańcom tak olbrzymią liczbę mieszkań komunalnych. Wtedy nie było prawnej możliwości obniżenia wartości mieszkania do takiej ceny, która byłaby do zaakceptowania przez kupującego, a mimo to dzięki obligacjom sprzedaliśmy ludziom ponad trzysta mieszkań w pierwszej kadencji. Później, już w drugiej kadencji, przeznaczaliśmy na sprzedaż następną tranzę. To było niesamowite wydarzenie, któremu towarzyszyły wzruszające sceny. Członkowie zarządu jeździli do notariusza, gdzie podpisywali akty notarialne i potem

opowiadali, że niektórzy ludzie płakali. Tak się cieszyli, że posiadli własność. Trzeba przypomnieć, że w tamtym czasie własność nie była powszechna. Owszem, jeden czy drugi zbudował dom, ale większość ludzi nie miała żadnego poważnego majątku. Pierwszym miastem, które zdecydowało się na taki ruch, był Międzyrzecz, a drugim – Lubin. Uważam to za jedno z najważniejszych wydarzeń w tamtym czasie. Lepiej zrozumieć, jakie ta sprawa wtedy miała znaczenie, pomaga skala zapotrzebowania. Na dyżury radnych przychodziło mnóstwo ludzi. Przyjmowałem po 10 osób na jednym dyżurze. Aż 90 procent z nich miało problem mieszkaniowy. Nierozwiązywalny, bo skąd mieliśmy je wziąć. Miasto miało do dyspozycji rocznie 10–12 lokali socjalnych, a w kolejce czekało ponad 100 osób. W Polsce tego problemu nie rozwiązano nigdzie. Dopiero on się sam rozwiązał przez dostępność kredytów hipotecznych.

Uchwała poza prawem

Rada musiała się zmierzyć z ogromem spraw, nieraz dramatycznych. W pierwszej kadencji chyba na ostatniej albo przedostatniej sesji podjęliśmy uchwałę, o której prawdopodobnie większość radnych nawet nie wiedziała, że jest nielegalna. Chodziło o zmuszenie ludzi do wysypywania śmieci do kubłów a nie gdziekolwiek. I o to, żeby każdy podmiot – mieszkanie, firma – który może produkować śmieci, był zmuszony mocą przepisów do posiadania umowy na kubeł. Na początku lat 90. ludzie nagminnie wyrzucali śmieci do lasu, podrzucali na działki – wszędzie, gdzie się dało. Nie wszyscy radni mieli świadomość, że ta uchwała, przeciw słuszna, była nielegalna, dlatego że nie istniała podstawa prawna takiego rozwiązania. Już po zakończeniu kadencji wojewoda ją zakwestionował, czym nie byliśmy zaskoczeni, bo podjęliśmy ją z premedytacją, że a nuż się uda. Wtedy wiele rzeczy nie było jasnych, do końca określonych. Ta sprawa w dużej mierze dotyczyła osiedla Krzeczyn, gdzie mieszkańcy mieli domy, ale nie mieli śmietników. Oczywiście nie wszyscy, ale część właścicieli domów wyrzucała śmieci do lasu lub na pola, np. jadąc do pracy. Dlatego zaryzykowaliśmy. Dopiero potem pojawiła się ustawa śmieciowa, gdy dostrzeżono ten problem w całej Polsce.

Pierwszy Śnieg

Tworzyła się podmiotowość, która moim zdaniem została zmarnowana. Na przykład, byłem motorem przyznawania Nagrody Miasta Lubina, która potem w kolejnych kadencjach została zlikwidowana przez Roberta Raczyńskiego, bo to nie jego pomysł, chociaż przecież on też ją tworzył. To on był prezydentem w pierwszej kadencji. Owszem, nie wszyscy laureaci byli trafieni, nie wszyscy mi się podobali, ale większość nagrodzonych to jednak ludzie, którzy na to wyróżnienie, docenienie w taki sposób, w pełni zasłużyli. Zostali pokazani, dostali nagrodę pieniężną, co też podnosiło rangę wyróżnienia. Pierwszą nagrodę dostał Stanisław Śnieg jako symbol tego miasta, walki o wolność. Trzeba było to ciągnąć. Taka nagroda jest ważna dla społeczności lokalnej.

Przed ustawą

Udało się to wszystko, co mogło się udać. Trudności były ogromne, jedna z nich to budowa Szkoły Podstawowej nr 4. Dla nas karkołomne przedsięwzięcie finansowe, pochłaniające straszne pieniądze, których nie mieliśmy, a poza tym szkoły wtedy jeszcze nie należały do samorządów, podlegały kuratorium. Z tym się wiązały duże problemy formalne – kto ma prawo ustanowić dyrektora, czy ta szkoła może być gminna. Samorządy przejęły szkoły na mocy ustawy obowiązkowo dopiero w 1996 roku.

Wiele razy przecieraliśmy szlak. Teraz się w Polsce dużo mówi o smogu, a my już w pierwszej kadencji dawaliśmy pieniądze na likwidację kotłowni w budynkach mieszkalnych w centrum Lubina.

Przed podziałami

Większość radnych to debiutanci, może ze trzy–cztery osoby miały doświadczenie w byciu radnym, ale nawet dla nich wiele spraw było nowych, bo rady narodowe za komuny działały zupełnie inaczej, nie miały mocy sprawczej, więc to dwa światy bez porównania.

Tamta kadencja to jedyny czas, kiedy wszyscy byli razem. W Komitecie znalazły się wszystkie możliwe frakcje, zaczynały się partie, ale jeszcze w pierwszej kadencji to nie miało znaczenia. Oczywiście te różnice poglądów przekładały się na różnice w głosowaniu, ale nie miało wtedy znaczenia, kto zgłasza projekt, liczyły się argumenty.

Boje polityczne ciągle toczyli Antoni Wysocki i Józef Wawrzyniak – pojedynkowali się na każdej sesji. Pamiętam spotkanie wigilijne. Józek podszedł do Antka, żeby się z nim stuknąć kieliszkiem. Oj, bardzo to było trudne dla Antka, stuknęli się, ale trzeba było widzieć jego minę. To przecież radykalny antykomunista do bólu. Cała pierwsza kadencja to była ciągła anegdota.

Zdarzały się problemy formalne, ale bardziej dla mnie i zastępców niż dla reszty rady. Zwłaszcza, kiedy czasem Raczyński wysmażył nam projekt i się gimnastykowaliśmy, co z nim zrobić, żeby wszystko grało pod względem prawnym. Na przykład mieliśmy wyznaczyć przedstawiciela do powiatowej rady zatrudniania i Robert Raczyński sam jednoosobowo, jak to on ma w zwyczaju, wyznaczył Józefa Wawrzyniaka. On był radnym z SdRP, więc ludzie mieli o to do mnie na sesji pretensje, a ja musiałem bronić tej decyzji.

Było też dramatyczne wydarzenie. Jeden z radnych zmarł kilka dni po sesji, na której zastał. Lekarze go reanimowali, ale bez powodzenia. Dostał udaru i już z niego nie wyszedł, a tuż przed tym się wypowiadał. Zresztą on się wypowiadał w każdej sprawie, w każdej sprawie zadawał pytania. Był bardzo zaangażowany, nie miał konkretnej wizji, ale wszystkim się bardzo interesował.

Miejska czy narodowa

Wszyscy się uczyli samorządu, nie tylko radni, ale także dziennikarze, którzy na początku nie rozróżniali rady miejskiej od urzędu miasta i od zarządu miasta. Dla nich to była jedna magma. Obywatele ciągle mówili o nas „rada narodowa” i „prezydium”.

Mało kto wtedy w ogóle zauważał, kto za co odpowiada i kto się czym zajmuje. Taki przykład: daliśmy pieniądze na

remont basenu przy Szkole Podstawowej nr 7. Dyrektor szkoły męczył nas o dofinansowanie, w końcu daliśmy mu te pieniądze. Na otwarciu jednak najbardziej fetowany był kurator oświaty, a o samorządzie, który dał dotację, nie wspomniano ani słowa.

O pieniądze na siłownię przy szkole męczył nas też dyrektor drugiego liceum Stanisław Toczek. Dostał je i... wydał na coś innego. I nic się nie stało, bo dopiero później weszły w życie przepisy nakazujące organizacjom czy instytucjom rozliczyć się z dotacji, a wtedy takiego obowiązku nie było.

Boisko na Małomicach

Na dyżur w pierwszej kadencji przyszedł do mnie chłopak, który mieszkał na Małomicach i opowiedział, że robotnicy podczas jakichś robót przekopali im boisko. Prosił, żeby je wyrównać. Opowiedziałem o tym wiceprezydentowi Szczotce. On tam pojechał, obejrzał i stwierdził, że teren jest fajny i można tam zrobić porządne boisko do piłki nożnej. To było w połowie pierwszej kadencji. Zapadła decyzja. Budujmy! Ale za jakiś czas pan Szczotka dopatrzył się, że jest problem, bo teren nie należał do miasta tylko do PGO, czyli Państwowego Gospodarstwa Ogrodniczego, a od nich przejął go wojewoda, bo PGO było w likwidacji. Zwróciłem się więc do Andrzeja Glapińskiego, ówczesnego wojewody legnickiego. On się zgodził, ale za jakiś tydzień zadzwonił i powiedział, że nawet nie wiedział, że teren już został przekazany do Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa. Zwróciliśmy się więc do Agencji, która chętnie się zgodziła nam ten kawałek ziemi... sprzedać. Przekonywaliśmy, że to na cele społeczne, negocjacje trwały i trwały. Ostatecznie odkupiliśmy teren za niezapłacony przez PGO podatek, rozliczyliśmy się bezgotówkowo. Do końca pierwszej kadencji nie zdołałem jednak przeforsować wydatku na to boisko. Dopiero udało się w drugiej kadencji, ale za to na dwa boiska – na Małomicach i na Topolowej. Zbudowaliśmy boiska do kosza i piłki nożnej. Było otwarcie, mecze z radnymi gminy wiejskiej. Znaleźliśmy tego chłopaka, który w tym czasie zdążył skończyć szkołę, poszedł do wojska i się ożenił. Wtedy na otwarciu boiska i meczu kawalerowie kontra żonaci byłem tam pierwszy raz. Wszystko organizowałem zaocznie. Ale to nie koniec historii. Kilka lat później poszedłem na ZG Lubin wypożyczyć namiot, strażnik na wej-

ściu mnie wylegitymował, a gdy wychodziłem, przeprosił za to i wyjaśnił, że chciał sprawdzić, czy ja to ja. I podziękował mi za to boisko na Małomicach, bo chłopaki od tamtej pory nie stoją na klatce, tylko grają w piłkę. Wie pani, jaki ja się poczułem szczęśliwy?! Jako radny spełniłem swoje zadanie.

Trudności na porządku dziennym

Trudności napotykałyśmy na każdym kroku, czasami bardzo prozaiczne. Na przykład jedna czwarta radnych nie miała wtedy telefonu, więc wyzwaniem stawało się szybkie zwołanie sesji. Do jednego radnego raz nie doszło zawiadomienie pocztą. Miał do mnie później uzasadnione pretensje, a ja byłem zażenowany, w trudnej sytuacji, bo wysłaliśmy list w terminie, ale poczta nie dostarczyła go na czas. Pamiętam, że sam pisałem pismo do Telekomunikacji w sprawie telefonów dla radnych. Nawet powstała komisja ds. telefonizacji – Piotr Langner był jej szefem. Chodziliśmy na spotkania do Telekomunikacji, żeby pchnąć do przodu problem telefonizacji.

Woda w liceum, bank w ratuszu

W pierwszej kadencji remontowaliśmy rynek. Ludzie nieraz narzekali na tę decyzję, zastanawiali się, dlaczego remontujemy rynek, skoro to nie jest najważniejsza potrzeba. Myśleli, że chodzi tylko o nawierzchnię, a roboty dotyczyły głównie tego, co się znajduje pod ziemią, zwłaszcza kanalizacji wodnej. Dopiero po remoncie rynku w piwnicach w I LO i w niektórych domach na Mieszka I czy na Odrodzenia przestała się zbierać woda. Na rynku nie było odpowiednich spływów i studzienek, dlatego po deszczu zalewało okoliczne piwnice. Od tamtej pory nie ma problemu z wodą. Poza tym rury nie były zinwentaryzowane, nie wiadomo, gdzie prowadziły. Żeby to uporządkować, robotnicy zatykali poszczególne rury i czekali, kto zaalarmuje, że nie ma wody. Problematycznym rozwiązaniem okazała się też kostka brukowa. Takiej nawierzchni jednak domagał się konserwator zabytków, to on wyznaczył linie, gdzie ma być chodnik, gdzie kostka, a potem przychodziły mamy i skarżyły się, że nie mogą przejechać przez rynek z wózkiem. Już nie mówię o huku, który wywoływały samochody jeżdżące wtedy po rynku, a więc po bruku.

Kontrowersje budziło też oddanie w dzierżawę ratusza na 20 lat Bankowi Cuprum. Weszliśmy do spółki z bankiem jako akcjonariusze, miasto miało chyba 25 procent akcji. Ryzykowna decyzja. Realnie to było dobre posunięcie, ale wywołujące oburzenie. Ludziom się nie podobało, że oddajemy ratusz, ale my nie mieliśmy pieniędzy na jego remont, a bank go wyremontował.

Podział molocha

Inna dramatyczna sprawa to restrukturyzacja Lubińskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego, które zostało podzielone na części. Utworzono spółki: wodociągi, wysypisko śmieci i MPO. Z LPK wydzielono cmentarz. Mieszkaniówkę wyłączono. Oprócz tego na bazie LPK powstała firma Ileks, spółka pracownicza, która chyba pod inną nazwą nadal istnieje i druga firma Dek-Mal od remontów mieszkań. Teraz byłoby to niemożliwe, ale wtedy pracownicy dostali na start pulę kwotową. Jak sobie poradzili potem, nie wiem.

LPK stanowiło ogromny problem, budzący wielkie emocje. Pamiętam zebranie z dyrekcją i pracownikami. Mieliśmy ekspertyzę wyjaśniającą, jak to przedsiębiorstwo przekształcić. W LPK – olbrzymim przedsiębiorstwie, które zajmowało się wszystkim – koszty się rozmywały. Nikt, nawet prezydent, nie był w stanie kontrolować, co tam się działo. Dopiero po podziale okazało się, co ile kosztuje.



Helena Hatka

Pierwszy prawdziwy przejaw wolnej Polski

Przekonanie, że mamy ogromne możliwości, możemy zrobić wszystko – oczywiście w ramach obowiązującego prawa. Uczestniczymy w przedsięwzięciu, które jest dobre, słuszne i ważne dla lokalnej społeczności, ale też dla

Polski. Budujemy nową Polskę, właśnie poprzez lokalność. Z pierwszą kadencją samorządu kojarzy mi się też romantyzm tamtych czasów i zaszczyt, że się jest wśród wspaniałych, zaangażowanych ludzi, że się robi coś, co – mieliśmy nadzieję – wpłynie pozytywnie na przyszłość Lubina, województwa (wtedy jeszcze legnickiego) i całego kraju. Proszę pamiętać, że samorząd w tym początkowym etapie był pierwszym prawdziwym przejawem wolnej Polski. Oczywiście, wcześniej były wybory do parlamentu, ale to działo się w Warszawie, daleko. Lokalnie poczuliśmy wolność, gdy mieliśmy okazję wdrażać coś od początku w gminie. Pracowaliśmy w pierwszym samorządzie, który nie był wybrany z klucza partyjnego. Nikt nikomu niczego nie narzucał. Spotykaliśmy się, rozmawialiśmy o swoich pomysłach, czasami kłóciliśmy się z sobą, zwykle jednak staraliśmy się w dobrej atmosferze realizować zmianę. To były piękne dni, piękne czasy.

Nie brakowało trudności

Chciałoby się powiedzieć, że przede wszystkim były trudności. Weszliśmy do pierwszego samorządu, wielką grupą z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, z pewnym wyobrażeniem jak ten samorząd ma wyglądać. Mnie się wydawało, że będziemy mieć pełną władzę, dysponując pieniędzmi, które do nas przyjdą, jak stanowiły przepisy ustawy. A potem było zderzenie z rzeczywistością. Składały się na nią między innymi ogromne oczekiwania ludzi, zwłaszcza tych, którzy na nas głosowali i chcieli zmian natychmiast. Nauczyciele na przykład chcieli podwyżek, szkoły też domagały się pieniędzy, doposażenia, remontów. Tymczasem okazywało się, że kompetencje samorządu, które były zapisane w ustawie, to tak naprawdę materia znacznie bardziej skomplikowana. Nie taka prosta, jak nam się wydawało. Część zadań finansowano z dochodów gminy – one były zadaniami własnymi samorządu, a część zadań rząd nam po prostu zabrał, oczywiście z przeznaczonymi na nie pieniędzmi. Utworzył dziwną administrację w postaci urzędów rejonowych. W zdumieniu patrzyłam na nowe szczeble administracji... Tak więc to nasze marzenie o samorządności oddolnej, o prawdziwej demokracji, gdzie pojedynczy Kowalski w wyborach w głosowaniu powszechnym decyduje, jak jego gmina się będzie rozwijała, okazało się w dużym stopniu mrzonką. Drugie wyobrażenie, jakie miałam, wchodząc do

samorządu, to takie, że będziemy mieli środki na realizację planów. Weszliśmy przecież do samorządu z konkretnymi programami. I znów czekało nas starcie z prozą życia, czyli... brakiem pieniędzy.

Bez budżetu, bez majątku, bez statutu

Na początku nie mieliśmy nic – budżetu, majątku, statutu. Nic po prostu. W dodatku moloch, który ma siedzibę na terenie Lubina, czyli KGHM, wtedy był biedakiem. Nie miał pieniędzy, żeby płacić miastu podatki. Było ciężko. Pieniądże to nie wszystko. Kolejna rzecz, z którą musieliśmy się zmierzyć, to ogrom pracy. Byliśmy bardzo przepracowani. Ja na przykład pracowałam w grupie, która tworzyła statut. Piękna sprawa! Praca nad statutem, który jest prawnym przełożeniem naszej wizji miasta. Potem wdrażaliśmy ją także w uchwałach budżetowych.

Wcześniej jednak wybraliśmy prezydenta, Roberta Racyńskiego – bardzo barwną postać i przewodniczącego oraz wiceprzewodniczących rady. Znalazłam się w tym gronie i jako wiceprzewodnicząca rady miejskiej miałam większą wiedzę od przeciwnego radnego. Byłam też przewodniczącą komisji rewizyjnej. Obecnie takie kompetencje są nie do zaakceptowania z formalnego punktu widzenia, ale wtedy przepisy zezwalały na ich łączenie. To nie koniec moich ówczesnych obowiązków. Byłam w tamtym czasie także najpierw wicedyrektorem, a potem dyrektorem Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Lubinie. Zarządzałam całą infrastrukturą społeczną, czyli likwidacją barier dla osób niepełnosprawnych, rozdawaniem zasiłków osobom potrzebującym. Miałam ogromnie dużo kompetencji. Niewiele czasu zostawało na sen, realizowanie obowiązków odbywało się kosztem rodziny. Tym bardziej że działałam również w Komitecie Ochrony Praw Dziecka, z którym organizowaliśmy świetlice dla biednych dzieci, wyjazdy na wakacyjny wypoczynek. Poza tym aktywizowaliśmy bezrobotnych, szczególnie kobiety, które dostawały specjalny zasiłek na stworzenie sobie miejsca pracy. Ogromnie dużo się działo w samorządzie i w pracy. Dodajmy, że to wszystko w czasie bez telefonów komórkowych, komputerów, internetu.

Urok nowości

Trudności przesłaniało niesamowicie ekscytujące przeświadczenie, że tworzyło się nowe. W tamtych warunkach łatwiej było o bezinteresowność, nie myślało się przez pryzmat korzyści. Nikt (albo prawie nikt...) z nas się nie zastanawiał, co z tego będzie miał. Na tym polega romantyzm, że ludzie mający pewną misję do zrealizowania, nie patrzą na czas ani na zyski. Lubin teraz jest piękny, zadbane, bogaty, ale warto pamiętać, że stało się tak dzięki podwalinom, które wtedy położyliśmy. W 1990 roku był biedny, brzydki i prowincjonalny. Ludzie uważający się teraz za autorów sukcesów Lubina, także ci pracujący w KGHM-ie, muszą pamiętać, że mogą się tak czuć dzięki grupce samorządowych zapaleńców, która między 1990 a 1994 rokiem budowała bazę prawną, finansową, gospodarczą miasta. Tamta ekipa z prezydentem Raczyńskim 30 lat temu nadała kierunek, w jakim Lubin poszedł i nadal idzie. Nieprzypadkowo poszczególne samorządy mają dziś różny status finansowy i różnie wyglądają. Tam, gdzie trafili ludzie operatywni, zdeterminowani, mający wizję, w jakim kierunku dana gmina ma iść, tam teraz jest pięknie, ludziom się żyje dobrze, są inwestorzy. Tam, gdzie przyszli ludzie zgorzkniali, niemający wizji, chwytający daną posadę, by czerpać profity, tam teraz jest źle. Przepraszam, że przejawiam, ale chcę pokazać, jak wiele zależy od ludzi. Ci, którzy dobrze budowali zręby i ich następcy, którzy je kontynuowali, są małymi bohaterami, bo to oni budowali naszą wolną Polskę.

Wątpliwości na bok

Gdy się wprowadza zmiany z wiarą, że są słuszne, nie ma miejsca na wątpliwości. Wprowadzałam zmiany w kilku miejscach. Nie mogłam się zastanawiać, czy się udać. Uważałam, że muszą się udać! Po prostu. Gdy zacznie się mieć wątpliwości, nie pociągnie się za sobą innych. Łączyłam w Lubinie samorząd z pracą społeczną i wsparciem dla niepełnosprawnych – to były trzy duże przestrzenie. Potem, w 1998 roku miałam okazję reformować ochronę zdrowia, tworzyć kasy chorych i całkowicie wszystko zmieniać. Proszę mi wierzyć, że uczestniczenie w zmianach, a właściwie ich tworzenie, to jest coś niesamowitego. Ogromna energia! Tylko potem boli serce, kiedy ktoś to psuje, bo te zmiany są jak dziecko. Trzydzieści lat temu w Lubinie grupowo robiliśmy piękne rzeczy.

Najważniejsza zmiana?

Myślę, że tworzenie podstaw, bazy, a więc dobry statut, pierwszy budżet, skuteczne rozwiązywanie bieżących problemów, porządkowanie fundamentalnych spraw. Potem stopniowe zwiększanie budżetu, polepszenie, szukanie źródeł finansowania i pierwsze inwestycje. O ile dobrze pamiętam, pierwszą inwestycją, z której byliśmy bardzo dumni, o którą zabiegał prezydent, było wyremontowanie biblioteki. Zrobiliśmy dużo dla polepszenia warunków życia niepełnosprawnych. Lubin wtedy zaczął być postrzegany przez pryzmat likwidacji barier. Dbano o ludzi, szczególnie o osoby słabsze, niepełnosprawne, ubogie, to był jeden z naszych priorytetów. Pamiętam, że próbowaliśmy pozyskać pieniądze z PFRON-u na likwidację barier, montowaliśmy windy na zewnątrz czy w środku budynków, żeby osoby na wózkach, pozamykane dotąd w mieszkaniach, mogły wyjść na zewnątrz.

Układaliśmy miasto w nowej rzeczywistości pod względem formalnym. Szukaliśmy pieniędzy w Warszawie, ale też braliśmy na siebie różne zadania, bo pamiętaliśmy o ludziach, którzy przeżyli szok. Proszę pamiętać, że lata 90. były bardzo trudne – zamykano zakłady pracy, tworzyła się polska bieda. Mieliśmy wtedy niezłe pieniądze na pomoc społeczną, w większości były to pieniądze rządowe, ale w części również samorządowe. Dzięki nim mogliśmy pomagać ludziom w sposób prawdziwy. Dawaliśmy taką kwotę, żeby ona naprawdę pomogła. Wysyłaliśmy tysiące dzieci z biednych, patologicznych rodzin na wakacje. Sama wyjeżdżałam z nimi w Bieszczady czy inne góry. Pamiętam tamten czas przez pryzmat człowieka – biednego, zagubionego, niepełnosprawnego, dziecka, które potrzebowało pomocy. Kiedy pani pyta, co mogę wymienić jako sukcesy, odpowiem: to, że nie zostawiliśmy ludzi samych.

Dramaty i oczekiwania

Mieliśmy dyżury, na które przychodziło wielu mieszkańców. Często z bardzo dużymi oczekiwaniami – od jednych otrzymywaliśmy informacje, co trzeba zmienić w mieście, jak to zmienić, ale też przychodziło wielu ludzi zagubionych z trudnymi sprawami żywymi, nieraz dramatycznymi. Było mnóstwo pracy. Dostawaliśmy za to marne diety, ale –

żeby było jasne – nam nie chodziło o pieniądze. Wtedy pozycja radnego była inna, wysoka, to rada wybierała prezydenta i rada mogła go odwołać. Nie było możliwe, żeby prezydent czy wiceprezydent nie przyjęli radnego, nie potraktowali go poważnie. Zresztą zadaliśmy o odpowiedni zapis w statucie, żeby radny miał narzędzia do pracy. Proszę pamiętać, że rozbudziliśmy wszyscy nadzieję na lepsze jutro. Kiedy ludzie uwierzą, że może się tak stać, to chcą rezultatu natychmiast. Zresztą wszyscy w to naprawdę wierzyliśmy.

Jedność pomimo różnic

Wszyscy chcieliśmy zmian, wszyscy wierzyliśmy w ich powodzenie, mimo że w ramach samego komitetu obywatelskiego były między nami wielkie różnice. Byłam najmłodszą kobietą radną, zostałam wiceprzewodniczącą rady. Zwykle posiedzenia rady prowadził Paweł Niewodniczański, przewodniczący. Twardo trzymał dyscyplinę, my go wspieraliśmy. Pamiętam jedno posiedzenie rady miasta, na którym Paweł oddał mi prowadzenie i nagle radni zrobili straszne zamieszanie, ponad podziałami. Nie sądzę, że złośliwie, raczej postanowili wykorzystać sytuację, która się nagle pojawiła – kobieta siedzi za stołem, po drugiej stronie większość to mężczyźni. I oni zgodnie ponad podziałami partyjnymi autentycznie mi przeszkadzali w prowadzeniu sesji. Tak się na nich zdenerwowałam, że straciłam głos, nie mogłam mówić. Paweł zrobił krótką przerwę, żebym mogła chwycić oddech i nabrać dystansu. Panowie dali mi wtedy rzeczywiście szkołę. Kiedy już odzyskałam głos, wróciłam, szybko wprowadziłam dyscyplinę i już do końca sesji był porządek. Nie było łatwo – ilu radnych, tyle pomysłów i nad tą różnorodnością trzeba było zapanować, Paweł sobie świetnie radził. I ja potem też. To doświadczenie dużo mnie nauczyło. Już potem żadne spotkanie, żadne przemówienie nie było mi straszne. Jak zwykle w polityce, w tamtej radzie było za mało kobiet. Nie chodzi o feminizm, ale myślę, że głos połowy populacji Polski powinien być mocniej słyszalny...

Myślę, że byliśmy w stanie wspólnie zabiegać o różne sprawy, choć tak bardzo się od siebie różniliśmy, dlatego że dużo ze sobą rozmawialiśmy, mieliśmy dużo spotkań towarzyskich, dzięki czemu lepiej się poznaliśmy. Bardzo dobrze wspominam tamten czas – to był jeden z najlepszych okresów w moim życiu.



Józef Pleśniak*

1928–2016

Główny energetyk na cenzurowanym

Radny pierwszej kadencji Rady Miejskiej w Lubinie, wiceprzewodniczący, pracował w komisjach rozwoju miasta i gospodarki komunalnej. Górnik, działacz Solidarności.

Całe swoje zawodowe życie związał z górnictwem. Pracę rozpoczął w kopalni Bolesław Chrobry w Wałbrzychu, następnie przeniósł się do kopalni barytu w Boguszowie. Po przeprowadzce do Lubina został zatrudniony na stanowisku głównego energetyka w Zakładach Górniczych Lubin. Jednak ponieważ nie chciał się zapisać do partii, w 1976 roku został zwolniony za porozumieniem stron i przeniósł się do ZG Polkowice, gdzie również był głównym energetykiem. Historia z lubińskiej kopalni powtórzyła się w polkowickiej, więc po otrzymaniu wypowiedzenia, znów za porozumieniem stron, przeszedł do ZG Sierszowice. Tam czekały go kolejne represje, za odmowę wstąpienia do PZPR w 1982 roku stracił stanowisko głównego energetyka i został starszym inspektorem nadzoru inwestycyjnego. Jednocześnie był cenionym pracownikiem, otrzymał odznaczenia państwowe: Srebrny Krzyż Zasługi (1966), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1972) i Order Sztandaru Pracy (1981), a także zakładowe: Zasłużony dla Zakładów Górniczych Lubin (1972) oraz Zasłużony dla Energetyki (1977).

Gdy w Lubinie powstał Komitet Obywatelski „Solidarność”, Józef Pleśniak wstąpił w jego szeregi i uczestniczył w przygotowaniu wyborów samorządowych oraz w kampanii wyborczej. Po miażdżącym zwycięstwie odniesionym przez komitet został radnym i pełnił funkcję wiceprzewodniczącego rady miejskiej.

* Pomimo usilnych starań autorce nie udało się dotrzeć do rodziny pana Józefa Pleśniaka.



Henryk Bober 1933–2005

Poruszyć zegar na kościelnej wieży

Radny pierwszej i trzeciej kadencji Rady Miejskiej w Lubinie, pracował w komisji bezpieczeństwa i porządku publicznego. Do samorządu wszedł z Demokratycznej Listy Obywatelskiej.

Pochodził z Raclawic koło Niska. Tam skończył technikum finansowe, a po służbie wojskowej – studium ekonomiczne w Stalowej Woli. Pracował w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Nisku i w tamtejszych Niżańskich Zakładach Przemysłu Maszynowego, produkujących urządzenia leśne. Latem 1966 roku za namową rodziny z Legnicy przyjechał na Dolny Śląsk i osiedlił się w Lubinie. Został zatrudniony w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń Rud Miedzi jako referent w dziale finansowo-księgowym. Od lutego 1972 roku przeszedł do ZG Lubin i pracował tam do emerytury – najpierw w dziale organizacyjno-prawnym jako specjalista, a później główny specjalista ds. organizacji i zarządzania.

Na fali reform Edwarda Gierka w latach 70. zapisał się do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, z której odszedł po roku 1980. Lewicowym poglądom jednak pozostał wierny.

– Był typem działacza. Z racji swojego stanowiska reprezentował ZG Lubin w różnych instytucjach i organizacjach, między innymi w Spółdzielni Mieszkaniowej Zagłębia Miedzowego, w MKS Zagłębiu Lubin, w Banku Spółdzielczym i PSS Spółem – wspomina Mieczysław Bober, syn Henryka Bobera. – Z ramienia ZG Lubin przez dwie kadencje zasiadał też w miejskiej radzie narodowej. Tato lubił się udzielać, nawet z mojej studniówki wrócił później niż ja – uśmiecha się syn radnego.

Kiedy w 1989 roku w Polsce zmienił się system i w 1990 roku ogłoszono wybory do nowego samorządu, Henryk

Bober wystartował z Demokratycznej Listy Obywatelskiej. Do Rady Miejskiej w Lubinie weszło wtedy czterech radnych reprezentujących Lewicę.

– Tato zajmował się głównie sprawami komunalnymi i sportem. Jako że miał przełożenie na KGHM, nieraz prosił kombinat o pieniądze dla miasta – mówi Mieczysław Bober. – Angażował się też w sprawy na linii MKS Zagłębie Lubin – samorząd.

W pewnym stopniu jego zasługą jest też renowacja za-
bytkowego zegara na wieży kościoła Matki Bożej Częstochowskiej.

– Pamiętam, jak z kilkoma radnymi uparli się, że doprowadzą do remontu zegara na wieży dużego kościoła. Szukali sponsorów, dotarli nawet do byłych mieszkańców Lubina w Niemczech – opowiada Mieczysław Bober. – Ojciec tym żył. Remont zabytku ostatecznie nie jest jego zasługą – doprowadzili do tego już inni ludzie, ale bez wątplenia był w grupie, która rozpoczęła starania o tę renowację.



Artur Dubiński

Chcesz coś zmienić? To startuj!

Czas radości i wolności. To moje skojarzenia z pierwszą kadencją samorządu. Czas wielkiej radości, bo w końcu uwierzyliśmy, że można być wolnym. Byliśmy w sumie młodymi ludźmi. Wchodząc od rady miejskiej, miałem 24 lata. Wcześniej podejmowaliśmy już jakieś działania, czasami skuteczne, czasami nie, bo jednak wobec bardzo silnego oporu władzy komunistycznej niewiele udawało się zrobić. Aż wreszcie okazało się, że najpierw praca komitetów obywatelskich, potem wolne wybory spowodowały, że mogliśmy się wykazać w naszej małej ojczyźnie.

Miałem o tyle komfort, że się urodziłem w Lubinie, tutaj spędziłem całe życie i chciałem zrobić coś dobrego dla tego miasta. Kiedy cała Polska szykowała się do wyborów, spotkałem się z prezydentem Raczyńskim, wtedy przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. I on mnie przekonał, powiedział: „Jeśli chcesz coś zmieniać, to startuj do rady miejskiej, bo inni będą się pchali i nie powstanie nic nowego. Będzie po prostu tak, jak było. Potrzebni są młodzi ludzie z nowym spojrzeniem, jeśli ma się coś zmienić naprawdę”. I tak się stało. Nie wahałem się w ogóle. Pomyślałem: „Dobra, to startuję”.

Nieznany ład

Wygraliśmy prawie w 100 procentach – na 40 miejsc do rady miejskiej weszło 36 osób z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Przed wyborami konieczne były prawyborry, bo bardzo wiele osób zaangażowało się w przemiany, entuzjizm opanował praktycznie całe społeczeństwo, więc chętnych do pracy w radzie mieliśmy znacznie więcej niż miejsc. Spotkaliśmy się w wielkiej sali w KGHM, przyszło wielu ludzi, cały przekrój społeczny i wiekowy – od młodych do bardzo doświadczonych jak pan Józef Pleśniak. Udało się – zostałem najpierw kandydatem, a potem radnym.

Wszystko trzeba było tworzyć od nowa. Kiedy zostaliśmy radnymi, nie było jeszcze prawa o samorządzie. Dopiero później zostały uchwalone ustawy: kompetencyjna i o komunalizacji mienia. Na początku kompetencje rad miejskich i rządów gmin były określone, ale jeszcze niedoprecyzowane. Brakowało na przykład przepisów dotyczących finansowania samorządów.

W 1990 roku nie było bezpośrednich wyborów wójtów, prezydentów, burmistrzów – wybierała ich rada miasta. Na pierwszej sesji wybraliśmy prezydenta i cały zarząd miasta. W urzędzie pracowała dawna ekipa, ale prezydent Raczyński był dość dynamiczny, młody i skutecznie sobie poradził w tej sytuacji.

Siła... różnorodności

Praca w radzie nie należała do łatwych. Spieraliśmy się, toczyliśmy dyskusje, ale bez wycieczek osobistych, bez hejtu – jak byśmy dzisiaj powiedzieli. Rozstrzyganie sporów i poszukiwanie rozwiązania problemów nie przychodziły łatwo, dlatego że nie stanowiliśmy w ramach komitetu obywatelskiego zgranej grupy. Ludzie się wtedy krystalizowali, kształtowali swoje poglądy. W ciągu czterech lat w Polsce narodziło się życie polityczne. Część radnych zaangażowała się politycznie, niektórzy zapisali się do różnych partii. Kilku radnych miało swoją historię, byli w PZPR. Różniliśmy się światopoglądowo.

Nie ma się co czarować – działaliśmy wspólnie, ale nie byliśmy jednością. Tym bardziej należy docenić, że umieliśmy ze sobą wszyscy normalnie rozmawiać. Po prostu wiedzieliśmy, że trzeba się dogadać w każdej kwestii – czy oświaty, czy zdrowia, czy spraw komunalnych. Nie przychodziło to jednak łatwo. Najpierw poszczególne tematy były analizowane na komisjach. One wypracowywały swoje stanowiska i przedstawiały je na sesji. I wtedy się zaczynała dyskusja. Fakt, że 7 czy 8 osób doszło do porozumienia na komisji, to był punkt wyjścia. Na sesji te osoby musiały przekonywać pozostałych trzydziestu kilku radnych, że to jest najlepsze rozwiązanie. I w ten sposób każdy temat był rozbiegany na czynniki pierwsze. Może to dobrze, a może źle – nie wiem. Wtedy to się sprawdzało. Na szczęście w urzędzie był bar i w przerwach podczas takich długich sesji cieszył się powodzeniem. Dzięki niemu można było przeżyć te wielogodzinne posiedzenia.

Razem zdrowiej

Wtedy zrodził się na przykład fajny pomysł, by wesprzeć służbę zdrowia, wówczas bardzo niedofinansowaną. Dzisiaj zresztą też... Wszyscy radni się zgodzili, choć to nie było zadanie gminy, tylko rządu, żeby jeden procent budżetu (obojętnie, ile to było) przeznaczać na wsparcie opieki zdrowotnej w mieście. Co roku ten jeden procent był zagwarantowany. Komisja zdrowia przyjmowała wnioski ze szpitali i przychodziła, opiniowała je i dzieliła pieniądze. Finansowaliśmy zakup sprzętu, czasem lekarstw. Raz radny Pleśniak mocno protestował przeciwko wspieraniu szpitali, bo za służbę zdrowia odpowiada rząd. Wtedy do mikrofonu podszedł doktor Klemaszewski i powiedział tak: „Mamy taką sytuację na oddziale: jest trzech śmiertelnie chorych. Mam tylko jedną ampułkę leku, który może im uratować życie. Pytanie: komu mam podać tę ampułkę?”. I wtedy skończyła się dyskusja, radny Pleśniak odpuścił. W tamtych latach wszystkiego brakowało. To był bardzo dramatyczny czas.

Nowe duże osiedle bez szkoły

Dużym wyzwaniem było rozwiązanie problemu oświatowego na Ustroniu IV. Czas gonił, mieszkało tam mnóstwo dzieci, które nie miały gdzie się uczyć. Dzięki staraniom rady miejskiej i prezydenta oraz – trzeba przyznać też pana Urbaniaka (bo to jego firma wykonała roboty) – stanęliśmy na wysokości zadania i wybudowaliśmy Szkołę Podstawową nr 4. To była jedna z najbardziej pilnych spraw do załatwienia. Stworzenie statutu miasta, różnych uchwał, spraw organizacyjnych na pewno było też równie ważne.

Pamiętam coś takiego jak komisja herbowa. Herb Lubina, który mamy, powstał w tamtej kadencji. Należałem do tej komisji. To jest najstarszy herb Lubina, jaki z prezydentem Raczyńskim znaleźliśmy w dokumentach historycznych. Dzisiaj to się może nie cieszyć powodzeniem czy uznaniem. Natomiast najstarsze dokumenty, w których się znajduje pierwsza pieczęć Lubina, przedstawiają właśnie ten z Matką Boską. Chyba wszyscy wtedy byliśmy za przyjęciem uchwały z tym związanej. Nie było żadnych wątpliwości co do potrzeby ustanowienia herbu i jego wyglądu. To jednak kwestia należąca do sfery organizacyjnej miasta. Herb, statut, flaga są potrzebne, ale ludzie bardziej interesowały szkoły, przedszkola, szpitale, drogi, miejsca pracy. Tak więc nad herbem czy statutem można pracować bez pośpiechu, a strategiczne tematy, jak wspomniana szkoła, trzeba było rozwiązywać pilnie.

Bez pieniędzy, komórek, komputerów...

Trzydzieści lat temu mierzyliśmy się z wieloma problemami, które dziś młodym ludziom trudno sobie wyobrazić. Dzisiaj żyjemy w innej rzeczywistości. Proszę sobie wyobrazić, że na przykład nie było telefonów komórkowych, nie było komputerów. Zdecydowana większość ludzi, radnych też, nie miała w domach telefonów stacjonarnych. Dopiero prezydent Raczyński zdecydował, że wszyscy radni powinni mieć telefony i wtedy im je podłączono. Dokumenty były pisane na maszynach, przez kalkę. To w pierwszej kadencji samorządu zaczęło się wprowadzanie do urzędu komputerów. Było mnóstwo potrzeb, każda miała swoje uzasad-

nienie, a miasto nie miało swoich pieniędzy na początku. Radni przekonywali się do skutku, co powinno być sfinansowane w pierwszej kolejności i zawsze dochodzili do porozumienia. Dawaliśmy się przekonywać, że w tym roku robimy to i tamto, a w następnym dopiero coś innego. Nie było żadnych bitew, wojen, rozgrywek, tylko pełne zrozumienie. Piękny czas.

Wiele rozmów z mieszkańcami

Mieliśmy kontakt z lubinianami. Dużym powodzeniem cieszyły się dyżury radnych, na które przychodziły po prostu tłumy. Ludzie mieli przekonanie, że radny wszystko może i radny wszystko załatwi. My sami tak o sobie nie myśleliśmy. Ciągłe zderzaliśmy się z rzeczywistością. Cokolwiek chcieliśmy zrobić, najpierw trzeba było wymyślić, skąd na to wziąć pieniądze. Potem musiała zapaść decyzja, powstać plan, następnie należało stworzyć projekt – to wszystko trwało. A potrzeby i oczekiwania ludzi były ogromne, głównie mieszkaniowe. Do 1990 roku dominowały mieszkania komunalne, które przydziałała władza. Część ze względów socjalnych, społecznych i w sposób uzasadniony, a część według uznania, jak się komuś podobało. Często ktoś, kto był w potrzebie, czekał latami, a bywało, że człowiek bardzo zasobny dostawał mieszkanie z puli miejskiej i nikt się nie przejmował, że to nie fair. Sprawa mieszkań to kolejny wielki temat, z którym przyszło nam się zmierzyć w latach 1990–1994. Doprowadziliśmy do uwłaszczenia i umożliwiliśmy ludziom wykup mieszkań komunalnych za 10 procent wartości. A później chyba nawet za 1 procent.

Sukces to podstawa

Za największy sukces pierwszej rady i pierwszego zarządu miasta uznałbym sprawy formalne, organizacyjne, przygotowanie podstaw funkcjonowania samorządu, podstaw finansowania i organizacji pracy, uporządkowanie terenów, uporządkowanie kwestii własności miasta. Kiedy zaczęliśmy pracę w radzie miejskiej, tak naprawdę grunty, budynki, zakłady pracy, instytucje były wszystkich i niczyje. Uporządkowanie tych spraw miało bardzo duże znaczenie dla dalszego rozwoju miasta.

Jedno z większych wyzwań stanowiło słynne Lubińskie Przedsiębiorstwo Komunalne. Miało ono w swoim zasobie wywóz śmieci, wodę, cementarzę, zieleni, mieszkania i tak dalej. LPK wymagało restrukturyzacji i to pilnie, bo przecież nie było sensu w tym, żeby miasto dopłacało do wody czy do śmieci. W tym molochu pieniądze się rozmywały. Każda funkcja musiała być wydzielona i wyceniona. Powstał program restrukturyzacji tego przedsiębiorstwa. Wiadomo, że pracownicy czuli obawy o pracę, ale nie chodziło o zwalnianie ludzi, tylko o uporządkowanie i normalne funkcjonowanie. I takie rozwiązanie się sprawdziło. Do dzisiaj funkcjonują MPWiK, MPO. Niestety, firmy, które wydzieliły się z LPK jako spółki pracownicze, na przykład budowlana (nie pamiętam nazwy), mimo że dostały preferencje i sprzęt, nie utrzymały się na rynku. Jednak większość usług, które można określić jako życiodajne funkcje miasta, przetrwała i w ramach spółek miejskich nadal jest świadczona. Czas potwierdził, że to było dobre i konieczne posunięcie, chociaż bardzo trudne. Pamiętam, że poszedłem z prezydentem Raczyńskim na jedno ze spotkań z pracownikami. Pełna sala, 150 może 200 osób, silne emocje, obawy, wątpliwości, trudne rozmowy. Bezrobocie wtedy było duże, w związku z tym te obawy były też zrozumiałe. Tłumaczyliśmy zasady przejęcia pracowników przez nowe spółki. Pamiętam to jako trudne zadanie, ale wiedzieliśmy, że tak trzeba było zrobić.

Radny się opłacał

W tamtym czasie nikt z nas nie myślał o pieniądzach, dietach – pracowaliśmy dla miasta. Diety były symboliczne. Zresztą nikt do nich nie przywiązywał większej wagi. To nie miało znaczenia. Radni mieli prawo do urlopu na czas sesji i nie było z tym problemów. Pracodawcy zawsze mieli korzyść z pracowników radnych, bo oni zawsze mogli coś dla zakładu pracy, szkoły czy szpitala załatwić. Nie ma co się czarować. Podobnie dla mieszkańców swojej ulicy. Wiadomo, że radny miał większą siłę przebicia. Niektórzy byli skromni i mówili, żeby u nich nie robić na przykład chodnika. Uważałem inaczej, przecież wszyscy będą po nim chodzić, nie tylko radny. Wspólna korzyść. O osobistych nikt wtedy nie myślał. Bez fałszywej skromności można powiedzieć, że mieliśmy poczucie służby wobec miasta.

Gdybym miał dzisiaj coś doradzić obecnym radnym, powiedziałbym – może to górnolotnie zabrzmie – żeby szukali dobra mieszkańców i najlepszych rozwiązań dla swoich sąsiadów z ulicy, z osiedla, z całego miasta, a nie bawili się w rozgrywki partyjne, bo to jest najgorsza szkoda dla samorządu. Jeśli w samorząd wchodzi partia, to ona mu szkodzi. Kiedy decyduje partia, a nie mieszkańcy, kończy się samorządność. W pierwszej radzie miejskiej był na przykład radny z SLD [wówczas istniała SdRP, poprzedniczka SLD – przyp. AG] Józek Wawrzyniak, ale jego partia o niczym nie decydowała. Nawet jeśli on miał inne spojrzenie, inny światopogląd, to i tak zawsze patrzył z punktu widzenia miasta. Pokazywał, że można się różnić i spierać, czy zrobić chodnik, basen, drogę, czy kanalizację, ale on chciał zrobić coś dla Lubina, nie dla partii. Teraz, niestety, często partia decyduje i nie zawsze jest to w interesie miasta. Tak więc warto uciekać od polityki w samorządach. O to bym prosił.



Waldemar Flądro

Choroba wieku dziecięcego

W pierwszej kadencji samorządu lubińskiego było najwięcej pasji ze wszystkich dotychczasowych. Wierzyliśmy w to, że zostaliśmy wybrani, aby coś zmienić, a nie po to, żeby żyć z diet. Szedłem do wyborów z przekonaniem, że uda nam się rządzić uczciwie i rzeczywiście poprawić warunki życia w mieście. Rozumieliśmy, że to mieszkańcy są naszymi wyborcami, a nie my rządzącymi mieszkańcami. Takiej postawy dzisiaj za bardzo nie widać. Mówię generalnie o Europie. Dzisiaj wybiera się ludzi, którzy się mizdrzą, a potem udają, że są władcami. To nie ten styl. Jeśli chcieliśmy demokracji, to ją mieliśmy. Rzeczywiście tworzyliśmy ją od początku.

Muszę powiedzieć, że ustawa o samorządzie w pierwszym wydaniu była prosta, klarowna, nieskomplikowana i pozwalała działać. Dużo pracowaliśmy, ale to była przyjemność. Pytaliśmy, co i jak trzeba zrobić, a nie za ile. Na początku nie było nawet diet, a później najwyższą, jaką pamiętam, wynosiła 180 złotych. Zwykle jeszcze połowę diety oddawaliśmy Eli Palej, która potrafiła przybiec i zabrać na cele charytatywne dla dzieci czy kogoś innego w potrzebie. Nikt nie odmawiał, zresztą jej się nie dało odmówić.

Zdarzało się niejednokrotnie, że radni niebędący członkami komisji przychodzili na posiedzenie, bo temat, nad którym pracowała komisja, ich interesował. Oczywiście nie mieli za to płacone. Zresztą płacono nam ryczałt, bez względu na to czy było 17 komisji czy jedna w miesiącu.

Służba, a nie władza

Bycie radnym to jest służba. Jeżeli staję do wyborów i ktoś mnie wybiera, to przed tym kimś odpowiadam. W demokracji szlacheckiej, tej pierwszej, przed oligarchią magnacką, były sejmiki. Wybierano posła, który miał załatwić konkretne sprawy na sejmie. Jeżeli wrócił, nie załatwiwszy ich, to potrafił go rozsiekać. Nie mówię, żebyśmy byli aż tak drastyczni, ale dobrze by było, żeby rządzący odpowiadali przed wyborcami, bo to ludzie są suwerenami.

Największe sukcesy?

Myślę, że komunalizacja majątku, bo to było gigantyczne wyzwanie. Prezydent Raczyński razem z zarządem, który miał przy sobie, wtedy jeszcze wybieranym przez radę, przeprowadzili ten proces doskonale. Potem starali się uwłaszczyć ludzi, czyli dać im ten majątek. To jest kolejna rzecz, którą rozumieliśmy – samorząd nie powinien mieć majątku, a jedynie pełną kontrolę nad pewnymi obszarami najważniejszymi dla mieszkańców, jak ciągi komunikacyjne, woda albo gospodarka odpadami. Dlaczego samorząd ma zarządzać mieszkaniem, w których mieszkają ludzie?

Do sukcesów zaliczyłbym szereg spraw remontowych, uporządkowanie finansów miasta – Lubin był na plusie i to jest ważne. Na sukces składa się mnóstwo drobnych spraw. Pierwsza kadencja nie była spektakularna. Wtedy kładliśmy podwaliny. Wtedy zaczęto na przykład budować samorządową „Czwórkę” – ale to już był sukces Tadka Maćkały i drugiej kadencji. To było jego oczko w głowie, zresztą najlepsza szkoła podstawowa w mieście, oczywiście oprócz „Trzynastki”, w której pracowałem.

Geografia i Kisiel

Zmieniliśmy herb, nazwy ulic, flagę i tym podobne rzeczy. Próbowaliśmy przywrócić poczucie małej ojczyzny z jej symbolami, a jednocześnie pamiętać, że to miasto ludzi o różnych poglądach. Należałem do komisji herbowej, konsultowaliśmy się z prof. Marianem Haisigiem z Uniwersytetu Wrocławskiego, jednym z największych autorytetów w Europie od heraldyki i sfragistyki, czyli herbów i pieczęci. Zmieniając nazwy ulic, unikaliśmy polityki. Jako szef komisji tłumaczyłem kolegom, żebyśmy zmienili nazwy tak, żeby ich nie zmieniać ponownie. Dlatego nie zamienialiśmy odchodzących wraz z epoką bohaterów kolejnymi. Nazw typu Karonoska, Śląska chyba nikt nie będzie kwestionował.

Jedynym wyjątkiem była ulica czy raczej skwer im. Stefana „Kisiela” Kisielewskiego. Pozwoliłem sobie na odrobinę egoizmu w tym względzie, bo uważam go za jednego z najinteligentniejszych ludzi. Zresztą ostatnio często powtarzam jego brutalne sformułowanie – on w latach 60. pozwolił sobie na taką myśl: „To, że jesteśmy w czarnej dupie, to wszyscy widzimy. Gorzej, że zaczynamy się w niej urządzać”.

Pracowałem też w komisji oświaty jako nauczyciel. Paweł Niewodniczański mówił, że to była najgorsza komisja, bo tworzyli ją sami nauczyciele i nie dało się z nami pogadać. Coś w tym chyba było.

Ważne, by pomóc

Najtrudniejsze były spotkania z mieszkańcami na dyżurach. Przychodzili różni ludzie. Kiedy jeszcze radni pośrednio mieli wpływ na rozdział mieszkań komunalnych, to 90 procent przychodzących prosiło o pomoc w przyznaniu mieszkania. A to nie było takie proste, bo mieszkań brakowało. To duże obciążenie, ciężki balast, gdy ludzie przychodzili i patrzyli na nas, oczekując pomocy. Staraliśmy się pomagać wszystkim. Nie zdarzyło się za tamtej kadencji, żebym słyszał popularne określenie „radny bezradny”. Byliśmy ze sobą w kontakcie jako radni. Jeżeli nie mogłem zająć się czyjąś sprawą, to przekazywałem ją komuś innemu. Przecież nie można znać się na wszystkim.

Mieliśmy świetnie zorganizowane biuro rady, otwarte, bezpośrednio, kompetentne z panem Staszkiem Dobrowolskim, później Barbarą Tórz i zawsze uśmiechniętą Grażyną „Damy Radę” Marcuk. Dla tej ostatniej wiek emerytalny powinien wynosić 99 lat z opcją przedłużenia przez przewodniczącego rady do 105.

Bez tryumfalizmu

Na 40 radnych 34 osoby pochodziły z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Miażdżąca przewaga, ale nigdy nie czuło się jakiejś niechęci, sekowania kogoś, utrudniania komukolwiek wypowiedzi. Unikaliśmy tryumfalizmu. Chodziło o to, żeby postarać się podejmować dobre decyzje dla ludzi, którzy nas wybrali, a nie o to, żeby pokazywać komuś, że teraz my rządymy i wam pokażemy. Mimo że rok 1990 był jeszcze przełomowy, bo komuna odchodziła powoli i nie odeszła do dzisiaj, to nie mieliśmy problemów, żeby ze sobą współpracować. Nie byliśmy idealną radą, ale myślę, że byliśmy radą, która nie narobiła w mieście bałaganu, a to jest chyba najważniejsze. Zwłaszcza że trudny czas przełomu sprzyjał chaosowi. Trzeba było współpracować nie tylko z ludźmi, którzy chcieli zmian, ale także z tymi, którzy tęsknili za PZPR. Ktoś kiedyś pięknie i jednoznacznie powiedział: „albo wieszaj, albo współpracuj”. Postawiliśmy na współpracę, mając świadomość przewagi i potrafiąc ją odróżnić od zemsty.

Pies, czyli kot i czerwony guziczek

Bywało zabawnie. Sesje trwały godzinami, pierwsi wychodzili z nich lekarze, bo mieli swoje obowiązki. Uważaliśmy, że dla usprawnienia większość rzeczy trzeba ustalać w komisjach. Jednak nie obywało się bez dyskusji. W tamtym czasie powstała lokalna telewizja. Sesja to świetna okazja, by się pokazać znajomym, sąsiadom. Pamiętam bardzo długą dysputę na temat wysokości podatku od posiadania psa. Każdy się znał i musiał wypowiedzieć. W końcu Darek Milka nie wytrzymał, podniósł rękę i powiedział, że ma taki wniosek formalny, żeby zapisać w uchwale, że przez psa rozumie się również kota. Na co odezwał się radny Zbyszek Kot, że on sobie wyprasza.

Przesympatyczny radny Wawrzyniak, straszna gaduła na sesjach, pewnego pięknego dnia zabrał głos. Mówił i mówił, w końcu Paweł Niewodniczański nie wytrzymał i mu przerwał: „Panie radny, już wystarczy”. I w tym momencie weszła telewizja, ustawiła kamerę na wprost pana radnego, więc zgłosił się ponownie i zaczął mówić jeszcze raz to samo. Nikt mu nie przerywał. Przeczekał. Skończył. I wtedy Darek Milka podniósł rękę i powiedział: „Przepraszam bardzo, ale chciałem panu radnemu powiedzieć, że jeśli ten czerwony guziczek się nie palił, to się nie nagrało”. Trzeci raz nie został dopuszczony do głosu.

Nie potrzebowaliśmy mikrofonów, przycisków do głosowania, maszyn. Zazwyczaj dwóch najmłodszych (byłem w tej grupie, tempus fugit) liczyło głosy i nigdy nikt nikomu nie zarzucił, że jest coś nieuczciwie czy źle policzone, nikomu by do głowy nie wpadło, żeby tak zrobić.

Śp. doktor Czesław Klemaszewski, cudowny człowiek, który w stanie wojennym pomógł wielu ludziom, był lekarzem internistą i psychiatrą. Jeden z kolegów radnych, zabierając głos któryś raz, zaczął wygadywać bzdury. Dr Klemaszewski zwykle nie zabierał głosu na sesji, ograniczał się do głosowania, był aktywny w komisjach. Wtedy jednak podniósł rękę, co było wydarzeniem, wstał, popatrzył na tego radnego i powiedział: „Drogi kolego, zaczynam się o pana naprawdę niepokoić” i usiadł.

Nie traktowaliśmy się śmiertelnie poważnie. Podejmowaliśmy poważne decyzje dotyczące ludzi, natomiast do siebie podchodziliśmy z dystansem i humorem.

Galeria osobowości

Pierwsza kadencja była niepowtarzalna. Mam bardzo sympatyczne wspomnienia z pierwszej kadencji. Wspaniałe kobiety: śp. pani doktor Zofia Sarna, Helena Hatka (wtedy szefowa MOPS-u w Lubinie, a później senator i wojewoda lubuski), Ela Palej – logopeda dynamit, panie dr Przygoda i Sołtysiak. Myślę, że każdy w tamtej radzie był barwną postacią.

Śp. Karol Seweryniak – człowiek który, gdy zaczynały się tendencje do tego, żeby mościć sobie gniazdko, nie mógł zrozumieć. Chodził i mówił, że to jest niemożliwe. Ale to się działo już później w następnej kadencji, gdy wzrosły diety i niektórzy zostali wręcz zawodowymi radnymi.

Antek Wysocki, który przeszedł trudną drogę prywatnie i podołał, a politycznie zawsze pozostał sobą – wiem, że do dzisiaj. Jest wciąż samorządowcem pierwszej kadencji z własnym zdaniem, w swoim mieście.

Paweł Niewodniczański – pierwszy facet, który pokazał mi, że jest coś takiego jak jazz. Nudził się jak mops na meczach piłki nożnej. Pamiętam, że na spotkaniu Pucharu Intertoto w Lubinie odwróciłem się i zobaczyłem Pawła czytającego *Rzeczpospolitą* (wtedy to była duża płachta) – fakt, mecz widowiskiem wielkim nie był. Przekonywał mnie natomiast, średnio skutecznie, do koszykówki. Uważam, że był najlepszym przewodniczącym, świetnie panował nad czterdziestoosobowym towarzystwem, a to nie było takie proste.

Byli i są wciąż „młodzi” – Artur Dubiński, z którym przesiedziałem I LO Kopernika i kadencję, i jeszcze kadencję, i wiele koncertów. Piotrek Langner, bezwzględny liberalny konserwatysta, który powtarzał: „Oprócz Kisiela jest Korwin”.

Jeszcze przed napisaniem monografii Lubina przygotowanej przez naukowców, kompendium o przeszłości przygotował niezwykle człowiek. Pamiętam, że na poddaszu

urzędu, w pokoiku bez klimatyzacji, pracował śp. Jan Biliński – kronikarz miasta. Człowiek niesamowitej wiedzy, pasji i miłości do tego miejsca, w którym żył i dano mu szczęście spacerowania z tą niezapomnianą zieloną torbą przewieszoną przez ramię.

Każdy miał osobowość. Różniliśmy się poglądami, doświadczeniem, temperamentem, ale nie przypominam sobie sztywniaka w tej radzie, czyli kogoś, kto by nie pożartował. Każdy każdemu podawał rękę. Może to taka choroba wieku dziecięcego tamtego samorządu, ale po prostu było fajnie.

Blisko ludzi

Nastawienie mieszkańców do radnych było dobre. Kandydowałem ze swojego osiedla, głosowali na mnie moi znajomi i sąsiedzi. Miałem wręcz wrażenie, że byli dumni, że udało im się swojego faceta wprowadzić. Co nie znaczy, że jeśli im się coś nie podobało, to nie potrafili zaczepić na ulicy i powiedzieć, co myślą, ale na tym to ma polegać.

Pracowałem też w komisji statutowej. Napisaliśmy statut miasta, podstawę funkcjonowania, oczywiście z pomocą radców prawnych, ale tak, żeby był zrozumiały dla ludzi. Bycie radnym rozumieliśmy bowiem jako obowiązek i służbę, a nie powód do wywyższania się. Nikt o tym nie myślał. Przepelniał nas entuzjazm i poczucie, że zmieniamy świat. Mało tego, uważaliśmy, że podjęliśmy parę decyzji nieodwracalnych, dobrych dla miasta.

O tym, że ta pierwsza rada pracowała nieźle, świadczy sukces prezydenta Raczyńskiego w 2002 roku, kiedy podjął niełatwą decyzję – wrócił po 8 latach nieobecności. Wygrał wybory, bo był pamiętany. Część radnych, jak Darek Jankowski, nadal działa w radzie.

Polityka z Warszawy, partyjne odwzorowania sprawiły, że niektórym znudziła się „zabawa” w samorząd, dlatego że od kuchni już nie jest teraz taki różowy, jak wydawać się może. Co nie zmienia faktu, że samorząd jest potrzebny. Ograniczanie go nie ma sensu. Nikt nie wie lepiej, co jest dobre dla ludzi, niż oni sami. A, jak mawiam, dziura w jezdni nie ma barw politycznych, jest problemem do usunięcia.

Tym, którzy dali mi szansę doświadczenia tych czterech lat, bardzo dziękuję. Tych, których zawiodłem – przepraszam. Pozdrawiam Radnych 1990–1994 i tych wciąż tu, i tych w innych miejscach.



Ryszard Janeczek

Entuzjazm w czasach, gdy nic nie było oczywiste

Na samym początku był wielki entuzjazm, który ogarniał wszystkich. Angażowałem się wtedy mocno w pracę w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń. Wystartowałem w konkursie na dyrektora. Jeszcze nie dostałem nominacji, ale już było wiadomo, że wygrałem, gdy kilku moich kolegów, m.in.: Jan Zimroz, Paweł Niewodniczański, Henryk Karaś namówiło mnie do startu w wyborach samorządowych. Przekonywali, że w nowej radzie miejskiej potrzebny jest prawnik, a ja byłem wykształconym, licencjonowanym i doświadczonym radcą prawnym. Miałem jeszcze jeden atut, który uważali za bardzo istotny – byłem bezpartyjnym prawnikiem z doświadczeniem.

Aktywni debiutanci

W maju 1990 roku do rady miejskiej weszli prawie sami nowi ludzie, pełni ideałów, ale zupełnie bez doświadczenia. Poza dwoma czy trzema radnymi lewicowymi, większość stanowili debiutanci, a z prawem jest trochę jak z medycyną – wszyscy się na nim znają, każdy ma własny pogląd, ale podejmowane uchwały muszą być niepodważalne, sformułowane we właściwy sposób, bez błędów formalnych i w zgodzie z obowiązującymi przepisami. Nieznajomość prawa nie tylko nie usprawiedliwia, nieznajomość prawa, jak mówią prawnicy, szkodzi. Powoduje negatywne skutki, a potem nie można się powołać na to, że się nie wiedziało.

Oczywiście grono prawników było szersze. Urząd miasta zatrudniał prawnika. Prawo skończył Tadeusz Maćkała, ówczesny wiceprezydent, jednak w moim rozumieniu ktoś, kto skończył studia prawnicze, ale nie pracował w zawodzie, prawnikiem praktycznie użytecznym nie był. Natomiast liczba to nie wszystko, bardzo często prawnik był potrzebny na sesji. Często w trakcie głosowania pojawiał się problem, który wymagał rozstrzygnięcia na bieżąco. Na przykład kwestia co to jest większość, co to jest większość kwalifikowana, która jest względna, a która bezwzględna. Niektóre określenia są mylące i niewystarczająco jasne. Należało je wyjaśnić. Kolejna sprawa to projekty uchwał, które przygotowywano pod względem prawnym, ale radni mieli dużą skłonność do wprowadzania zmian do treści uchwał na sesji po dyskusjach. I gdy następowały zmiany, powstawało pytanie, czy zapis w nowej wersji brzmi wystarczająco jasno, czy nie jest dwuznaczny, czy obejmuje krąg podmiotów zamknięty czy otwarty, czy jest zgodny z przepisami wreszcie. Gdy radni próbują wyrazić swoje poglądy, muszą pamiętać, że one się potem przełożą na działania. I te działania muszą być zdefiniowane: odkąd dokąd, kogo dotyczą, kogo nie dotyczą i tak dalej. Pracy nie brakowało, bo aktywność radnych w tamtym okresie była bardzo duża i powodowała dość poważne zaburzenia. Dyskusje nieraz trwały do późna, zaczynały się od rzeczy praktycznych, a bardzo często kończyły na światopoglądowym stanowisku czy kolizji tych stanowisk. Pamiętajmy, że to była rada, która zrzeszała różne grupy i różne orientacje.

Cmentarz i woda

Najważniejsze były sprawy związane z bieżącym funkcjonowaniem. Nie chodzi tylko o odnalezienie się w tworzącym się nowym systemie, ale o czynnik, który modyfikował wszystko, o entuzjazm. Wtedy nikt nie miał wątpliwości, poczucia, że czegoś nie rozumie. Każdy rozumiał sytuację po swoim i był przekonany, że ma rację. Światopogląd światopoglądem, ale były dwie większe sprawy, które należało pilnie załatwić.

Pierwsza to problem miejsc na cmentarzu. Stary już się wtedy kończył, wiadomo było, że zbliża się jego zamknięcie, a nowego jeszcze nie mieliśmy. Tak więc jednym z pierwszych tematów, którymi rada musiała się zająć, był cmentarz w Oborze. Pamiętam, że toczyły się ogromne dyskusje, dla-

czego on jest taki duży, po co kupiono tyle hektarów. Niektórzy radni zastanawiali się, po co tyle miejsc parkingowych przy cmentarzu, po co przystanek autobusowy. Wtedy też od razu było planowane krematorium, jednak początkowo nie wystarczyło na nie pieniędzy. Cmentarz budził ogromne emocje.

Drugi bardzo ważny temat, który pamiętam, dotyczył wody. Lubin miał deficyt wody. Radni sprawdzali, jak wyglądała koncepcja Wielkiej Wody, czy spełni swoje zadanie. Okazało się, że mamy na terenie miasta studnie artezyjskie o dużej wydajności i że korzystają z nich Zakłady Górnicze Lubin. Urealniliśmy ceny i te szacunki doprowadziły do spadku zużycia wody blisko o połowę. Raptem się okazało, że żadna Wielka Woda nie jest miastu potrzebna. Lubin może się zapatrywać w wodę własnymi siłami. Zakłady Górnicze Lubin przestały korzystać z miejskich ujęć i skończył się problem. Co więcej, okazało się, że nie tylko nie brakuje wody, ale że ona jest niezłej jakości. Pozostał problem ceny – pamiętajmy, że początek lat 90. to czas reformy Balcerowicza i ogromnej inflacji, więc urealnianie cen było urealnianiem ich na trzy, może cztery miesiące, czasem na pół roku. Proszę sobie wyobrazić, że miesięczna inflacja na początku wynosiła prawie 70 procent. Wielu instytucjom brakowało pieniędzy, między innymi Polskiej Miedzi.

Czas wypełniony po brzegi

W maju zostałem radnym, a 1 lipca dyrektorem Zakładu Budowy Kopalń. Byłem zapracowany, do tego musiałem uzupełnić wiedzę z obszaru zarządzania. Szkolenia, które jak studia prowadziły do uzyskania dyplomu z zarządzania, mocno mnie absorbowwały. Odbływały się w Warszawie, więc co pewien czas na 3–4 dni jechałem do stolicy. Bardzo intensywny czas. Do miasta przynosiłem informacje o mechanizmach, które działy się w Polskiej Miedzi, o zmianach zachodzących w firmie, bo jednak Lubin jest z nią mocno związany. Można powiedzieć, że jest to jeden organizm, często różny politycznie, ale związany poprzez ludzi i wspólne przedsięwzięcia.

Gdyby nie było tego entuzjazmu, o którym wspominałem na początku, wiele spraw nie byłoby chyba do pogodzenia. Miałem wtedy 38 lat, jako radca prawny pracowałem w nie-

jednej firmie i wiedziałem, że jest co zmieniać, że skala potrzeb jest ogromna, ale najważniejsza była świadomość, że wreszcie można tych zmian dokonać. Widziałem, że można zmieniać firmę, którą kierowałem i miasto, że można ograniczać marnotrawstwo, np. wody, rezygnując z trudnego i nierealnego programu Wielka Woda, który nie wiem, gdzie i po co ktoś wymyślił.

Operacja na żywym organizmie

Co uważam za najważniejsze dokonanie pierwszej kadencji samorządu? To, że miasto działało i że wszystko w nim funkcjonowało. Miasto, jak każda organizacja, ma swoje wymogi i potrzeby – komunikacja, szkoły, sklepy, szpitale, spółki i wiele różnych rzeczy. U steru stała bardzo fajna para młodych ludzi, dziś bardzo już doświadczonych. Wtedy obaj byli debiutantami. Prezydent Raczyński i jego zastępca Tadeusz Maćkała – historyk archiwista i prawnik, debiutanci, a jednak miasto pod ich rządami dobrze funkcjonowało. Oczywiście, dzięki intensywnej pracy, pytaniu po 15 razy, szukaniu rozwiązań, dowiadrywaniu się między innymi, jak działa zarządzanie w Polskiej Miedzi, jak w innych miastach i organizacjach. Wtedy wszyscy byli otwarci na dzielenie się doświadczeniem. Nowe samorządy, nowi prezydenci, nowi radni kontaktowali się ze sobą i wymieniali informacjami. I to wszystko w czasach bez internetu i telefonów komórkowych, a do tego w sytuacji zmian gospodarczych.

Miasto musiało funkcjonować, mimo że okoliczności w całym kraju były trudne, niestabilne. Miało swoje problemy, jak spółki czy instytucje, których pracownicy musieli dostać wypłaty. Dzisiaj to oczywiste, że pieniądze wpłyną na nasze konto w banku. Wtedy nic nie było oczywiste. Proszę sobie wyobrazić, że kiedyś pożyczyłem pieniądze na wypłaty dla pracowników PeBeKi od dyrektora kopalni Rudna. Pożyczyłem – jako firma – i oddałem, gdy tylko Polska Miedź zapłaciła nam za wykonane prace. Dziś to jest nie do pomyślenia. Przecież to była góra pieniędzy, dla tylu pracowników. Wyobraża sobie pani, że dziś ktoś tak komuś pożyczycza? Dziś jedna firma nie może pożyczyć drugiej firmie. Na szczęście taka sytuacja miała miejsce tylko raz. Takie to były czasy – z jednej strony niepewność, niestabilność, a z drugiej strony ogromny entuzjazm i chęć pomocy.



Dariusz Jankowski

Czuliśmy, że razem możemy coś zmienić

Pierwsza kadencja samorządu lubińskiego była bardzo rzeczowa. Tym bardziej że zostając radnymi, nie wiedzieliśmy tak naprawdę, co to jest ten samorząd, jak działa, co będzie dalej. Gremium dużo większe niż obecnie – w latach 1990–1994 mieliśmy w Lubinie 40 radnych miejskich. Czuliśmy się, jakbyśmy wychodzili z podziemia. Wcześniej się chowaliśmy, komitet obywatelski, który tworzyliśmy, rodził się na spotkaniach na ulicy Mieszka (kiedyś to była ulica Ścinawska). W przejściu, gdzie teraz jest jubiler, wynosiliśmy ławeczki z kościoła, żeby można było usiąść albo składaliśmy siedziska z desek i ustalaliśmy, co chcemy robić, co zmieniać. Wystartowaliśmy w wyborach i wygraliśmy z wielką przewagą.

Prezydent w trampkach

Pamiętam pierwsze posiedzenie. Prezydent Raczyński przyszedł na sesję w trampkach i tego dnia został wybrany na to stanowisko. Był najmłodszym w Polsce prezydentem miasta. Wielu ludzi to mocno zaskoczyło. A wielu nie, bo przecież to on był szefem komitetu obywatelskiego. Kiedy zostaliśmy sformalizowani, podzieliliśmy się na komisje i zabrał się do roboty. Później okazało się, że mamy dietę. Ale co to jest ta dieta? Nikt z nas nie wiedział, w ogóle nie sądziliśmy, że radni dostają jakiegokolwiek wynagrodzenie, przywileje, legitymacje. Pierwsze miesiące to ciągłe nowości i zaskoczenia. Uczyliśmy się między jedną sesją a drugą, co możemy zrobić, co możemy stworzyć, jakie mamy możliwości, jakie zadania. Nierzadko działaliśmy po omacku. Brakowało rozporządzeń, wiele spraw należało wyczuć. Trochę to było balansowanie na krawędzi.

Ilu radnych, tyle zdań

Radę miejską tworzyli ludzie z różnych grup, różnych zawodów – lekarze, nauczyciele, rzemieślnicy, kierowcy, prawnicy. Reprezentowaliśmy różne opcje polityczne. Było kilka osób w tej radzie, z którymi dobrze się rozmawiało i kilka nastawionych na „nie”. I to na zasadzie: „nie, bo nie”. Czasem reszta musiała ich bardzo długo przekonywać do różnych pomysłów, inicjatyw, inwestycji. Nawet, gdy wydawało się, że sprawa jest oczywista. Pamiętam taki przykład: strzeliła lampa rentgenowska w szpitalu na Bema. Trzeba było kupić nową, a to był wydatek kilku czy kilkudziesięciu tysięcy złotych. Dla mnie i części radnych było oczywiste, że miasto musi tę lampę kupić, ale część ludzi się nie zgadzała. Dopytywali, dlaczego miasto ma to robić, do kogo szpital należy itp. Ostatecznie kupiliśmy tę lampę. Inna, podobna sytuacja: zepsuła się kanalizacja lub instalacja wodna w szkole. I znów – dlaczego miasto ma to robić. Wtedy jeszcze szkoły prowadziło kuratorium oświaty, a nie gmina. Padały takie na przykład zdania na sesji: „A nie można wziąć dwóch bezrobotnych i niech naprawią”. Przecież musi być projekt, kosztorys itd. Czasem o takie rzeczy się spierałiśmy.

Szkoda czasu na interpelacje

Dla mnie to był przede wszystkim czas nauki. Nigdy nie napisałem żadnej interpelacji. Bo po co? Zawsze, gdy chciałem coś wiedzieć, szedłem do konkretnego wydziału w urzędzie miasta czy do konkretnej jednostki i pytałem, prosiłem o informacje lub o wyjaśnienie, gdy czegoś nie rozumiałem. Przecież to wszystko było dla nas nowe. Tak długo pytałem, aż wiedziałem, że jestem merytorycznie przygotowany do sesji i do podjęcia takiej czy innej uchwały. Jeżeli chodziło o budowę drogi, to szedłem do inspektorów nadzoru i pytałem, co trzeba położyć w ziemi od dołu do góry, żeby droga była porządna, gdzie biegną instalacje itd. I wtedy wiedziałem, czy dane miejsce nadaje się na drogę, boisko lub inny obiekt, czy taka albo inna inwestycja jest w danym miejscu możliwa. Poza tym lubię rozmawiać z ludźmi, wolę dialog. Nie mówię, że wiem wszystko. Dopytywałem o koszty. Radny musi się orientować, jeśli ma podejmować decyzje. Wypytywałem o budżet, o konkretne przesunięcia, słupki, cyferki. Chciałem głosować świadomie.

Wielka sprawa

Można powiedzieć, że trochę to było zmienianie świata, a na pewno przechodzenie do nowej rzeczywistości, pełnej niewiadomych. Kiedy człowiek jeszcze uświadamiał sobie, że ma na coś wpływ! Nieraz się pojawiła myśl: „O Jezu! To jest wielka sprawa”. Odpowiedzialność czuły zwłaszcza te osoby, które weszły do zarządu miasta. Zwłaszcza, gdy musiały podpisywać akty notarialne, dokumenty z różnych komisji, z przetargów. A wtedy podejście do przetargów bywało czasem bardzo dziwne. Na przykład ktoś dawał tak strasznie niską cenę, że aż pytałem, z czego zapłaci ludziom za pracę. Wszyscy się uczyliśmy. Czasami trzeba było trochę zaryzykować, ale jak się patrzy na miasto z tamtych czasów i dziś, to widać, że się opłacało. Wtedy prawie nic nie było jasne, nie było wiadomo, czy trafimy z naszymi decyzjami, czy idziemy w dobrym kierunku. Teraz widać, że tak, ale wtedy to nie było oczywiste. Czuliśmy, że robimy dobrze, byliśmy przekonani do swoich decyzji, ale pewność przyszła później.

Entuzjazm i odpowiedzialność

Trudność była jeszcze inna, wszyscy uczyliśmy się samorządu, nieraz dyskusje i wzajemne przekonywanie się do różnych rozwiązań trwały bardzo długo. Przesiadaliśmy w urzędzie wiele godzin, nieraz do późna. Bywały długie rozmowy, zwłaszcza że niektórzy czuli potrzebę przemawiania i czasem zachowywali się, jakby wygłaszali orędzie do narodu. Dlatego sesje tyle trwały. Mniej więcej po roku było lżej. Ukształtowały się grupy radnych podobnie myślących i decyzje zapadały szybciej. Po roku czy dwóch zaczęło przychodzić do radnych wielu mieszkańców z konkretnymi problemami do załatwienia, czasem też ludzie podpowiadali nam rozwiązania. Wszyscy wierzyli, że można dużo zmienić. Czuło się entuzjazm, ale przede wszystkim duże poczucie odpowiedzialności. Może jeszcze nie do końca mieliśmy wrażenie, że to jest w pełni nasze miasto, ale że zaczyna być nasze. Mieliśmy poczucie, że jesteśmy równi, mimo że uprawialiśmy różne zawody, mieliśmy różne wykształcenie, doświadczenie, wiedzę, czuliśmy, że razem możemy coś zmienić.

Zrobić, a nie zarobić

Co uważam za największy sukces? Przekonanie wszystkich, nawet osób z SLD [wtedy z SdRP – przyp. AG], że mamy wspólne cele, niezależnie od poglądów. Zaczęliśmy razem decydować, które drogi w mieście należy wyremontować, że trzeba ratować rozpadający się budynek dzisiejszego Centrum Kultury „Muza”, że razem zmienialiśmy to miasto. To wszystko w obliczu wielu trudności, przede wszystkim finansowych. Miasto nie miało na początku swojego budżetu, nie było wiadomo, co możemy robić, czego nie, na co dostaniemy pieniądze, na co nie. System prawny dopiero się rodził. Poruszanie się w nim stanowiło duże wyzwanie. Ale daliśmy radę, bo wierzyliśmy w sens naszych starań. Bardzo bym się cieszył, gdyby praca w radzie była społeczna, bez diet, bez przywilejów. Wtedy radnymi zostawaliby tylko ci, którzy naprawdę chcą coś zrobić dla drugiego człowieka i dla miasta, a nie zarobić.



Zdzisław Jarosz

1945–2010

Serce na dłoni

Radny pierwszej i drugiej kadencji Rady Miejskiej w Lubinie, do której wszedł z ramienia Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, działał w komisjach gospodarki komunalnej oraz bezpieczeństwa i porządku publicznego. Pięściarz, górnik-operator, społecznik, przez ćwierć wieku społeczny prezes Klubu Federacji Konsumentów w Lubinie, przez lata honorowy dawca krwi, udzielał się w PCK.

Pochodził ze Śląska. Trenował boks w klubie BBTS Bielsko-Biała, a później w Górniku Polkowice. Stanisław Gładysz, były trener Zagłębia Lubin mówi, że „to kawał zawodnika”.

– O ile się nie mylę, był w kadrze młodzieżowej. Boksował w wadze lekkiej i półśredniej. Miał dość silne uderzenie i jednocześnie to był pięściarz myślący w ringu – dodaje znawca środowiska sportowego Zagłębia Miedziowego. – Nawet ci najlepsi z naszego klubu z takim jak on woleliby się raczej nie spotykać, bo to niewygodny przeciwnik. A przy tym bardzo lubiany, łatwo nawiązujący kontakt, komunikatywny, co w boksie nie jest takie częste.

Młody zawodnik BBTS-u jeździł na zgrupowania kadry do Władysławowa organizowane przez legendarnego trenera Feliksa „Papę” Stamma, a w pokoju mieszkał ze swoim dobrym kolegą Jerzym Kulejem, dwukrotnym mistrzem olimpijskim.

Zdzisław Jarosz pracował w kopalni, był górnikiem-operatorem. Jeszcze zanim poszedł na emeryturę, zaangażował się w działalność społeczną. Pomagał konsumentom w sporach ze sprzedawcami. Nauczył się dobrze prawa konsumenckiego. Został drugim lub trzecim w Polsce lokalnym prezesem Klubu Federacji Konsumentów. Jego znajomi i współpracownicy opowiadają, że miał serce na dłoni, zawsze starał się pomóc i często robił to świetnie.

– Był bardzo pomocną osobą, chciał wszystkim nieba przychylić. Potrafił skutecznie pomagać konsumentom, będąc nieugiętym w swoich działaniach. Starał się każdą sprawę załatwić polubownie i często wystarczył jeden telefon, by załagodzić konflikt – mówi Dariusz Chryc, rzecznik prasowy Klubu Federacji Konsumentów w Lubinie. – Jednak jeśli sprzedawca nie chciał iść na kompromis, pan Jarosz potrafił pójść do sądu i tam do skutku bronił interesów pokrzywdzonych.

Pomagał wielu ludziom. Kiedy likwidowano biuro federacji w Lubinie, okazało się, że prezes Zdzisław Jarosz pozostawił dwie szafy z pozwami i pismami urzędowymi.

Potrafił mówić gwarą śląską, ale jego wielką miłością była literatura polska, zwłaszcza okresu romantyzmu. Uwielbiał czytać. Nie tylko znał na pamięć mnóstwo wierszy, ale też pisał, o czym mało kto wie.

– Znał ogromne partie *Pana Tadeusza* na pamięć, *Kwiaty polskie* Tuwima, utwory Mickiewicza, Słowackiego, Norwida,

ale też współczesnych poetów, np. Broniewskiego – wspomina radca prawny Ryszard Łyżcki. – Miał niesamowitą pamięć, zawsze wyrażał się piękną, czystą, poprawną polszczyzną. Był na tym punkcie bardzo wyczulony. Miał lekkie pióro, którym pisał m.in. skargi sądowe. Zawsze dotrzymywał słowa. Jako społecznik z krwi i kości czuł misję, bo on kochał ludzi.



Czesław Klemaszewski

1950–1996

Ordynator z misją

Radny pierwszej kadencji Rady Miejskiej w Lubinie 1990–1994, działał w komisji zdrowia, ekologii i pomocy społecznej oraz w komisji rewizyjnej.

Absolwent Akademii Medycznej we Wrocławiu, lekarz specjalista chorób wewnętrznych i psychiatrii. Pracował w szpitalu przy ul. Łokietka oraz w przychodniach w Lubinie i Złotorzy. Był ordynatorem oddziału chorób wewnętrznych. Działał też w samorządzie lekarskim – Dolnośląskiej Izbie Lekarskiej i w Naczelnej Izbie Lekarskiej. Był także biegłym sądowym.

Lekarz z powołania, znany i ceniony przez mieszkańców miasta, nie tylko jako świetny specjalista, ale także dlatego że pomagał wielu ludziom w trudnych sytuacjach. Zdecydował się na udział w wyborach z ramienia Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Namówił go do tego późniejszy prezydent Robert Raczyński. Doktor Klemaszewski zebrał mnóstwo głosów i bez problemu dostał się do rady miejskiej. Do startu w wyborach zmobilizował również kilku innych lekarzy. Uważał, że działając w samorządzie lokalnym, będąc mieć wpływ na poprawę warunków, w jakich wtedy leczeni byli pacjenci lubińskich placówek medycznych. Początek lat 90. to czas ogromnych trudności finansowych, z którymi borykała się służba zdrowia. Brakowało nie tylko

nowoczesnego sprzętu, ale nierzadko podstawowych rzeczy, nawet leków. Budynek szpitala przy ul. Łokietka, gdzie pracował, był w fatalnym stanie. Jak wspomina pani Ewa Klemaszewska, dzięki kilkuletnim staraniom wielu osób, w tym jej męża, a także górniczej Solidarności udało się w końcu opuścić obiekt nienadający się do użytku i przenieść część szpitalnych oddziałów do dzisiejszego Miedziowego Centrum Zdrowia.

Jako radny Czesław Klemaszewski był zaangażowany przede wszystkim w sprawy służby zdrowia. Zabiegał o pieniądze na zakup leków i sprzętu medycznego. Był w tym skuteczny. Rzadko zabierał głos na sesjach, zdarzało się jednak czasami, że wygłaszał tyrady, którymi wytrącał przeciwnikom argumenty z rąk. Rozważania, czy dać pieniądze na służbę zdrowia, czy nie, podsumowywał np. tak: „Albo dajemy na szpital, albo na cmentarz”.

Słynął z poczucia humoru, ostro spierającym się radnym potrafił z kamienną twarzą przypomnieć, jaką ma specjalizację i zaferować psychiczne wsparcie.

Z prośbą o pomoc finansową dla szpitala i przychodni zwracał się m.in. do ówczesnych władz KGHM. Wspierał budowę Ośrodka Rehabilitacyjno-Adaptacyjnego dla Dzieci Niepełnosprawnych, przekazywał na ten cel swoją dietę.

Nie kandydował na następną kadencję. Zrezygnował z dalszej działalności samorządowej, kiedy zaczęły się rozgrywki polityczne i następowały pierwsze podziały na poszczególne ugrupowania, a wiele osób działających w radach miejskich i zarządach gmin zaczęło wstępować do różnych partii.

– Pierwsza kadencja to był wspólny pionierski czas, czuło się wielki entuzjazm, niesamowitą chęć przeprowadzenia zmian. Wszyscy wtedy chcieli zrobić coś dobrego dla miasta, dla ludzi, nikt nie myślał o swoich korzyściach, wszyscy byli razem – wspomina Ewa Klemaszewska. – Mąż stale opowiadał o sprawach szpitala, o staraniach w radzie miejskiej na jego doposażenie, o pieniądzach na służbę zdrowia. Interesowała go tylko działalność zawodowa jako lekarza i samorządowa związana ze służbą zdrowia. Nie obchodziła go polityka ani jakiegokolwiek profity.

Co uważał za swój sukces? – To, co się udało zrobić dobrego dla szpitala, dla ludzi, dla miasta. Najbardziej dumny był ze swoich lekarzy, kiedy dobrze zdawali egzaminy. To jedyne okazje, kiedy zakładał garnitur – uśmiecha się pani Klemaszewska.



Zbigniew Korczowski

W samorządzie nowej generacji

Wszystko było nowe. Uczyliśmy się, bo wprowadziliśmy jakieś wyobrażenie o samorządach z czasów komuny, ale ono nie pasowało do nowej sytuacji. Miałem kolegę, który był radnym za komuny, ale później kpił z tego, bo zauważył, że pełnił rolę słupa. Kiedy przychodził na sesję, wszystko już wcześniej zostało zaklepane. On to tylko firmował swoim nazwiskiem.

Ktoś musi zastąpić „tamtych”

Koledzy mnie namówili, żeby zostać radnym. Akurat rok wcześniej wyszedłem z więzienia, gdzie siedziałem za działalność opozycyjną. Wyszedłem jako jeden z ostatnich w tym kraju. Nie chciałem podpisać zgody na wyjazd za granicę z rodziną i powiedziałem esbekom, że ich przeczekam. Kiedy odzyskałem wolność, ci co mnie prześladowali, już byli za granicą i nie można ich było ścigać za pobicie. Byłem działaczem związkowym. Koledzy znali mnie i wiedzieli, że nie jestem zbyt kompromisowy. Stwierdzili, że ktoś musi „tamtych” zastąpić. Idąc do samorządu, oczekiwałem, że będę pomagać ludziom. Wiedziałem, że oczekiwania są ogromne i że wiele spraw kuleje.

Jeszcze przed wyborami chodziłem na spotkania komitetu obywatelskiego, który organizował wybory – wcześniej do

sejmu, a później do samorządu. Przeprowadziliśmy prawyborzy, zapadła decyzja, kto miał kandydować. Na rynku zorganizowaliśmy spotkanie z ludźmi, by ich zapytać, czego oczekują. Nawet były wstępne komisje ustalające, jakie problemy trzeba będzie rozwiązać po wyborach. Jeden z nich dotyczył handlu. Orientowałem się w tym temacie, bo pracowałem w masarni. Jestem z wykształcenia technikiem górnikiem, ale po wyjściu z więzienia już nie było dla mnie pracy w kopalni i znalazłem się w masarni. Z początku jako bezrobotny jeździłem po kraju w sprawach związkowych, więc ci z SB nie mogli mnie znaleźć. Przychodzili do mojej żony i pytali, gdzie jest mąż. A ona odpowiadała: „To wasza sprawa, gdzie mąż”. I wreszcie SB załatwiło mi pracę w masarni.

Już nie wasz

Zanim przejęliśmy obowiązki, już po wyborach, poprzedni prezydent (pan Maraszek chyba) zorganizował spotkanie z nowymi radnymi. Tak wyszło, że na 40 radnych chyba 5, a może 6 wywodziło się PZPR. Oni się przekształcili w SdRP, a potem w SLD. Wszyscy, oprócz mnie, bojkotowali ich jako komuchów. To się nie podobało. Niektórzy mówili do mnie: „Jak to? To ty do PZPR-u się zapisałeś?”. Nie chciałem robić tego samego, co oni robili. Nie chciałem ich odsuwać. Oczywiście uważałem, że powinniśmy głosować tak, jak nam podpowiada sumienie, ale jednocześnie nie można pomijać tych radnych, bo przecież ktoś ich wybrał. Jakaś grupa społeczeństwa na nich zagłosowała. A jeśli ktoś ma do nich jakiś zarzut, to od tego są sądy i takie sprawy trzeba tam rozstrzygać. Przez takie moje podejście do radnych rodem z PZPR, moi koledzy często zarzucali mi, że jestem zbyt ugodowo nastawiony. Później poznaliśmy się bliżej, dużo rozmawialiśmy. Jeden z tych radnych, pan Wawrzyniak, bardzo aktywny, ciągle mi mówił: „Zbychu, ty jesteś nasz!”. Odpowiadałem mu na to: „Wasz to byłem, jak siedziałem w więzieniu! Teraz już nie jestem wasz”.

Wielkie oczekiwania

Kiedy zaczęliśmy samorząd nowej generacji, okazało się, że wszyscy się uczyliśmy. Przepisy były niespójne, niektóre dopiero wchodziły, a już się do nich odwoływano, więc musie-

liśmy improwizować. Ludzie oczekiwali i wymagali nowości. Byłem na przykład w komisji komunalnej, między innymi do spraw mieszkań, na które czekało wiele osób. Każda z nich miała – uzasadnioną zresztą – pretensję, że nie ma gdzie mieszkać. A do nas jako komisji należało tylko opiniowanie kolejności przyznawania mieszkań. I ciągle słyszeliśmy pytania: „Dlaczego jestem za nim? Dlaczego akurat ja nadal mam czekać?”. Musieliśmy sprostać tym oczekiwaniom. Tłumaczyliśmy. Jeden zrozumiał, drugi – nie. Ludzie wyobrażali sobie, że od razu będzie nowa forsa, nowy plan, nowe wszystko... Tylko skąd na to wziąć? Trudny czas... Trzeba było być mediatorem. Rozumieliśmy ludzi, ale jednocześnie nie widzieliśmy możliwości sprostania wszystkim oczekiwaniom. Z pustego i Salomon nie naleje, jak mówi przysłowie.

Dyżur, komisja, rada, sąd

Ludzie przychodzili na dyżury radnych z różnymi sprawami. Jeżeli miały uzasadnienie, to się brało pod uwagę. Nieraz to były drobne sprawy, na przykład, że gdzieś piesek poszczekuje i przeszkadza, więc szedłem porozmawiać z właścicielem zwierzęcia albo podpowiadałem, żeby wezwać straż miejską. Wiadomo, że trudno taką sprawę załatwić administracyjnie, raczej chodzi o dobrą wolę między sąsiadami. Ludzie przychodzili z przeróżnymi sprawami i oczekiwali, że radny im to załatwi, bo przecież oni mają rację. Na początku każdy radny chciał dyżurować, a później nikt, bo trzeba było patrzeć ludziom w oczy i nierzadko usłyszeć uzasadnione pretensje o to czy tamto. Trudna sytuacja.

Kiedy miasto pozbywało się lokali komunalnych, czasem pojawiały się zarzuty, że ktoś dostał lokal czy sklepik po znajomości. Skargi trafiały na sesję i rada rozstrzygała. Z ludźmi, którzy przychodzili z takimi tematami – często byli to pracownicy owych sklepików czy zakładów usługowych, ciężko się rozmawiało. Oni latami pracowali w danym zakładzie lub sklepie i nagle ktoś im go odbierał, czuli się tak, jakby to ich własność odbierano. Trzeba było w jakiś sposób rozwiązywać tego typu problemy. Nie zawsze się udawało. Jako radny składałem wnioski, komisja do spraw komunalnych go opiniowała i następnie rada na sesji podejmowała decyzję w większym gronie. Jeśli ludzie nie byli zadowoleni z decyzji rady, to się odwoływali, czasami nawet szli do sądu. Nieraz

jednak wystarczyło komuś w zrozumiały sposób coś wytłumaczyć i w odpowiedni sposób przekazać. Przeżywałem często te ludzkie problemy, zwłaszcza mieszkaniowe. Moja żona pracowała w spółdzielni mieszkaniowej i znała te tematy z drugiej strony, od lokatorów. Nieraz rozmawialiśmy o tym w domu.

Nie zawsze idealni

W kadencji 1990–1994 została utworzona straż miejska. Byłem w komisji, która zajmowała się tą sprawą. Bardzo się udzielałem. Chodziło o opiniowanie chętnych do pracy w straży. Chcieliśmy wybrać najlepszych, ale jak można człowieka prześwietlić? Wszyscy pięknie mówili, a później czas pokazał, jak ci ludzie zachowywali się na ulicach. Pomijam kompetencje i spychanie strażników miejskich do roli sprzątających czy ścigających babcię za handlowanie pietruszką na chodniku. Później często żałowałem, że temu czy owemu zbyt pochopnie wystawiliśmy pozytywną opinię. Wprawdzie rozmawialiśmy po 2–3 godziny z danym kandydatem, mieliśmy ustalone pytania i przyznawaliśmy punkty za poszczególne kryteria, ale to za mało. Ewentualnie pytaliśmy o jakieś prywatne sprawy, jeśli mogły wpływać na pracę. Każdy pięknie mówił, a potem się okazywało, że niektórzy po prostu nie umieli się sprawdzić. Dochodziły do nas wiadomości, że strażnik załatwił swojemu koledze miejsce na parkingu. Lubin nie jest dużym miastem, więc ludzie się znają i z prywatnych przecieków dowiadujemy się, że u tego czy innego strażnika z komendantury można było po znajomości załatwić dodatkowe miejsce z kopertą... Jednak straż miejska się nie sprawdziła bardziej z przyczyn legislacyjnych.

Trudne relacje miejsko-piłkarskie

Jedna z trudniejszych spraw dotyczyła Zagłębia Lubin. W czasach komuny klub był państwowy, wszyscy mieli do niego prawo. Później nastąpiło rozdzielenie i powstał osobny podmiot. Na początku lat 90. było z tym trochę zamieszania. Chodziło o pieniądze i o tereny wokół stadionu, do których Zagłębie nie miało prawa. Miasto chciało odzyskać swoje pieniądze z giełdy ze swojego terenu. Klub nie chciał się zgodzić. Sekretarz klubu zaproponował nawet wszystkim radnym darmowe wejścia na stadion na mecze – taka forma

przekupstwa. Z kolei ze strony miasta pojawiały się głosy, że Zagłębiu trzeba zabrać ten teren, bo „tam jest prezes jeszcze z nadania komuny”. Uważałem, że wobec tego należy zmienić prezesa, przeprowadzić nowe wybory w klubie i niech z czasem Zagłębie płaci podatki. Wtedy akurat byli w trudnej sytuacji, nie mieli sponsora, ale z czasem powinni płacić jak wszyscy.

Jednym z tych, którzy uważali, że klubowi trzeba zabrać teren, był pan Antoni Wysocki. On był przeciwny wszelkiego rodzaju strukturom komunistycznym, także radnym z SLD [wtedy SdRP – przyp. AG]. Jako bardzo typowy prawnik, zacięty, mówił do mnie: „Jak ty możesz z nimi rozmawiać?!”. Opowiadałem, że jakoś mogę, bo inaczej się nie da. Jeśli nie będziemy rozmawiać, bo będziemy tacy sami jak oni. Mogę mieć swoje zdanie, ale trzeba też wysłuchać czyjeś.

Sprawa skończyła się pozytywnie. Część pieniędzy Zagłębie dostało z kopalń i wszystko się unormowało. Znaleźli się sponsorzy, giełda się rozwinęła. Wiadomo, że miasto nie może ciągle dofinansowywać klubu, ale ukrócenie wszystkiego od razu i zabranie też nie byłoby dobrym rozwiązaniem. W klubie powstał nowy zarząd, z którym inaczej się rozmawiało. I dzisiaj Zagłębie jest wizytówką Lubina w Polsce.

Powolne otwieranie oczu

Z początku mocno wierzyłem w zmiany, ale później często okazywało się, że biję głową w mur i to sprowadzało mnie na ziemię. Uświadamiałem sobie, że chyba te zmiany jeszcze troszkę potrwać. Nie wiedziałem, że tak długo. Wciąż działały stare przepisy i stara konstytucja. Wprowadzano do niej nowe paragrafy, ale to wszystko było niespójne. A pod koniec kadencji zaczęły już się tworzyć frakcje. Z jednej strony prezydent Raczyński, z drugiej strony Paweł Niewodniczański, który był przewodniczącym rady, parę innych grup, liberałowie. Jest takie powiedzenie: „Gdy kują konia, to i żaba nogę podstawia”. I trochę tak to wyglądało. W tych frakcjach ideologicznie było mi bliżej do prawicy. Wtedy powstał w Lubinie oddział ROP-u [Ruchu Odbudowy Polski – przyp. AG].

Na początku lat 90. jeszcze ciągle był strach i straszenie przez tych, co pamiętali prawicę przedwojenną, że prawica

to grupa, która nie docenia biedoty. Ale przede wszystkim chcąc być ponownie wybranym, trzeba było przeprowadzić kampanię wyborczą, a na to potrzeba pieniędzy i czasu. Pracowałem i często nie miałem czasu. Złożyliśmy swoje dokumenty, ale nie dostaliśmy poparcia. Dostali ci, którzy byli w tym czasie w strukturach. Zaproponowali mi, żebym się przykleił do jednej z tych grup, ale nie chciałem. Ani jedna, ani druga mi nie odpowiadała. Trochę się zawiodłem na obu, szczególnie w końcówce, gdy zaczęło się wzajemne podgryzanie.

Później już nie angażowałem się w wybory. Oczywiście głosowałem, ale już nie kandydowałem. Nie żałuję. Czas dla młodych. Może trzeba przewietrzyć trochę salony i wnieść nowe pomysły. Może dlatego zmiany idą tak powoli, że ciągle żyjemy przeszłością. Oczywiście o przeszłości trzeba pamiętać, ale żyć przyszłością.

Wspomnienia z dumą

Jestem dumny, że działałem w opozycji i że działałem w samorządzie. Tym bardziej że mogę każdemu spojrzeć w oczy z czystym sumieniem. Słyszę, że ktoś coś sobie załatwił, że ktoś poszedł do spółki na prezesa, że stał się ważnym dyrektorem, a przecież poznałem tych wszystkich ludzi i wiem, że różnie było na przykład z ich wiedzą ekonomiczną, czasem mierną. Trudno, ich sprawa.

Ja mogę spokojnie spojrzeć w lustro i ludziom w oczy. Sesje odbywały się często w godzinach pracy, więc musiałem brać wolne, za co dostawałem rekompensatę, dostawałem też dietę, pracowałem w dwóch komisjach. Tylko tyle. Poza tym z niczego nie korzystałem. Mogę dziś śmiało powiedzieć, że z bycia radnym nie miałem żadnej korzyści materialnej.

Jestem dumny, że także dzięki mojej pracy na początku lat 90., do dzisiaj miasto się rozwija i pięknieje. Trzymam kciuki, żeby Lubin nadal piękniał.



Leon Kossowski

Tamta rada była najlepsza

Wybory samorządowe w 1990 roku to była sytuacja dosyć gwałtowna, chociaż się spodziewaliśmy, że będą jakieś zmiany w kraju. W związku z tym trochę improwizowaliśmy, a raczej w pełni improwizowaliśmy.

Nie pchałem się do rady miejskiej – trafiłem do niej przypadkiem. Prowadziłem swoją firmę. Z natury rzeczy musiałem być zrzeszony, bo inaczej byłbym całkowicie na cenzurowanym, dlatego zapisałem się do spółdzielni rzemieślniczej, a nawet zostałem członkiem jej zarządu. Prezesem był pan Urbaniak. W pewnym momencie Robert Raczyński szukał ludzi z różnych organizacji, którzy mogliby startować do rady miejskiej. Zwrócił się też do nas, żebyśmy wyeksperymentowali kandydatów na prawyby. Odnosiłem się do tego niechętnie, bo taka działalność przeszkadza w biznesie, ale wytypowaliśmy kandydatów. Między innymi ja znalazłem się w tym gronie i... zapomniałem o tym. Prawdę mówiąc, wszyscy w spółdzielni zapomnieli. Tyle że moim dobrym sąsiadem jest Marian Szmigiel, który był bardziej zaangażowany w komitet obywatelski i on któregoś dnia zapytał mnie, dlaczego nikt od nas nie przyszedł na spotkanie. Poczuję się zobowiązany, żeby tam pójść, bo głupio, żeby nikogo od nas nie było, skoro się zgłosiliśmy. Nie miałem czasu zawiadamiać reszty, wtedy nie istniały telefony komórkowe, a stacjonarne mieli nieliczni. Poszedłem na prawyby, powiedziałem, co mi leżało na sercu. Nie miałem żadnego programu, ale widocznie ludziom się spodobało to, co mówiłem i w ten sposób wszedłem do ekipy Roberta Raczyńskiego. Na rynku mieliśmy spotkania przedwyborcze. Pamiętam nawet jednego faceta, niejakiego Ostrowskiego, który przychodził i domagał się, żebyśmy mu ułatwili zarządzanie terenem, gdzie dziś jest galeria. W maju były wybory, które wygraliśmy. Po nich przypomniał się i faktycznie pomogliśmy mu utworzyć targowisko Skorpioń, którym przez jakiś czas zarządzał.

Lepiej, chociaż nie bez błędów

Uważaliśmy, że będzie lepiej. Ale ludzie są różni, nie wszystkim zależy, żeby wszystko było dobrze, spokojnie, zgodnie z zasadami moralnymi. Nie chodzi o kradzieże czy inne tego typu sprawy, tylko o to, że moje musi być na wierzchu. Nie brakowało sporów, najgorsze konflikty zaczęły się, gdy przyszedł Maćkała. Robert go ściągnął do zarządu, byli kumplami z NZS-u. Kiedy doszło do prywatyzacji, zaczęły się historie, bo Robert i Maćkała nie mieli doświadczenia życiowego. Rządziła ta dwójka. W ich wydaniu prywatyzacja oznaczała likwidację: zakład zamknąć, ludzi zwolnić. Największe numery były, kiedy zabrali się za „prywatyzację”, czyli likwidację firmy remontowo-budowlanej PRIM, komuchowatej, ale dobrze działającej. Nagle oni zechcieli ją zlikwidować. Zaczęli od tępienia mojego kolegi, który nią kierował. Co prawda, miał poglądy lewicowe, ale też doświadczenie w kierowaniu dużą firmą. Był dyrektorem, wygrał konkurs w Zakładzie Budownictwa Górniczo-Hutniczego, który zorganizowała rada zakładowa za pierwszej Solidarności (ewenement w skali krajowej). W stanie wojennym miał kłopoty za to, że wyszedł przed szereg. Miejscowe komuchy przypominały sobie o nim, kiedy organizowały miękkie lądowanie dla swoich przed tzw. transformacją. Kolega był zdolnym, doświadczonego i pracowitego człowiekiem, więc gwarantował, że się uda. Mówię o śp. Danielu Cyganowskim, który potem został wiceprezydentem od spraw inwestycyjnych w drugiej kadencji u Maćkały.

To się nie spodobało więcej niż połowie radnych i skończyło się nieudzieleniem wotum zaufania Raczyńskiemu. Firma wykonywała wiele robót dla miasta, np. płot na cmentarzu, wysypisko śmieci, remonty dróg itp. Zapłacono jej i przed zakończeniem inwestycji postanowiono zlikwidować. Bez sensu. Nierozsądny ruch. Owszem, ta firma została założona przez komuchów, ale całkiem nieźle funkcjonowała, można było ją przejąć i rozwijać, a nie likwidować. Strasznie się zbulwersowali, że nie dostali tego absolutorium, przeważał jeden głos. Nie chodziło o to, by się podawali do dymisji, ale żeby się zastanowili. W drugim głosowaniu nad absolutorium już je dostali. Mimo tych błędów uważam, że w tamtej sytuacji lepsi byli Raczyński i Maćkała niż komuchy. Oni się uczyli, popełniali wprawdzie błędy, ale się uczyli. Z czasem byli bardziej ostrożni.

Albo biznes, albo rada

Pracowałem w komisji inwestycyjnej. Za wiele ich wtedy nie było, więc się nie przepracowywaliśmy. Parkingi, chodniki itp., bo brakowało pieniędzy. Mnie ta sytuacja bardzo przeszkadzała. Praca w radzie i komisji zabierała mi dużo czasu. Kolejna sprawa: gdy miasto ogłaszało przetargi, jako przedsiębiorca nie mogłem w nich uczestniczyć, bo nie wypadało, dlatego po trzech latach zrezygnowałem z funkcji radnego. Działalność samorządowa odbywała się ze szkodą dla mojego biznesu. Niewodniczański namawiał mnie, żebym nie rezygnował, że to można łączyć, ale ja uważałem inaczej. Napisałem pismo z rezygnacją i pamiętam, że najbardziej rozbawiła mnie reakcja kolegów, z którymi siedziałem przy stołach na sesji. Kiedy był punkt z moją rezygnacją, zagłosowałem „za” i przesiadłem się do publiczności. Oni byli w szoku. Ludzie przyzwyczajają się do władzy i im się wydaje, że nie ma innego świata. Ten świat jest i jeżeli ktoś tego nie rozumie, nie powinien się dotykać władzy. Ktoś, kto chce władzy, musi zrozumieć, że ma służyć ludziom. Władza to powinna być służba.

Ludzie czegoś chcieli

Cóż, tamta rada podejmowała decyzje niebędące kwestiami życia i śmierci, to były rzeczy, które porządkowały rzeczywistość miasta. Pamiętam taką rozmowę z kolegą. Zastanawialiśmy się, co za dyskusje się toczą na sesjach, czego ci ludzie chcą. Stwierdziłem, że to przypomina jakieś piekło, bo przecież najważniejszy jest stosunek do ludzi. A on mi na to odpowiedział: „Jak znam życie, to będziemy wspominać tę radę jako najlepszą z rad, które się zdarzyły do tej pory”. I faktycznie, po trzydziestu latach tak to oceniam. Kiedy popatrzyłem na drugą radę, to była żenada, na trzecią też, a potem już mnie to nie interesowało.

Tamta rada była najlepsza, bo ludzie, którzy do niej weszli, czegoś naprawdę chcieli, naprawdę zależało im na poprawie rzeczywistości. Nie darli się o swoje partykularne interesy. Oczywiście było kilku takich, którzy mieli w genach tylko walkę o swoje, ale to był margines, niewielka grupka i ich oczekiwania też nie były duże.

Komuch? Bywał pożyteczny

Trudności? Nie przypominam sobie wielkich problemów ani trudności. Inwestycji za dużo nie prowadziliśmy, bo brakowało pieniędzy. Jeśli nie ma pieniędzy, to nie ma przekrętów. Wszystko szło naturalną koleją rzeczy. Z czasem, kiedy część ludzi zobaczyła, że są pieniądze, a jak są pieniądze, to są rozgrywki, uznałem, że bycie radnym to już nie jest coś fajnego. I nie chciałem już potem kandydować.

Atmosfera była dobra. Wszyscy ze sobą rozmawiali. Na komuchów się patrzyło tak, jak powinno się było patrzeć, czyli raczej z obrzydzeniem, ale rozmawialiśmy z nimi. Czasami byli pożyteczni, np. żeby dać sygnał Raczyńskiemu. Wtedy zwłaszcza byli pożyteczni.

Pomagaliśmy w wybudowaniu sali gimnastycznej przy drugim liceum. Dyrektor tej szkoły, Toczek był mocno czerwonon. Wystąpił do rady z wnioskiem o pomoc, komuchy go popierały, a my stwierdziliśmy, że czemu nie – sala przy szkole jest potrzebna, nieważne, kto stoi za pomysłem jej budowy.

Duch dobrego działania

Nie żałuję, że byłem w tej pierwszej radzie miejskiej. Są okresy, kiedy ludzi opanowuje taki duch, że są w stanie zrobić coś pożytecznego, coś dobrego. Znalazłem się tam przez przypadek, ale cieszę się z tego. Wtedy ludzie myśleli, że władza leży na ulicy, ale dziś wiem, że ona nie leżała na ulicy, była kontrolowana przez komuchów, którzy wiedzieli, co rządzą światem.



Piotr Langner

Nie traciliśmy czasu

Pierwsza kadencja samorządu w Lubinie była wyjątkowa, inna od następnych, bardzo pozytywnie wspomina

tamten czas. Oczywiście, spieraliśmy się na sesjach, ale w sensie pozytywnym. Wypracowaliśmy rozwiązania, które pozwoliły miastu sprawnie działać po okresie komuny. Nieraz szybkość, z jaką działaliśmy, była zaskakująca dla urzędników oraz delegata rządu ds. reformy samorządu terytorialnego. Chyba jako jedyni w Polsce zdecydowaliśmy się już na pierwszej sesji powołać nowego prezydenta miasta. Zwykle rady gmin wyznaczały termin wyboru prezydenta czy burmistrza w jakiejś nieodległej przyszłości. Ale z naszych obserwacji wynikało, że w czasie od pierwszej sesji rady do wyboru władza gminy praktycznie nie funkcjonowała. Tkwiły w zawieszonym. Nikt o niczym nie decydował, panowała niepewność, wyczekiwanie. Urzędy w mniejszych gminach praktycznie nie funkcjonowały, bo urzędnicy w obawie o swój los szli na zwolnienia lekarskie. Aby uniknąć takiej sytuacji, zdecydowaliśmy się od razu, za jednym zamachem, już na pierwszej sesji wybrać prezydenta. I tak się stało. Prezydentem został Robert Raczyński. Muszę też przyznać, że ustępujący prezydent Lubina, jeszcze z nadania poprzedniego systemu zachował się elegancko. Zaraz po wyborze zaprosił nowego prezydenta do swojego, tzn. jego gabinetu... Już na tej sesji prezydenta czekała niespodzianka...

Śluby bez przerw

Okazało się, że w związku z wyborem na urząd ma w najbliższą sobotę pełne ręce roboty, bo pary młode czekają na ślub. Radczyna prawna urzędu, pani Urszula Kleszczyńska zauważyła, że ustawa wprowadzająca ustawę o samorządzie terytorialnym z chwilą wyboru prezydenta wygasza pełnomocnictwa dla kierownika urzędu stanu cywilnego. Za kilka dni była sobota, więc prezydent zmuszony byłby do udzielania ślubów. Gdyby do tego doszło, to nie wiem, kto miałby większą tremę – nowożeńcy czy prezydent. Na szczęście dzięki pomocy urzędników, którzy natychmiast zaczęli współpracować z nowymi władzami, szybko zaradziliśmy problemowi. Posłano po panią kierownik urzędu stanu cywilnego i pan prezydent Robert Raczyński od razu wskazał ją na to stanowisko, a rada ten wybór poparła. Śluby odbywały się bez zakłóceń, a prezydent pewnie odetchnął z ulgą. Z tego, co wiem, to później prezydent skorzystał ze swojej kompetencji i udzielił osobiście kilku ślubów. Nie była to jednak jego codzienna praca.

Budżet to podstawa

Przede wszystkim najpilniejszym zadaniem było opanowanie budżetu miejskiego. Dostaliśmy go w spadku jeszcze po miejskiej radzie narodowej. I zaczęła się wielka nauka, dlatego że wtedy jeszcze nikt nie pracował na ustawie o samorządzie terytorialnym. Wcześniejsze, komunistyczne rady nie były samodzielne, lecz tkwiły w hierarchicznej strukturze jednolitej władzy państwowej. Związane były uchwałami i poleceniami rad wyższego szczebla. Wraz z reformą gminy, także miasto Lubin, dostały po raz pierwszy swoje własne kompetencje. Czego miasto potrzebuje, radni doskonale wiedzieli. Problemem jednak było odpowiednie rozdzielanie dochodów gminy na poszczególne wydatki. To my musieliśmy podzielić ten tort, a przecież nie mieliśmy żadnych wzorów. Byliśmy pierwszymi radnymi całkowicie samodzielnego samorządu. W tamtym czasie miastem zarządzał zarząd pod przewodnictwem prezydenta. Myślę, że wówczas było to dobre rozwiązanie. Jednoosobowy organ, jak jest obecnie, chyba nie udźwignąłby ciężaru zmian. To właśnie zarząd przygotowywał projekt budżetu, a jego ostateczny kształt zatwierdzała rada po uzyskaniu opinii komisji.

Bez czystki

Dzisiaj jednoosobowo prezydent ma takie kompetencje jak wówczas ciało kolegialne, ale dzisiaj miasto funkcjonuje już sprawnie w oparciu o system, który wtedy wypracowaliśmy. Rady gmin są mniejsze i zarządy są niepotrzebne. Zgadza się z tym, nigdy nie byłem zwolennikiem dużych rad. W tej chwili zadania, którymi zajmował się wówczas zarząd miasta, urzędnicy mogą prowadzić sami praktycznie bez oczekiwania na wytyczne. Trzeba też pamiętać, że w momencie kiedy kończyła się poprzednia epoka, troszkę inaczej patrzyliśmy na urzędników. Dzisiaj to już są ludzie spośród nas, wtedy to byli urzędnicy, których zastaliśmy po autorytarnym systemie. Podobało mi się, że w Lubinie nie było takiej generalnej czystki, jak to się często działo w innych miastach. Po prostu po pewnym czasie prezydent Raczyński z zarządem dokonali przeglądu. Oczywiście, na kierownicze stanowiska powołane zostały nowe osoby, chociaż nie zawsze, a większość urzędników robiła to, co do tej pory.

Małe czy duże sukcesy

Trudno mówić o jednoznacznych sukcesach, bo trudno uważać za sukces uchwalenie statutu miasta. To był nasz obowiązek. Miasto musiało mieć swoją konstytucję. Praca nad statutem była żmudna, a w sumie jest to akt dość mało istotny, dlatego że musi się trzymać pewnych ram. W wielu punktach jest powtórzeniem innych zapisów ustawowych.

Na pewno ciekawą inicjatywą było utworzenie Nagrody Miasta Lubina. Wówczas byliśmy chyba jedynym miastem, w którym taka nagroda została zapisana w statucie. Ciekawym było też przyjęte przez nas rozwiązanie, że praktycznie każdy mieszkaniec miasta może zgłosić kandydata do tej nagrody i uzasadnić, dlaczego daną osobę uważa za godną tego wyróżnienia. Moim zdaniem to było wyjście do ludzi, bo przecież samorząd jest dla ludzi, jak sama nazwa wskazuje. Owszem, prezydent ma prawo przyznawania nagród, ale czym innym jest nagroda, która wychodzi od społeczności lokalnej.

Siła i słabość w jednym

Trudności? Może to dziwnie zabrzmie, ale największą trudnością byliśmy my sami. Naprawdę docieraliśmy się w tamtej kadencji. Pewne sesje rady, na przykład w przypadku debat budżetowych, trwały godzinami. Spory dotyczyły się praktycznie o wszystko. Mieliśmy tort do podzielenia, pewne środki i zadania, które na nas nałożył ustawodawca i które musieliśmy wykonać. Nie dało się robić tak, jak chcieli niektórzy koledzy z rady: „to może damy więcej na szpital, może na szkołę, może na drogę”. Pod koniec kadencji byłem przewodniczącym komisji budżetu, to był trudny czas dla mnie. Szczególnie, że byłem najmłodszy w radzie. Musiałem ukrócać pewne niekończące się dyskusje. Wypracowaliśmy wtedy mechanizm, który zobowiązywał komisje lub radnego, który chce zaproponować zwiększenie jakiejś pozycji budżetu przedstawionej przez zarząd do jednoznacznego wskazania, którą pozycję wydatków należy zmniejszyć, by pozyskać potrzebne do zmiany środki. Owszem, zdarzały się rady innych gmin, które dopisywały mnóstwo zadań po stronie wydatkowej, a żeby budżet się domykał, planowały

nierealne dochody. Takie rozwiązanie było dla mnie i naszej rady nie do zaakceptowania. Przecież wiadomo, że takiego budżetu zarząd nie był w stanie wykonać. U nas zawsze budżet był nie tylko dopięty, ale i realny, możliwy do wykonania zarówno po stronie przychodów, jak i wydatków.

Tak na marginesie: byliśmy chyba pierwszym w Polsce miastem, które uczestniczyło w tworzeniu banku. Mówię o Cuprum Banku. Co prawda, pozbyliśmy się wtedy ratusza miejskiego na 25 lat, ale już szczęśliwie miasto go odzyskało.

Prztyczki, ale nie wojny

Atmosfera w radzie była bardzo dobra. Nawet gdy zdarzały się prztyczki między kolegami, to one raczej wyglądały sympatycznie. Tak jak te między panem Antonim Wysockim i panem Józefem Wawrzyniakiem. Oni nie szczeniły sobie nawzajem drobnych uszczypliwości. Pan radny Wawrzyniak wstając, lubił mówić: „Ja w imieniu wyborców...”. Wtedy pan radny Wysocki mu przypominał: „A ilu ich było? Pięciu, dziesięciu, pięćdziesięciu?”. To jednak nie było mówione złośliwie. Obaj się z tego śmiali. W pewnym momencie stało się tradycją, że każdy z nich wygłaszał tę swoją formułkę.

Może o tyle było łatwiej o porozumienie, że nie wchodziłmy wtedy do samorządów jako poszczególne partie. Oczywiście był ktoś z PSL-u, kilku radnych z SLD, wtedy jeszcze chyba z SdRP. Zdecydowana większość radnych wywodziła się z komitetu obywatelskiego, chociaż już wiedzieliśmy, że to jest zbyt szeroka formuła. Wcześniej, w Komitecie Obywatelskim, spotkaliśmy się wszyscy, bo mieliśmy jednego wroga. A ten wraz z wyborami do samorządu odszedł. Komuna definitywnie się skończyła. Jednak radni, którzy weszli do pierwszej rady, poglądy mieli skrajnie różne – od bardzo socjalizującego Mariana Szmigła, przesympatycznego kolegi, który naprawę miał serce na dłoni i każdemu by je dał, co nie bardzo się mieściło w budżecie, po gospodarczych pravicowców, jak ja, Waldek Flądrowicz czy Artur Dubiński. Jednak w radzie trzeba było osiągnąć większość, więc cała kadencja to były ciągłe negocjacje.

Warto tu przypomnieć, że lubiński komitet obywatelski rozwiązał się jako jeden z pierwszych w Polsce. Podjęliśmy tę decyzję przede wszystkim, dlatego że uznaliśmy, że taka formuła jest za szeroka i nie ma sensu przenosić sporów z rady na szersze gremium. Każdy postanowił szukać swojego miejsca w polityce. Pod koniec kadencji część kolegów była w PChD, ja byłem wówczas w UPR.

Bez dyscypliny klubowej

Panowała ogromna wolność. Mimo że mieliśmy swojego prezydenta, to nie był prezydent, który przychodził i dyrygował. Prezydent miał też oponentów i w zarządzie, i w radzie. Jednak dzięki temu, że nie byliśmy wybierani z rekomendacji komitetów partii politycznych, nasze decyzje wypracowywane były rzeczywiście w ramach prac rady i jej komisji, a nie w gabinetach partyjnych. My nie byliśmy maszynką do głosowania i nie przynosiliśmy na forum rady decyzji politycznych lokalnych organów partii politycznych.

Niestety, system proporcjonalny w wyborach do samorządu gminy nie jest w mojej ocenie dobry dla samorządu. Lepszym rozwiązaniem byłyby wybory w okręgach jednomandatowych. Mimo tego uważam, że w wielu średnich i dużych miastach wpływ partii politycznych na samorząd udało się zminimalizować dzięki działalności lokalnych komitetów. Z perspektywy trzech dekad widzę, że odtworzenie samorządu terytorialnego okazało się sukcesem. Była to jedna z ważniejszych reform po okresie komuny. Dziś mamy samorząd terytorialny znacznie prężniejszy. Rząd oddał społecznościom lokalnym prawo do decydowania o sobie zarówno w powiatach, jak i – częściowo – w województwach. To dobrze.



Janusz Lipiński

Urok wielkich zmian

Moja przygoda z piastowaniem zaszczytnej roli radnego rozpoczęła się w 1988 roku, kiedy pełniłem funkcję dyrektora Zakładu Robót Górniczych KGHM. Mój – jak to się wtedy mawiało – kolektyw uznał, że w miejskiej radzie narodowej powinno zasiadać grono doświadczonych fachowców i społeczników, znanych wyborcom, umiejących forsować przemyślane projekty i że ja nadaję się do tego idealnie. Dość powiedzieć, że po tej skróconej wiatrem historii kadencji w 1990 roku nie byłem już debiutantem i głos ludu nakazał mi start w nowych całkowicie demokratycznych wyborach do rady miejskiej z Demokratycznej Listy Obywatelskiej. Być może zdecydował też o tej nominacji fakt, że w lutym tego pamiętnego roku zostałem laureatem Nagrody Miasta Lubina w dziedzinie rozwoju społeczno-gospodarczego za 1989 rok.

Kampanię wyborczą przepełniał nastrój entuzjazmu i społecznej akceptacji ducha nadchodzących zmian, zwłaszcza wobec reprezentantów komitetu obywatelskiego, ale także wobec innych przedstawicieli grupowań demokratycznych i kandydatów niezależnych. Oczywiście wynik wyborów był łatwy do przewidzenia. Niemniej jednak w składzie nowej rady miejskiej znalazło się dwóch radnych niezależnych i czterech – w tym ja – z lewicy.

Trochę dziegciu do beczki z miodem

Pamięć ludzka ma to do siebie, że po latach automatycznie pamięta się o rzeczach dobrych, przyjemnych, kolorowych i pachnących. Zapomina się o ludziach, zdarzeniach i okolicznościach nieprzyjemnych, okrutnych decyzjach, nieśczęściach i krzywdach, których byliśmy sprawcami lub niemymi świadkami ich wyrządzania. Jak cudownie zabrzmiał rok wcześniej okrzyk Joanny Szczepkowskiej, że oto 4 czerwca skończył się w Polsce komunizm dla wszystkich tych, któ-

rzy wierzyli w mądrość elit najnowszej generacji, wybranych ogromną większością głosów do sejmu i senatu w roku 1989, rad pracowniczych w przedsiębiorstwach i do samorządu terytorialnego w roku 1990.

Niestety, już pierwsze sesje rady miejskiej nowej kadencji ujawniły bardzo zróżnicowany poziom dyskusyjności. Często nie stronili oni od obelg pod adresem domniemyanych przeciwników politycznych. Przerabiali merytoryczną dyskusję o najpilniejszych potrzebach miasta i jego mieszkańców w zwyczajną pyskówkę. Jakkolwiek wolałbym tego nie pamiętać, to dla zobrazowania nastroju, jaki panował w Lubinie na fali dokonywania wszelkich zmian, wspomnę, że zaczęto od poniewierania ludzi starego porządku. Bez względu na ich przydatność przy tworzeniu nowych – jeszcze zresztą nie wiadomo jakich – porządków. Zaraz się okazało, że solą w oku nowych elit w radach pracowniczych KGHM są dyrektorzy prawie wszystkich zakładów i zarządu, których postanowiono zastąpić swoimi. Również rada pracownicza ZRG zwróciła się do lubińskiej rady miejskiej o wyrażenie zgody na odwołanie mnie jako radnego ze stanowiska dyrektora. Uzasadnienie było jedno: dyrektor Lipiński był „przyniesiony w teczce z komitetu partyjnego” i kropka. Generalny dyrektor KGHM próbował oponować, wyjaśniając, że wygrałem w grudniu 1985 roku konkurs na dyrektora ZRG. Brało w nim udział jeszcze kilku innych wybitnych inżynierów górników. Argumenty te zostały jednak puszczane mimo uszu. Rada miejska zgodziła się nie tylko na odwołanie mnie ze stanowiska dyrektora, ale także całkowite zwolnienie z pracy w KGHM z dniem 30 września 1990 roku.

Parę miesięcy byłem bezrobotny. Potem, znając język niemiecki i mając uprawnienia do prowadzenia robót montażowych konstrukcji stalowych, (za zgodą rady) pracowałem cztery miesiące na kontrakcie w Kolonii. Po powrocie w sierpniu 1991 roku podjąłem obowiązki radnego i do końca kadencji aktywnie uczestniczyłem w pracach rady miejskiej. W grudniu 1991 roku podjąłem pracę jako zawiadowca Rejonu Robót Lubin Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud Częstochowa. Mogłem na co dzień obserwować, jak upada prestiż najstarszego zakładu kombinatu, jakim było SOWI a potem ZRG, co skończyło się jego likwidacją i włączeniem do Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń KGHM, obecnego PeBeKa.

KGHM Polska Miedź był, jest i będzie chlubą Lubina

Z bliska obserwowałem rozwój przemysłu miedziowego i Lubina. Teraz jako emeryt z oddali przyglądający się gigantycznemu rozwojowi kombinatu, Lubina, Polkowic i Głogowa, mam świadomość dołożenia się do tego również jako radny lubińskiej rady miejskiej. Oceniam też, że wiele moich koleżanek i kolegów radnych ma taką satysfakcję. Na czele z bardzo młodym wówczas i niedoświadczonym prezydentem Robertem Raczyńskim.

Jeśli tak, to moim zdaniem godzi się w każdej publikacji, każdym wystąpieniu publicznym, zwłaszcza z okazji kolejnych rocznic ustanowienia prężnie od lat działającego samorządu terytorialnego, podkreślać dobroczynną rolę głównego sponsora miasta, jakim był, jest i będzie z pewnością jeszcze przez następne 50 lat Polska Miedź SA. To jest ważna dziedzina dyplomacji i kultury, o brak której nie posądzam przecież pana Roberta.

Jak to było 30 lat temu?

Ano bywało różnie. Czasami poważnie i rzeczowo, czasami śmiesznie, a czasami wręcz po chamsku. Chodziło przecież o jak najszybsze, ale też przemyślane ustanowienie nowego prawa miejskiego, dostosowanie go do prawdziwie demokratycznych standardów europejskich tak, aby zasady realnego socjalizmu znienawidzone przez większość Polaków poszły wreszcie w zapomnienie. Nie wszyscy jednak radni mieli świadomość, co znaczy prawo własności, prawo swobodnego handlu, wolnej przedsiębiorczości i wielu innych zagadnień gospodarki rynkowej, przez wielu uznawanych za wredny kapitalizm. Zadaniem nas radnych było zupełnie nowe przygotowanie planu zagospodarowania miasta z myślą o tych, którzy chcą mieszkać przyzwoicie we własnym domu z ogródkiem, o terenach na centra handlowe z dużymi parkingami, o nowych połączeniach ulicami poszczególnych dzielnic miasta, o obwodnicach ograniczających przejazd ciężkiego transportu przez środek miasta itd., itd.

Wszyscy członkowie rady miejskiej mieli świadomość powagi sytuacji zmuszającej nas do osiągnięcia konsensusu

w każdej sprawie, według zasady: dobrze rządzić, to znaczy umieć przewidywać. Przewidywać, że w niedalekiej przyszłości mieszkańcy miasta będą chcieli przyzwoicie mieszkać, wygodnie przemieszczać się coraz lepszymi samochodami, korzystać z dobrze działającej opieki zdrowotnej, obiektów kultury i wypoczynku. Wiem, bo bywałem czasem w Lubinie, że większość z wymienionych wyżej zadań zostało już pomyślnie wykonanych. Widać, że miasto jest czyste, zadbane, kolorowe, dobrze zarządzane. Bardzo się cieszę, że radni wszystkich kadencji, od tej z lat 1990–1994 na czele z panem prezydentem Robertem Raczyńskim począwszy, spełnili oczekiwania swoich wyborców. Mieszkańców miasta dzisiaj zasobnego i pięknego, miasta mojej młodości i aktywności zawodowej.



Krzysztof Machajek

Pod jednym szyldem

Na początku była ogromna aktywność. Przyszliśmy praktycznie z ulicy. Początki pracy w samorządzie to czas jeszcze przed wyborami. Startowałem do rady miejskiej z Przylesia, działałem w Solidarności w kombinacie i tam zdobywałem pierwsze szlify w działalności społecznej. Potem chodziliśmy na spotkania z mieszkańcami. Ludzie tak jak teraz potrzebowali kontaktu, chcieli wiedzieć, kto jest kim, co sobą reprezentuje. Wszyscy chcieli zmian, do Solidarności w całej Polsce należało wtedy 10 milionów osób. Prawie każdy uważał, że komunę trzeba było odgonić. Chciano zmian, nawet aktualnie rządzący miastem przewidywali, że idzie nowe. Potwierdza to między innymi przykład Ryszarda Maraszka, ówczesnego prezydenta Lubina, który wiedział, że zmiany nastąpią i był na nie bardzo otwarty. Robił wszystko, żeby nam przyszłym radnym pokazać, jak funkcjonuje miasto. Przychodziliśmy na sesje, na komisje rady, żebyśmy mogli patrzeć, na czym w praktyce polega praca w radzie. To było bardzo dobre. Nie wyobrażam sobie, żeby dzisiaj radni dzielili się wiedzą z ludźmi, którzy mają ich zastąpić. On wiedział,

że odchodzi, ale robił to z klasą. Zapraszał nas, bo wiedział, że musimy się wszystkiego uczyć. Chodziliśmy na szkolenia, uczyliśmy się na bieżąco i pracy w samorządzie, i prawa, które się tworzyło i zmieniało w trakcie. Tyle że wtedy nam się chciało, to był bardzo fajny okres. Pamiętam niesamowity entuzjazm i zapał do pracy. Pochodziliśmy z różnych środowisk, ale szliśmy pod jednym szyldem. Wszyscy chcieli zmiany, stąd taka frekwencja w wyborach i stąd taka wygrana.

Satysfakcja, że się pomaga

Pierwszy rok był bardzo entuzjastyczny, wszyscy się uczyli, chcieli wszystko wiedzieć i wszystko załatwić. Potem przyszła rzeczywistość i okazało się, że niewiele można zrobić, albo przez przepisy, albo po prostu przez brak środków w kasie miasta. Gdy się dowiedzieliśmy, że nam się należą diety, byliśmy oburzeni. Po co komu dieta! Jesteśmy tu dla miasta, a nie dla kasy! Nie chcieliśmy brać tych pieniędzy. Wtedy nie patrzyliśmy na wynagrodzenie. Liczyło się tylko to, że trzeba pracować na rzecz mieszkańców. A do zrobienia było mnóstwo spraw, jedne zaczynaliśmy od początku, inne kontynuowaliśmy. Zawsze to była fajna, satysfakcjonująca praca. Miałem trzydzieści parę lat i chciałem wiele zrobić.

Pamiętam dyżury radnych, na które przychodziło wielu mieszkańców. Niesamowite uczucie, gdy się wiedziało, że mogą im w jakiś sposób pomóc. Ludzie się borykali z różnymi przeciwnościami losu, a my przez działania urzędu czy innych jednostek staraliśmy się im pomagać w nieraz naprawdę niełatwym życiu. Nie pamiętam konkretnych spraw, na pewno chodziło między innymi o mieszkania, kwestie socjalne.

Lista Machajka

Powiem może coś, co nie będzie popularne. Wybraliśmy Roberta Raczyńskiego na prezydenta, bo był młodym chłopakiem, świeżym, z pomysłami i miał wsparcie całej rady. On też tak jak my wszyscy uczył się samorządu od początku. To był dobry czas dla nas. Pokazaliśmy, że stawiamy na młodość, energię, nowe spojrzenie, to wszystko było potrzebne. Po dwóch latach jednak zweryfikowałem swoje spojrzenie na radę i zarząd miasta. Uważałem, że parę rzeczy było robionych źle, dlatego przeszedłem do opozycji wobec prezy-

denta. Pamiętam nawet artykuły prasowe z tytułami typu „Lista Machajka”, w których wytykałem błędy w rządzeniu miastem. Zawsze uważałem, że trzeba działać transparentnie, przejrzysto, czysto, żeby nikt nam nie zarzucił, że coś zrobiliśmy nie tak. Dla mnie najistotniejsza była praca dla mieszkańców, chciałem, żeby byli zadowoleni, że mają radnych z prawdziwego zdarzenia, żeby czuli, że o nich dbamy, że dla nich pracujemy, że zmieniamy miasto i żeby wszyscy mogli się w nim czuć jak najlepiej. Życie pokazało, że wtedy niewiele rzeczy mi się udało osiągnąć. Pisałem pisma, składałem różne interpelacje, wnioski, ale zawsze byłem przegłosowywany.

Szkoda życia

Na sesjach nieraz zdarzały się awantury, bardzo ostre dyskusje. Najgorsze, że podczas jednego z takich emocjonujących sporów odszedł jeden członek rady miasta, śp. Zbyszek Szykalski. To się stało z powodu silnych emocji. Wtedy powiedziałem sobie, że nie interesuje mnie druga kadencja. Zbyt dużo siły włożyłem w to, żeby coś naprawić. Skoro natopkałem opór wewnątrz rady, uznałem, że szkoda zdrowia. Zawsze w radzie jest jedna ekipa silniejsza i druga słabsza, mniej liczna, zawsze przegłosowywana. Śmierć Zbyszka Szykalskiego to moment, kiedy podjąłem decyzję, że nie warto się szarpać. Trzeba dotrwać do końca kadencji, robić swoje, a potem dać sobie spokój. I tak zrobiłem.

Staraliśmy się o europejskie standardy

Zanim jednak odszedłem z samorządu, do końca kadencji pracowałem najlepiej, jak potrafiłem. Byłem przewodniczącym komisji komunalnej, o inwestycjach i przetargach wiedziałem wszystko, miałem wgląd do każdego dokumentu. Przez moje ręce przechodziło mnóstwo papierów, czytanie ich, analizowanie to gigantyczna praca. Działałem też w komisji zdrowia, byłem zastępcą radnej dr Danusi Sołtysiak. Kupowaliśmy wiele rzeczy do szpitala miejskiego, chcieliśmy go doposażyć, żeby panowały w nim europejskie standardy, oczywiście europejskie na tamte czasy. Pamiętam, że budowaliśmy szkołę na ul. Konopnickiej. To była duża i ważna in-

westycja. I tyle. Po trzydziestu latach konkretów pamiętam niewiele, bardziej atmosferę, entuzjazm i chęć do pracy...

Po latach widzę, że władza deprawuje. Tak jest wszędzie, coraz więcej w tym wszystkim interesów, a coraz mniej służby. Dziś już nikt nie pracuje dla idei, ale samorządność ogólnie się ma dobrze. Tylko wciąż nie idą na nią odpowiednie do zadań pieniądze. Gdy się przerzuca zadania na samorząd, to trzeba mu zapewnić niezbędne środki do realizacji, a często tak nie jest.



Jerzy Marciniak

1946 –2016

Myślami został w Lubinie

Radny pierwszej kadencji Rady Miejskiej w Lubinie, pracował w komisji gospodarki komunalnej, delegat do Sejmiku Samorządowego Województwa Legnickiego w latach 1990–1994.

Po technikum ekonomicznym i kursach doszkalających znalazł posadę m.in. w skupie zwierząt rzeźnych w Środzie Śląskiej, a po przeprowadzeniu się do Lubina został zatrudniony w PSS Społem, gdzie prowadził magazyn. Następnie pracował w Zakładzie Robót Górniczych. Był zaangażowany w podziemną działalność Solidarności, współpracował z przywódcą Solidarności Walczącej we Wrocławiu.

– W latach 80. przywoził z Wrocławia do Lubina i Legnicy różne materiały od pana Kornela Morawieckiego, między innymi jego słynny list do żołnierzy sowieckich, zatytułowany „Do braci Rosjan”, a następnie przekazał go...oficerowi Armii Radzieckiej w Legnicy – mówi Irena Cecerska-Marciniak, żona Jerzego Marciniaka.

Oboje należeli wtedy do Salezjańskich Pomocników Kościoła. Z tej formacji narodził się Komitet Obywatelski „Solidarność” w Lubinie. To stamtąd Jerzy Marciniak dostał propozycję startu w wyborach samorządowych.

Wcześniej jednak spędził prawie rok w więzieniu za działalność opozycyjną. Irena Marciniak opowiada o tym, jak jej mąż został skazany za sfinansowaną kradzież. – Ubecja stwierdziła, że z magazynu skór surowych, który prowadził Jurek w PSS Społem, zginęły surowe świńskie skóry. Oskarżenie było tak absurdalne, że zaprotestował nawet ówczesny dyrektor Społem – wspomina wdowa po radnym. Przeprowadził kontrolę i napisał protokół, z którego wynikało, że nic nie zginęło. Następnego dnia został zwolniony. – Ten uczciwy człowiek zapłacił wysoką cenę za obronę mojego męża – dodaje Irena Marciniak.

W latach 90. Jerzy Marciniak skończył studia licencjackie z marketingu i zarządzania na PWSZ w Legnicy i pracował jako syndyk masy upadłościowej. Jego żona mówi, że był dumny z udanych przekształceń różnych zakładów na terenie Lubina, Legnicy, Głogowa, Wałbrzycha. Najbardziej z tego, że w Lubinie przeprowadził własnościowe przekształcenie pracownicze w POM, czyli Państwowym Ośrodku Maszynowym. Większość pakietu własnościowego wykupiła załoga.

Do rady miejskiej trafił jako członek Solidarności. Pracował też w radzie nadzorczej MPWiK. Do wyborów szedł z przekonaniem, że wreszcie wszystko się zmieni, że będzie można razem zdziałać wiele dobrego dla miasta. – Potem nieraz przychodził po sesji do domu i mówił, że nie spodziewał się, że coś, co rokuje tak dobrze, może mieć tak kiepski finał – mówi pani Marciniak. – Denerwowało go, że ludzie, którzy weszli do samorządu, robili krecią robotę. Mieli dawne przyzwyczajenia, że jeśli ktoś jest u władzy, to trzeba z nim walczyć. Przez to dochodziło do niepotrzebnych tarć i wojenek. Jurek mocno przeżywał te walki wewnętrzne.

Nie startował w kolejnych wyborach. Skończył szkołę menadżerów służby zdrowia przy Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu i podjął pracę w Szpitalu Chirurgicznym w Legnicy jako kierownik działu marketingu. Jednak zaraz po tym poważnie zachorował. Wtedy państwo Marciniakowie przeprowadzili się do Michałowic. Jak dodaje żona pana

Jerzego, myślami jednak pozostał w Lubinie, do końca się nim interesował. Często spotykał się z Lechem Dłubałą i Edwardem Wóltańskim, wypytywał, doradzał. Żył lubińskimi sprawami.



■ **Władysław Mikulski**

Ludzie byli pełni zapału

Przed wyborami był czas nadziei. Można powiedzieć, że zostałem radnym z łapanki. Pracowałem w kopalni i któregoś dnia przewodniczący Solidarności Nuciński namówił mnie do startu w wyborach, bo jak przekonywał, ludzie mnie znali, więc miałem szansę nzbierać dużo głosów. Wprawdzie liczył na to, że to on wejdzie do samorządu dzięki moim głosom, ale stało się inaczej. On nie wszedł, a ja zostałem radnym. Nie udzielałem się wcześniej. Nie działałem, ale mówiłem, co myślę. I chyba to zaważyło na wyniku wyborów, że z Bożą łaską dostałem się do rady miejskiej.

Gdybym miał krótko podsumować lata 1990–1994, to powiedziałbym, że wszyscy mieliśmy wtedy wielkie oczekiwania i nadzieję, a może nawet pewność, że wreszcie coś się zmieni i będzie lepiej. Natomiast po tych czterech latach moje odczucie było zupełnie inne. Uznałem, że jedyne zmiany, jakie nastąpią, to zmiany personalne. Zaczęło się dochrapywanie stanowisk, niektórzy do dziś na nich siedzą. Odchodziłem z rady rozczarowany. I raczej nikt za mną nie tęsknił, bo jak zawsze mówiłem, co myślę, a to się zazwyczaj ludziom nie podoba. Wolą, gdy się przytakuje.

Pracowałem w komisji bezpieczeństwa i reprezentowałem miasto w radzie nadzorczej szpitala psychiatrycznego w Złotorzy oraz w radzie nadzorczej MPO. Wtedy praca w radach nadzorczych była niepłatna. Jedyne na zebrania szpitalnej rady w Złotorzy prezydent używał samochodu.

Dobrze wspominam pracę w radzie miejskiej. Przede wszystkim dlatego że ludzie, którzy się w niej znaleźli, mieli dużo zapału. Wierzyli, że w końcu coś będzie zależało od nich, ale wychodziło różnie. Zarządowi miasta rządziło się o tyle łatwiej, że nie było opozycji. W takich warunkach można dużo zrobić. Tylko jeszcze chodzi o to, żeby robić dobrze, a gdy nie ma opozycji, to nikt też nie widzi błędów. Rządziła wąska grupa, a reszta nie miała nic do gadania. To był jeden z powodów, dla których nie chciałem już potem nigdy kandydować. Decyzje były ustalane przez zarząd, a rada musiała je tylko przegłosować.

Satysfakcja z pomocy

Byłem szarym pracownikiem, miałem swoją działalność i skupiałem się na pomaganiu całej mojej rodzinie, bo uważam, że tylko to jest ważne. Mimo moich krytycznych uwag, chcę powiedzieć, że nie żałuję, że byłem radnym. Po pierwsze, dlatego że mnie zawsze interesowali ludzie, ich problemy i krzywdy. Zawsze byłem za ludźmi, dlatego lubiłem dyżury i myślałem, jak pomóc tym, którzy na nie przychodzili ze swoimi problemami. Zastanawiałem się, jak wskazać im, co powinni robić, podpowiadałem, jak poprosić o pomoc urzędników albo sam o tę pomoc prosiłem. Gdy mogłem komuś pomóc, czułem satysfakcję. Chociaż bywały też trudne momenty. Jako komisja chodziliśmy też do mieszkań komunalnych, niektórzy ludzie chcieli, żeby miasto im wszystko dało i wszystko za nich zrobiło. Po drugie, mam taką naturę, że im większe jest wyzwanie, tym bardziej się staram, mam podwójną skórę i nigdy się nie poddaję, dlatego chciałem zrobić, ile się da, nawet wtedy, kiedy z wieloma sprawami się nie zgadzałem.



■ **Jan Mowiński**

Trochę jak saperzy

Początek lat 90. to pionierskie czasy, w których czuło się, że wszyscy, a na pewno zdecydowana większość, chcieli zrobić coś dobrego i nowego, pokazać, że hasło „radny bezradny” nie ma sensu.

Mimo że w pierwszej kadencji zdecydowaną większość mieli radni z komitetu obywatelskiego, wcale nie było tak łatwo. Budżet był dzielony przez radnych na zasadzie potrzeb, a wtedy finanse miasto miało o wiele mniejsze, możliwości kredytowania prawie żadne. To, co przyniosło zbycie majątku gminy, okazało się kwotą symboliczną. Kołdra była krótka, a potrzeb naprawdę masa, więc zawiązywaliśmy między sobą koalicje na zasadzie: „ty zagłosisz za moim projektem, a ja za twoim”. Chociaż i tak zawsze wykonawcą budżetu pozostawał prezydent i zarząd miasta, wtedy wybierani przez radę.

Pamiętam, że tworzyliśmy wszystko: statut miasta, regulaminy. I wszystko na zasadzie wyczucia, bo przepisy były bardzo ogólne. Prawdopodobnie na poziomie rządu panowało przekonanie, że my na dole nie damy rady, samorząd się rozsypie i rząd weźmie gminy z powrotem pod swoje skrzydła. Ale dzięki Panu Bogu wszystko się udało.

Słuchaliśmy jedni drugich

Spieraliśmy się, pojawiały się różne polityczne wycieczki, chociaż na poziomie samorządów one raczej przeszkadzają. Takich punktów może nie było wiele, ale były, jak to się dzieje w sytuacjach, kiedy się spotykają ludzie z różnych grup, o różnych zapatrywaniach. Jednak na pierwszym miejscu stał Lubin. Było widać, że potrzeby są wielkie i żeby je ogarnąć, potrzeba zaangażowania. Myślę, że w tamtym czasie trochę się wzajemnie słuchaliśmy. Bo wiadomo, że jeśli ktoś miał dobry pomysł, to nieoparcie go byłoby wielką krzywdą dla nas samych. Na początku mieliśmy potężny zapał, ale środki finansowe dosyć marne. Później w kolejnych kadencjach sytuacja finansowa się poprawiała.

Nie tak to inaczej

Z perspektywy czasu, trudności właściwie sobie nie przypominam. Nawet jeśli coś stanowiło problem, to próbowaliśmy go rozwiązać, obejść czy odłożyć na później. W ogromie spraw skupianie się na jednej nie miało sensu. Pojawiła się inicjatywa, żeby na sali konferencyjnej rady miejskiej w urzędzie miejskim zawiesić krzyż. Akurat wtedy przewodniczący zwrócił się do mnie z tą sprawą. Poszedłem na pielgrzymkę na Jasną Górę i tam ten krzyż został poświęcony. Przyniosłem go na pierwszą powakacyjną sesję. Wtedy w tej sali była jeszcze peerelowska boazeria, więc wbicie gwoźdźnia nie stanowiło problemu, tyle że nie mieliśmy młotka. Przybiliśmy więc ten gwóźdź butelką wody mineralnej. To taki drobny humorystyczny przykład pokazujący, że każdy problem da się rozwiązać, jeśli się chce. Dobrej woli do działania nie brakowało, największą trudnością były sprawy finansowe – ta za krótka kołdra w stosunku do morza potrzeb.

Złotówka oglądana 10 razy

Bardzo twórczo przebiegały prace w komisjach. Wtedy na przykład zaczęliśmy wydawać 6 razy mniej pieniędzy (oczywiście stopniowo) na oświetlenie miejskie, dzięki zmianie systemu, opraw świetlnych, źródeł itp. Ówczesny zarząd z wiceprezydentami Tadeuszem Maćkałą i Władysławem Szczotką, którzy byli potężną pomocą dla prezydenta Roberta Raczyńskiego, działał bardzo sprawnie. Wiceprezydenci odpowiadali za wykonywanie decyzji zarządu, pojawiali się na posiedzeniach komisji. Miałem zaszczyt i przyjemność być przewodniczącym komisji gospodarki komunalnej, więc znam wszystkie sprawy typowo komunalne, bo one przechodziły przez naszą komisję. Mieliśmy duże merytoryczne wsparcie od tych osób. Pan Szczotka był tytanem pracy, pan Maćkała też, dodatkowo miał mnóstwo pomysłów.

Kiedy pierwsza kadencja zakończyła się sukcesem w całej Polsce, okazało się, że złotówka wydawana w mieście, w gminie i ta wydawana w państwie jest jak 1 do 1,50 (o ile dobrze pamiętam). Dlaczego? Nie wiem, ale byliśmy dumni z tego, że się udało, że się nic nie wywaliło, pomimo różnych problemów.

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że w pierwszej kadencji myśleliśmy perspektywicznie, na przykład o szkołach, kiedy one jeszcze były państwowe, a nie samorządowe. Pierwsza kadencja to naprawdę fundament, dobre przygotowanie do następnych. Na pewno tym fundamentem byli ludzie, którzy pracowali w radzie i w zarządzie, którzy po prostu mieli serducho do tego, żeby coś zrobić.

Trudne wybory

Kiedyś mi ktoś powiedział, że cudem było, że w ogóle tę pierwszą kadencję przetrzymaliśmy z takimi małymi budżetami. A jednak pracowaliśmy intensywnie i współpracowaliśmy ze sobą. Wtedy ludzie mocno się interesowali tym, co się dzieje w mieście. Działała już lokalna telewizja i mieszkańcy bardzo żywo reagowali na podejmowane przez zarząd decyzje, sygnalizowali potrzeby, jednocześnie rozumieli ograniczone możliwości. Nie mówiliśmy, że czegoś nie załatwimy, tylko że nie w tym momencie, że to, czego się domagali, jest już w planie i że zostanie zrealizowane, gdy będą na to fundusze w budżecie. Bywało, że jakaś sprawa przepadała. Podam taki przykład: jedna z radnych miała pomysł, żeby wspomóc remont państwowej szkoły muzycznej, gdzie chciano dobudować halę widowiskowo-koncertową. I nawet zebrała koalicję, miała szansę przeforsować ten plan, ale potrzeba było chyba 150 tysięcy na ten cel, a mogliśmy dać 100 tysięcy. Zamiast się zgodzić na mniejszą kwotę, ona się uparła, że chce 150 tysięcy, nie mniej. Tłumaczyliśmy, że w jednym roku sfinansujemy część remontu, a w kolejnym roku następną, bo 50 tysięcy potrzebne było na inny pilny cel. Nie zgodziła się i projekt przepadł.

W pierwszej kadencji na 40 radnych 36 było z komitetu obywatelskiego, a czterech spoza niego. Gdy rozmawialiśmy o budżecie, zaczęły się tworzyć grupy, bo była pewna mała ilość pieniędzy i musieliśmy wybrać, czy przykryć stopy, czy brzuch. I to trzeba było przegłosować. Zarząd lub prezydent tłumaczyli potrzeby, dlaczego akurat ta, a nie inna jest pilniejsza. Rozważaliśmy na przykład odbudowę zalewu, mieliśmy obliczenia, że napełnianie zbiornika trwałoby od 4 do 6 miesięcy, ale ktoś powiedział: „To nie nasz pomysł i nie będziemy tego realizować”. Lata mijały, na dawnym zalewie wyrosły drzewa i dziś już nie ma o czym mówić.

Naprawianie przeszłości

Później ludzie przyzwyczaili się do tego, że jest dobrze, mieli do nas zaufanie. Sukcesem dla mnie jest cała pierwsza kadencja. To, że ją przeszliśmy, że udało się parę rzeczy zrobić, parę innych rozpocząć, niektóre naprawić. Na przykład w PRL-u wymyślono osiedle Krzczyn, bo miasto miało się rozwijać w tamtym kierunku. W Lubinie wieją głównie zachodnie wiatry, więc żeby decydenci oddychali czystym powietrzem, tam pobudowali sobie domy. A później okazało się, że jest mnóstwo problemów na tym osiedlu, takich jak zaniedbane uliczki, szamba. Kiedy przyjeżdżaliśmy tam na posiedzenia komisji, ludzie pokazywali nam, że w polu na ziemię orną wyływały tęczowe smugi z ziemi, dlatego że szamba przeciekały. Miasto musiało to naprawić.

Blisko ludzi

Piękną sprawą były dyżury radnych. Dużo osób przychodziło ze swoimi problemami. Mogę powiedzieć ze swojego punktu widzenia, że starałem się, żeby nie odchodzili załatwieni z kwitkiem. Nie ukrywajmy, ludzie do tej pory nie wiedzą, co jest gestią samorządu, a co państwa. Staraliśmy się pokierować ich tak, żeby im pomóc, ale też żeby nie załatwiać za nich sprawy, bo tak się nie traktuje ludzi dorosłych. Dorośli załatwiają swoje sprawy sami, wystarczy tylko im to ułatwić, pokazać gdzie, podpowiedzieć, z kim porozmawiać, a nieraz też podejść i poprosić z ładnym uśmiechem urzędnika, żeby kogoś pokierował albo z nim porozmawiał.

Zdarzały się skargi, że sąsiad komuś przeszkadza, wtedy kierowaliśmy taką osobę do spółdzielni mieszkaniowej, na policję czy później do straży miejskiej, z którą mieliśmy dobry kontakt. Bardzo lubiłem dyżurować. I na te moje dyżury przychodziły też „ulubione” osoby, które miały problem zawsze. Później ludzie nieraz zaczepiali mnie na ulicy albo przychodzili do mnie do domu. Zapisywałem, o co chodzi, a przy okazji tłumaczyłem, czym się zajmuje radny, czym prezydent, co należy do miasta, co do państwa. Wyjaśnialiśmy na dyżurach, że współdziałamy z prezydentem i zarządem, ale radni są organem nadzorczym i uchwałodawczym, a wykonawczym jest prezydent.

Szacunek, poczucie wspólnoty i nauka

Współpracowaliśmy z urzędnikami, nie byliśmy jakimiś wielkimi, dumnymi radnymi, wszyscy odnosiliśmy się do siebie z szacunkiem. Pierwsza kadencja była szczególna. Spotkania oplatkowe czy z innych okazji, zawsze były takie podniosłe. Czuliśmy się trochę jak rodzina, chociaż sam komitet obywatelski był konglomeratem różnych osobowości, spojrzeń na świat, poglądów, jednak celem nadrzędnym i łączącym nas było miasto.

Wszyscy się wtedy uczyliśmy, jeździliśmy na różne szkolenia samorządowe i tam każdy od każdego się uczył. Nie było wytycznych, jak działać. Trochę jak saperzy w pierwszych samorządach badaliśmy grunt, a potem dzieliliśmy się doświadczeniami, zastosowanymi rozwiązaniami.

Pamiętam, jak się uczyliśmy pracy na komputerze. Patrzyliśmy, czy to, co zostało napisane, nie zniknie. Dziś to jest śmieszne, ale wtedy to była prawdziwa pionierka. Trochę jak lądowanie na Księżycu. Nie wiadomo, w którą stronę się obrócić i co robić. Czy były błędy? Pewnie tak, na pewno nie było idealnie.

Zamiast marudzenia

Podejmując mandat radnego w połowie kadencji, pewne rzeczy już zastałem. Trafiłem do komisji gospodarki komunalnej i na jednym z pierwszych posiedzeń poproszono mnie, bym został zastępcą przewodniczącego. Komisja działała troszkę kulawo, przewodniczący się spóźniał, bo miał swoje sprawy zawodowe. Bez niego nie można pewnych rzeczy zacząć, siedzieliśmy więc i marudziliśmy jedno posiedzenie, drugie, trzecie, aż na czwartym powiedziałem, że zgodnie ze statutem możemy przecież zmienić przewodniczącego w każdym momencie. Kiedy po godzinie przyszedł pan przewodniczący, powiedzieliśmy mu, co postanowiliśmy i wtedy niespodziewanie zaproponowano mi, że skoro tak się „rzucam”, to żebym został nowym przewodniczącym. I cóż, musiałem się szybko wszystkiego nauczyć i sprostać wyzwaniu.

Solidne podstawy

Czy w pierwszej kadencji było lepiej? Trudno powiedzieć. Na pewno było o wiele ciekawiej. Nikt nie miał wielkich pretensji, że coś nie zostało zrealizowane, bo każdy wiedział, jakie miasto miało pieniądze. Nieważne, który chodnik remontowano pierwszy, skoro było tyle chodników do zrobienia. Niektóre inwestycje zaplanowane w pierwszej kadencji czekały na realizację kilka ładnych lat. Mówię między innymi o obwodnicy, czyli alei generała Maczka. Tereny pod nią miasto wykupywało już w tamtych latach.

Pół litra od działacza

W pierwszej kadencji pojawił się problem z Zagłębiem Lubin. Organem, który mógł prowadzić giełdy i targowiska, była gmina. Klub administrował terenem wokół stadionu, ktoś taką decyzję podjął jeszcze w PRL-u. Zorientowaliśmy się, że przychody z giełdy powinny wpływać do budżetu miasta. Potem ono może wypłacić klubowi nawet 99 procent tych pieniędzy, ale z zasady należą one do gminy, więc powinny wpływać najpierw do gminnej kasy. Kiedy miasto się o to upomniało, klub, który wtedy jeszcze nie był spółką, stawiał silny opór. Przewodniczący rady miejskiej opowiadał nam nawet, że przyszedł do niego jeden z oficjeli z PRL-u, wyciągnął pół litra i powiedział: „Załatwimy, panie przewodniczący, tę sprawę”. Wielu z nas kibicuje Zagłębiu Lubin i wszystkim zależało na załatwieniu sprawy, ale oficjalnie jak należy, a nie pod stołem. Umorzyliśmy klubowi część długu, ale części kwoty nie zamierzaliśmy darować. W tamtym czasie sytuacja finansowa Zagłębia nie była różowa z różnych względów, ale chodziło o uregulowanie relacji z miastem. Padało wtedy mnóstwo oskarżeń, że chcemy zniszczyć drużynę, a z drugiej strony znowu uwagi, że to złodziejstwo. Było gorąco, na szczęście, choć to długo trwało, udało się tę sprawę uporządkować.

Świetni ludzie, pozytywne wspomnienia

Z natury nie jestem huraoptymistą, ale moja ocena pierwszej kadencji naprawdę jest pozytywna. Może dlatego,

że się starzeję. Wspominam tamten czas bardzo pozytywnie, z ludźmi, których spotkałem w tamtej kadencji, nadal mam przyjazne kontakty.

W tamtej radzie pracowało wiele wspaniałych osób, jak pani Helena Hatka czy pani Elżbieta Palej, można wymieniać i wymieniać... Może wspomnę na koniec tylko o przewodniczącym Pawle Niewodniczańskim, który zawsze był na bieżąco z aktami prawnymi, głęboko zaangażowany. To jemu zawdzięczamy, że mamy w Lubinie tyle porządných aktów prawnych, w oparciu o które wiele spraw w mieście sprawnie działa do dziś.

Oczywiście mam jakieś muchy w nosie wobec niektórych osób, ale to są rzeczy nieważne. Trzeba pamiętać to, co dobre. Kiedyś w rozmowie z panią Rozalią Józefów, radną w kilku następnych kadencjach, stwierdziliśmy, że postawił nas Pan Bóg w tamtym czasie w samorządzie. Teraz są nowi radni i niech pracują, tak jak uważają. Odpowiadamy tylko za to, co robiliśmy i nie mamy się czego wstydić.

Pracowało się z jednej strony bardzo intensywnie, ale z drugiej strony z przyjemnością. Nie wiem, jak się pracuje teraz w radzie, bo nie jestem radnym. W mieście widać pozytywne efekty, więc może nie trzeba cały czas pracować w ten sam sposób. Czasy się zmieniają i należy się do nich dostosowywać. Nam może było „lżej”, bo braliśmy odpowiedzialność za wszystko.



Elżbieta Palej

Wtedy byliśmy wszyscy razem

Przy okazji któregoś ze spotkań w czasie pierwszej kadencji powiedziałam: „Tak nas tutaj dużo. Jak to dobrze, że jesteście razem. Będzie się nam dobrze pracowało”. Na co pan Dariusz Milka odpowiedział: „Nie byłbym taki pewien,

że zawsze będziemy razem”. Ta scena utkwiła mi głęboko w pamięci. Rzeczywiście, potem zaczęły się podziały. Byłam pełna entuzjazmu, cieszyłam się, że tak wiele osób z komitetu obywatelskiego weszło do rady miejskiej.

Wcześniej odbyły się jednak prawyborcy. Wystąpiłam w nich jako biała karta, ponieważ nie należałam jeszcze do Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Jego przewodniczący Robert Raczyński i zastępca Paweł Niewodniczański zaprosili mnie, jako przedstawicielkę Komitetu Ochrony Praw Dziecka. Zdziwiłam się, że chociaż nikt o mnie nic nie wiedział oprócz tego, co sama o sobie powiedziałam, zajęłam w prawyborach jedno z wyższych miejsc. Myślę, że wtedy atutem okazał się fakt, że jestem absolwentką Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, podobnie jak Helena Hatka. Poczułam dużą odpowiedzialność, z której zamierzałam się, jak najlepiej wywiązać.

Sprawy dziecka, jego rozwój i edukacja

Przyznam, że przez 20 lat bycia radną, troszczyłam się głównie o sprawy związane z kulturą i oświatą, a także opieką nad dziećmi, szczególnie specjalnej troski. Zabiegałam głównie o sprawy ważne dla dzieci, ich rozwoju i edukacji. Szczególnie bliska była mi troska o dzieci niepełnosprawne, krzywdzone, zaniedbywane. Priorytetową sprawą w pierwszej kadencji było dla mnie utworzenie ośrodka rehabilitacyjno-adaptacyjnego dla dzieci niepełnosprawnych. Wspólnie z ich rodzicami, w ramach Komitetu Organizacji Ośrodka Rehabilitacyjno-Adaptacyjnego dla Dzieci Niepełnosprawnych, w którym pełniłam funkcję sekretarza, uczestniczyłam w akcjach mających na celu pozyskanie jak najwięcej środków. Rozprowadziliśmy cegiełki na giełdzie, bazarze, pozyskiwaliśmy sponsorów. Organizowałam również zbiórki pieniężne wśród radnych. Wielu z nich całkowicie rzekło się diet na rzecz comiesięcznej zbiórki na ten cel. To było duże przedsięwzięcie, które zakończyło się pełnym sukcesem. W Lubinie przy ulicy Jastrzębiej powstał pierwszy w Polsce, utworzony i prowadzony przez samorząd, bardzo dobrze wyposażony, ośrodek dla dzieci niepełnosprawnych. Rodzice nie musieli już jeździć po kraju w poszukiwaniu pomocy dla swych dzieci. Komitet organizacyjny przekształcił

się w Stowarzyszenie „Dać Nadzieję”, które w dalszym ciągu pozyskiwało środki na doposażanie, poszerzanie oferty, kształcenie kadry czy też pomoc podopiecznym.

Od pierwszej do piątej kadencji pracowałam w komisji oświaty, kultury i kultury fizycznej oraz komisji pomocy społecznej, zdrowia i ekologii. W pierwszej kadencji byłam również członkiem komisji ds. rodziny przy przewodniczącym rady miejskiej. Sprawy, którymi zajmowały się te komisje, były mi bardzo bliskie. Pracując w nich, mogłam realizować swoje założenia, z którymi szłam do rady. Były to, obok wyżej wymienionych, sprawy związane z integracją dzieci niepełnosprawnych z dziećmi zdrowymi. Tworzenie grup integracyjnych w przedszkolach oraz klas integracyjnych. Kolejnym ważnym zadaniem było zabieganie o środki – z budżetu miasta oczywiście – na turnusy rehabilitacyjne, na zajęcia pozalekcyjne czy też działalność klubów i stowarzyszeń sportowych. W pierwszej kadencji byłam przewodniczącą komisji oświaty. Było tam mnóstwo pracy związanej z wprowadzaniem reformy ustroju szkolnego do lubińskich szkół, tworzeniem sieci szkół i przedszkoli oraz budową nowej szkoły na Ustroniu.

W męskim gronie

Posiedzenia komisji zaczynały się o godzinie 17.00, żeby nauczyciele, którzy byli jej członkami, nie musieli zarywać lekcji. Pamiętam, że nigdy nie było na nich pana prezydenta, ale gdy tylko był potrzebny, to wystarczył jeden telefon i zaraz przychodził. Jako jedyna kobieta w komisji czułam się troszkę zdominowana przez panów, którzy mieli swoje pomysły, często zupełnie niespójne z moimi. Nieraz musiałam z nimi walczyć, żeby przeforsować swoje zdanie. Największe przepawy miałam z tymi najmłodszymi, dwudziestoparoletnikami. Byli to: Artur Dubiński, Waldemar Flądno i Piotr Langner.

Szczęście na drodze

W marcu 1991 roku wraz z wiceprezydentem Tadeuszem Maćkałą, przewodniczącym rady Pawłem Niewodniczańskim i jego zastępczynią Heleną Hatką jechaliśmy do ośrodka dla dzieci niepełnosprawnych we Wrocławiu. Chcieliśmy zobaczyć, jak taki ośrodek funkcjonuje, jak jest wyposażony, jaka

jest kadra. Wiedza ta miała nam się przydać przy tworzeniu podobnej placówki w Lubinie. Niestety, nie dojechaliśmy tam. Po drodze, 20 km przed Wrocławiem, mieliśmy wypadek. Prezydent Raczyński, gdy go o tym powiadomiono, tak sobie zażartował: „To wszyscy żyją? A taki ładny pogrzeb mógłby być”. Rzeczywiście, mogło się skończyć tragicznie. Samochód, którym jechaliśmy, wyglądał nieciekawie. Jechaliśmy starym polonezem. W chwili, gdy wyprzedzaliśmy samochód ciężarowy wypełniony drewnem, ten nagle, bez sygnalizacji, skręcił w lewo. Na całe szczęście obyło się bez większych urazów. Tyle tylko, że ja, uderzając głową w wyjątkowo twardy zagłówek kierowcy, nabiłam sobie ogromnego siniaka, który rozlewał się coraz niżej i niżej. W końcu musiałam chodzić w dużych, ciemnych okularach. Żartuję sobie, ale lekarze podejrzewali pęknięcie czaszki i w ciągu dwóch dni zrobiono mi 9 prześwietleń głowy.

Nocne rozmowy z rodzicami

Największe sukcesy? Na pewno za taki uważam utworzenie wspomnianego ośrodka dla dzieci niepełnosprawnych, pierwszego w Polsce i jedyne samorządowego od początku do końca. Moje życie zawodowe zawsze się przeplatało z działalnością społeczną. Jako psycholog w poradni psychologiczno-pedagogicznej i logopeda spotykałam się z dziećmi niepełnosprawnymi, chorymi, z różnymi problemami, dysfunkcjami. Dzisiaj są one już dorosłe, mają po 35, a nawet ponad 40 lat. Nadal mam kontakt z niektórymi z nich i ich rodzicami. Pojechałam kiedyś, jako logopeda, na turnus rehabilitacyjny do Lubiatowa. Przez dwa dni diagnozowałam dzieci, a nocą rozmawiałam z rodzicami. W poradni często słyszałam, że rodzice dzieci niepełnosprawnych nie mają w Lubinie żadnej pomocy, muszą jeździć do Warszawy czy też innych dużych miast, żeby tam szukać wsparcia, odpowiedniej terapii. W Lubiatowie rodzice znów opowiadali mi, jak im ciężko i jak bardzo brakuje w Lubinie specjalistycznego ośrodka dla ich dzieci. Wtedy właśnie, na tym turnusie, powstała myśl, żeby stworzyć u nas taki ośrodek.

Nie obyło się bez problemów, zajęło nam to mnóstwo czasu. Od przedstawicieli niektórych instytucji w Lubinie, którzy powinni się zajmować wspieraniem rodzin z dziećmi niepełnosprawnymi, nieraz usłyszałam, że u nas takich osób nie ma, no może jest najwyżej kilka. W ramach Towa-

rzystwa Przyjaciół Dzieci i Komitetu Ochrony Praw Dziecka zrobiłam z koleżankami badania i okazało się, że w Lubinie mamy nie kilkoro, ale naprawdę bardzo dużo dzieci niepełnosprawnych, potrzebujących fachowej pomocy. Pamiętam też scenkę z TPD w Legnicy, gdy jedna z pań stwierdziła, że na pewno nam się nie uda. Skoro nawet w Legnicy nie ma takiego ośrodka, to co dopiero w Lubinie. Pamiętam, że wyszłam stamtąd z płaczem, tak się zdenerwowałam. Potem jednak ta sama pani bardzo nas wspierała. Oczywiście, gdy ośrodek powstał, ojców i matek sukcesu było bardzo dużo. Mnie to nie przeszkadzało. Ważne, że się udało. Przy TPD powstało Koło Rodziców Dzieci Specjalnej Troski. Było ono, i nadal jest, taką swoistą grupą wsparcia. Bardzo często byłam zapraszana na spotkania koła. Na ile mogłam, służyłam pomocą, radą.

Lubin zobaczył chore dzieci

Od pomysłu do otwarcia ośrodka upłynęło trochę czasu. Wcześniej uruchomiliśmy, w jednym z przedszkoli, grupę dla dzieci upośledzonych w stopniu umiarkowanym i znacznym. One do tamtego momentu pozostawały zamknięte w domach, bo rodzice wstydzieli się gdziekolwiek z nimi wyjść. Pamiętam, jaka to była wielka radość, że mogły wreszcie wyjść z domów i pojawić się w przedszkolu, na ulicy, w sklepie, kinie.

Tworząc ośrodek przy Jastrzębiej, działaliśmy ręką w rękę, wspólnie z doktorem Jaworskim i rodzicami tych dzieci. Wyznacznikiem sukcesu było dla mnie uznanie pani prof. Bibiany Mossakowskiej, ordynator oddziału chirurgii dziecięcej, jednocześnie wiceprzewodniczącej Komitetu Ochrony Praw Dziecka z Warszawy, która przyjechała do nas na moje zaproszenie. Była zachwycona, widząc, jak wyposażyliśmy ośrodek. Pokazaliśmy jej też Przedszkole nr 11 i Szkołę Podstawową nr 4. Pierwszą szkołą samorządową, która też była wielkim sukcesem ówczesnych władz. Pani profesor nie mogła wyjść z podziwu. Później, ilekroć spotykałyśmy się, wspominała wizytę w Lubinie i wszystkim opowiadała, jakie to mamy piękne przedszkola, szkoły i rewelacyjny ośrodek dla dzieci niepełnosprawnych.

Nauczycielki z sercem

Kolejną sprawą, z której byłam ogromnie dumna i którą uważam za sukces tamtej kadencji, są nasze placówki oświatowe i nauczyciele, którzy oddawali swej pracy serce. Dyrektorki prowadzące przedszkola i nauczycielki to prawdziwe artystki. Pięknie organizowały wystrój sal. Przewodnicząca Komitetu Ochrony Praw Dziecka, pani prof. Maria Łopatkowa, która przyjechała do Lubina, też podziwiała nasze przedszkola. Dla porównania będąc w Warszawie, odwiedziłam jedno z przedszkoli, którego kierowniczką była dziewczyna z mojej rodziny. Owszem były tam różne sprzęty, ale wszystko takie kupione i położone. A u nas na każdym kroku widać artystyczną duszę i serce nauczycielek.

Walka o poradnię

Trudności raczej sobie nie przypominam. Łatwiej pamiętać to, co dobre. Nieraz bywały zgrzyty między mną a tymi młodymi radnymi, którzy niekiedy się wymądrzali i nie chcieli przyjąć niektórych rzeczy. Przeważają jednak dobre wspomnienia. Byłam pełna zachwytu, że jesteśmy razem. Niestety, w kolejnych kadencjach spełniły się słowa pana Milki i walka stawała się coraz ostrzejsza, na przykład o utrzymanie szkół. W pierwszej kadencji miasto sprzedawało różne nieruchomości, żeby pozyskiwać środki. Między innymi zarząd upatrzył sobie budynek przy ulicy Kopernika, który miał być przekazany Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej. Wcześniej poradnia miała swoją siedzibę przy ulicy Skłodowskiej, obok SP nr 1. Niestety, po pożarze w 1989 została przeniesiona do trzypokojowego mieszkania przy ulicy Kruczej na Przylesiu. Nie było tam odpowiednich warunków potrzebnych do pełnej działalności poradni. Budynek przy ulicy Kopernika spełniał wszystkie warunki. Prezydent chciał go jednak sprzedać. Ostro się o to spieraliśmy, powiedziałam nawet tak: „Panie prezydencie, jeśli pan ten budynek sprzeda, to ja naprawdę zrezygnuję z mandatu i powiem daciego”. Mocnym argumentem, w tym sporze, była nowa ustawa o systemie oświaty z 1991, w której akcentowano zadania dotyczące pomocy psychologiczno-pedagogicznej. I udało się. Miasto wyremontowało budynek i poradnia działała tam wiele lat. Walkę o siedzibę poradni toczyłam nie tylko

z prezydentem, ale również z panią kurator oświaty, można powiedzieć, moją przełożoną. To było bardzo bolesne, ale udało się. Gdybym miała tylko dla siebie walczyć i prosić, to bym nie umiała, ale dla innych, szczególnie dzieci, to już co innego.

Poradnia na dyżurach

W pierwszej kadencji, jak już mówiłam, wszyscy byliśmy razem – wyjeżdżaliśmy na szkolenia, organizowaliśmy spotkania integracyjne przy ognisku, spotkania opłatkowe, śpiewaliśmy kolędy. Nie było personalnych wycieczek, nikt nikogo nie obrażał i nikt się nie obrażał. Można było każdą sprawę przedyskutować. W komisjach omawialiśmy różne kwestie, wypracowywaliśmy opinie, wnioski, na sesjach nie każdy miał potrzebę wypowiedziania się. Chociaż było kilka takich osób, które lubiły się ze sobą posprzeczać. Nie było w tym jednak aż takiej wzajemnej niechęci czy też złości.

Niesamowite były dyżury radnych, na które przychodziło bardzo dużo ludzi. Dyżurowaliśmy w parach. Nie przypominam już sobie konkretnych spraw, ale pamiętam, że miewałam dyżury ze śp. panem Czesławem Klemaszewskim, psychiatrą. Żartowałam sobie, że nasze dyżury, to taka trochę poradnia psychologiczno-psychiatryczna.

Jako przewodnicząca komisji oświaty i kultury zapraszana byłam do prac jury wszelkiego rodzaju przeglądów teatryków, zespołów tanecznych, pierwszego dnia wiosny w parku Wrocławskim, konkursów recytatorskich, plastycznych. Nigdy nie odmawiałam, z wielką przyjemnością oglądałam występy dzieci i ich twórczość artystyczną. Jeździłam też z Heleną Hatką w Bieszczady i do Wygnańcyc, by sprawdzić, jakie są warunki na koloniach lub obozach organizowanych dla dzieci przez MOPS.

W pierwszej kadencji było bardzo dużo pracy. Trzeba było wszystko zmieniać. Przypominam sobie rewolucję w rynku, gdzie miasto prowadziło na szeroką skalę zakrojone prace nie tylko na wierzchu, ale i pod spodem. Podobnie w okolicy pałacu ślubów. Planowało się budowę drogi, a okazało się, że pod spodem wszystkie sieci są do wymiany... Może dopiero się rozkręcałam jako radna. W pierwszej kadencji

byłam głównie skupiona na sprawach dzieci, zwłaszcza niepełnosprawnych, na sprawach rodziny i oświaty, bo na tym najlepiej się znałam. W kolejnych kadencjach zakres moich zainteresowań znacznie się poszerzył.



Stefan Patralski

Do jednej bramki

Okres przełomowy, powstanie samorządu, tworzenie wszystkiego od początku i przede wszystkim działalność społeczna – to moje pierwsze skojarzenia, które przychodzą mi do głowy, gdy myślę o kadencji rady miejskiej z lat 1990–1994. Powstawanie samorządu było bardzo interesujące. Jeszcze przed wyborami z kolegami braliśmy udział w szkoleniach z prof. Michałem Kuleszą i w spotkaniach z panem Stępnem. Tworzyliśmy nieformalną grupę, łączyły nas wspólne zainteresowania. Od 1980 roku wymienialiśmy poglądy, rozmawialiśmy i gdy ogłoszono wybory, zdecydowaliśmy, że startujemy. Zaraz po wyborach spotkaliśmy się z członkami odchodzącej rady narodowej, którzy dzielili się z nami swoimi spostrzeżeniami. Nie bardzo ich słuchaliśmy, ale byli bardzo uprzejmi.

Porządek i bezpieczeństwo

Zostałem przewodniczącym komisji porządku i bezpieczeństwa, w której byli też ludzie z PZPR. Bardzo często spotykaliśmy się z policją. Jeździliśmy z nimi po mieście po godzinie 22.00, odwiedzaliśmy sklepy, lokale. Patrzyliśmy, czy jest przestrzegane prawo i czy jest porządek. Jeśli ktoś sprzedawał alkohol nieletnim, rozmawialiśmy ze sprzedawcami i właścicielami sklepów. Podobnie, gdy widzieliśmy nieletnich w stanie nietrzeźwym w lokalach, rozmawialiśmy z właścicielami, by do takich sytuacji nie dopuszczali. Rozliczaliśmy policję z ich działalności, a oni przedstawiali swoje statystyki, które obejmowały wykroczenia i przestępstwa.

Interesowaliśmy się wykroczeniami, również tymi popełnianymi przez nieletnich. Poświęciliśmy im odrębne posiedzenia, zwłaszcza że wtedy rozwijała się działalność dilerów narkotykowych, szczególnie wśród dzieci i młodzieży. Szkoły zostały objęte ochroną. Przedstawiciele policji spotykali się z uczniami w klasach.

Giełda samochodowa rozwijała się bardzo dynamicznie. Ciągłe brakowało organizatorom miejsca na placu, by zaspokoić potrzeby sprzedających. Można było kupić dosłownie wszystko, czego zapragnęła dusza. Nawet aeroklub organizował przeloty wycieczkowe samolotem. Można powiedzieć, że odwiedzało nas „pół Europy”. Główny związany z tym problem, jaki miała komisja, to wymuszenie na organizatorach sprawniejszej organizacji wjazdu samochodów na place giełdy. Kolejki sięgały drogi krajowej nr 3, a to z kolei również nie podobało się ani mieszkańcom, ani policji, ponieważ stwarzało zagrożenie dla uczestników ruchu na DK3.

Drugi problem to przestępczość – gra oszustów w trzy karty oraz kieszonkowcy. Patrole mundurowe policji przynosiły mierne efekty, gdyż bandyci byli bardzo dobrze zorganizowani. Jeden stolik ubezpieczało nawet 20 gangsterów. Po długich staraniach na giełdzie zaczęli się pojawiać policjanci w cywilnych ubraniach. Tragedią było to, że uczestnicy tych gier – choć przegrali – byli przekonani, że uczestniczyli w uczciwej grze. Uświadamianie ludzi przez megafony i działania policji znacznie ograniczyły tę działalność.

Pierwsza droga dla rowerzystów

Drogi stawały się coraz bardziej zatłoczone, przybywało uczestników ruchu drogowego. Rowerzyści na tych drogach nie mieli szans z samochodami. Dużo działkowców dojeżdżało do ogrodów rowerami. Nie musiałem długo przekonywać członków komisji, by powstała droga tylko dla rowerzystów – od DK3 do działek w Kłopotowie w kierunku Ścinawy. Gorzej było z przekonaniem radnych – zaczęli wskazywać również inne miejsca w mieście, gdzie powinny powstać takie ścieżki. Ostatecznie zarząd dał się przekonać do naszej propozycji. Wychodząc naprzeciw radnym, zatwierdził mapkę tras rowerowych do realizacji na przyszłe lata.

Ulica Bolesławiecka

Przejazd przez tory był gehenną dla kierowców. Nie dość, że dziurawy, to na dodatek był często zamykany. Należało na czas zdążyć do pracy, z dziećmi do szkoły lub przedszkola, a tymczasem wiele cennych minut traciło się na przejeździe kolejowym. Pociągi jeździły znacznie częściej niż obecnie. Remont przejazdu należał do kolei, a im się z remontami nie spieszyło. Komisja wystąpiła więc do zarządu, by wpisał do budżetu budowę drogi. Zarząd miał takie samo zdanie jak komisja i w ten sposób powstała pierwsza samorządowa droga. Po latach można stwierdzić, że bardzo dobrej jakości – po ponad 20 latach użytkowania pojawiły się na niej zaledwie dwie łatki asfaltu po naprawie. W tamtym czasie nie było jeszcze ulicy Kaczyńskiego.

Miasto dostępne

Pamiętam problemy osób niepełnosprawnych, wysokie krawężniki i inne przeszkody architektoniczne, które utrudniały tym ludziom poruszanie się. Byliśmy na to wyczuleni i gdy planowaliśmy nowe inwestycje, dbaliśmy, by uwzględniły kwestię dostępu dla osób niepełnosprawnych. Dostosowywaliśmy dla nich instytucje miejskie, wykonaliśmy podjazdy i windy. W bibliotece w pałacu ślubów zamontowaliśmy windę sprowadzoną z Hiszpanii.

Ścieżka do lasu

Bardzo dużym wyzwaniem okazały się spółki komunalne. Lubińskie Przedsiębiorstwo Komunalne to był kombinat zajmujący się wszystkim co potrzebne do życia w mieście. Obok zakładu zauważyliśmy drogę wydeptaną do lasu, pracownicy wynosili tamtędy materiały. LPK generowało duże koszty, ale efekty osiągało małe. Nie sposób było się doliczyć, ile co kosztuje. Należało skończyć z rozrzutnością, nagminnym kombinowaniem – jak się wtedy mówiło – albo okradaniem – jak byśmy dziś nazwali ten proceder – policzyć wszystko i zmniejszyć koszty. Podział LPK na mniejsze spółki był bardzo trudnym procesem. Dyrektorzy firmy buntowali pracowników. Dużo rozmawialiśmy z załogą, ze związkami zawodowymi. Spędziliśmy tam mnóstwo czasu, tłumacząc, że nie chodzi

o likwidację miejsc pracy, ale o jej usprawnienie. Najpierw ludzie mieli pretensje, ale później zrozumieli, że podjęliśmy słuszną decyzję. Zresztą solidnie się przygotowaliśmy do restrukturyzacji tego molocha. Sprowadziliśmy ekspertów od przekształceń. Z nimi i najbardziej aktywnymi pracownikami pojechaliśmy w góry, gdzie przez dwa dni rozmawialiśmy od rana do wieczora o tym, jak firma ma się dalej rozwijać, jaką przyjąć strategię. LPK zostało podzielone w miarę sprawnie. Spółki, które wtedy na jego bazie powstały, działają nadal, woda jest, śmieci są wywożone, zieleń zadbana itd. Po przekształceniu LPK kontrolowaliśmy, jak działają nowo utworzone firmy, jak reagują na awarie, jak szybko je usuwają, jak funkcjonują, gdy np. zabraknie energii. Pamiętam, że byłem na kontroli w MPWiK i poprosiłem, by pracownicy odpalili silnik awaryjny, sprawdziłem, jak działa zakład w razie braku prądu. Oczywiście nie wszystko wyszło idealnie – wydzielona z LPK firma, która remontowała drogi, nie przetrwała, sprawa nawet się oparła o sądy.

Pracowałem też w społecznej radzie szpitala. Zabiegaliśmy między innymi o to, żeby inne okoliczne gminy się dołączyły do finansowania szpitala, skoro ich mieszkańcy też do niego trafiali.

Wspólny cel

Działaliśmy w radzie zespołowo, graliśmy do jednej bramki mimo różnic w poglądach. Wszyscy aktywnie pracowali. Jako przewodniczący nadawałem ton w komisji, ale inni radni zatroskani o miasto mieli swoje różne pomysły na rozwiązywanie problemów. Wybieraliśmy najlepsze rozwiązania.

Mieliśmy poczucie, że idziemy w dobrym kierunku, chociaż wszystko było nowe, wszyscy – samorządowcy i mieszkańcy – musieli się przystosować. Nigdy nie było wiadomo, jaki będzie następny dzień. Działaliśmy trochę na wycieczki, podobnie było w całym kraju. Jeździliśmy na różne spotkania do Warszawy, gdzie trwały dyskusje, jak ten samorząd ma wyglądać. Jak ma być skonstruowany budżet, mnóstwo rzeczy było do zrobienia, a pieniędzy brakowało.

Borykaliśmy się z przeróżnymi problemami, np. z wodą w ratuszu. Co ją wypompowano, to po tygodniu czy dwóch piwnica znowu była zalana. Kopano pod rynkiem i szukano przyczyny, aż się udało znaleźć awarię rury, z której się ta woda lała.

Dużym przedsięwzięciem i sukcesem było zbudowanie Szkoły Podstawowej nr 4. Budowa rozpoczęła się jeszcze za czasów rady narodowej, ale stanęła na etapie fundamentów.

Mieliśmy też projekt rozbudowy szkoły muzycznej. Uważałem, że szkoda na to pieniędzy, zaczynał się niż demograficzny, forsowałem więc wniosek, żeby Szkoła Podstawowa nr 10 była szkołą o profilu muzycznym. Można było tam zrobić sale wyciszane do gry, ale grupa radnych chciała rozbudowy już istniejącej placówki. Dyskusje trwały, tymczasem doktor Czesław Klemaszewski, który był ordynatorem w szpitalu przy Łokietka, nie wytrzymał i przekonał radę, by wobec tego sporu, przeznaczyć pieniądze na szpital. I tak się stało.

Zazwyczaj z humorem

Przypominam sobie kilka anegdot. Jeden radny z PZPR powiedział kiedyś do mnie: „Panie Stefanie, wie pan, dlaczego czasami gdy pada deszcz, jest pochmurno, nagle na chwilę wychodzi słońce? Dzieje się tak zawsze, kiedy Matka Boska suszy pieluszkę”.

Inny radny, też z PZPR, zresztą mój sąsiad z klatki, gdy widział, że na sesję wpada telewizja i rozkłada kamerę, od razu się prężył, poprawiał i zaczynał przemówienie, a że potrafił mówić dużo i kwiecicie, to mógł się tak popisywać godzinami. Pewnego dnia mówi, mówi, mówi, aż w końcu ktoś z radnych wstał i powiedział: „Panie Józefie, jeśli się nie świeci czerwone światło na kamerze, to nie nagrywają”.

Kiedyś znalazłem pocisk i przyniosłem go na komisję bezpieczeństwa. Przyszedł też komendant policji. Pocisk leżał na stole, wszyscy zerkali. W końcu spojrzałem na komendanta i rzuciłem: „Zgubił pan to”. Troszkę się speszył, potwierdził i schował pocisk do kieszeni. Nie obraził się jednak za ten żart, chętnie współpracował z radą.

Trudne chwile

Były też tragiczne momenty. Najbardziej wtedy, kiedy jeden z radnych, z mojej komisji na sesji bardzo się zdenerwował i zastabł. Trafił do szpitala i po kilku dniach zmarł. To był dla nas wstrząs.

Pamiętam, że podczas kampanii wyborczej założyłem sobie, że odwiedzę wyborców. Przeszedłem całą ulicę Kruczą i część ulicy Żurawiej. Na ulicy Kruczej zapukałem do jednego z mieszkań i wyszedłem po godzinie. Pierwszy raz spotkałem się z bezrobociem. Pan, który tam mieszkał, przeżywał to strasznie. Nie mogłem tak po prostu zostawić go bez żadnej nadziei i wyjść. Zacząłem razem z nim rozwiązywać ten problem. Rozmawialiśmy godzinę o tym, jak może działać. Razem szukaliśmy rozwiązań. Poczułem, jakbym to ja sam był bezrobotny. Zostawiłem iskierkę nadziei, ale mimo że się umawialiśmy, nie pojawił się i nie wiem, jak potoczyły się jego losy. Przyszli za to inni. Pamiętam jedną panią z De-filu, pracowała w dziale jakości. Kiedy fabryka zaczęła upadać, straciła pracę, przyszła zdruzgotana na dyżur radnych, bardzo to przeżywała. Rozmawiałem z nią godzinę, coś jej poradziłem. Byłem już bardziej doświadczonym radnym i miałem większe rozeznanie. Spotkałem ją w sklepie po pięciu latach, podeszła i zaczęła mi dziękować. Postąpiła tak, jak poradziłem i była bardzo zadowolona. Już nie pamiętam, co jej mówiłem, ale ważne, że pomogłem. Ludzie przychodzili z różnymi sprawami, nierzadko z bardzo trudnymi.

Czuło się poparcie mieszkańców. Czasem trafiał się ktoś, kto zazdrościł, bo myślał, że mamy jakieś profity, jednak w większości byli nam przychylni.

Rada zatrudniała zarząd

Przewodniczący rady podpisywał prezydentowi i innym członkom zarządu umowę o pracę. Wtedy nie było jeszcze wyborów bezpośrednich i prezydent musiał się liczyć z radą. Uważam, że to było lepsze rozwiązanie, chociaż nie bez wad. Prezydent Robert Raczyński uczył się od nas, a my od niego. On już wtedy miał swoje plany, które realizował i realizuje do dzisiaj.

Pamiętam, kiedy jeden z naszych kolegów w połowie kadencji zrobił demonstrację na rynku, żeby odwołać radę. Był przeciwnikiem okrągłego stołu, dla niego nie do przyjęcia było, że w radzie są komuniści. Zgromadził kilkadziesiąt osób na manifestacji. Dla nas to był szok, że pracujemy dla miasta, chcemy jak najlepiej, a ktoś robi takie akcje.

W czasie tamtej kadencji Aeroklub Zagłębia Miedziowego zorganizował nam oblot i zobaczyłem wtedy z góry, że Lubin to jest piękne miasto.



■ Edward Rewers

Pomnik dla poległych

Działałem w Solidarności i to Solidarność delegowała mnie do rady miejskiej. Zgodziłem się, bo chciałem zrobić coś dobrego dla ludzi i dla miasta. Zostałem wybrany i byłem radnym przez cztery lata.

Spraw do załatwienia było mnóstwo, a możliwości finansowe niewielkie. Obrady przebiegały więc burzliwie. Jedni chcieli zrobić to, inni tamto, musieliśmy wybierać. Szczegółów nie podam, bo już nie pamiętam. Różnice zdań wynikały z tego, że rada składała się z ludzi wywodzących się z różnych środowisk i różnych organizacji. Przedstawiciele Solidarności do samorządu weszło kilku. Trzymaliśmy się razem i reprezentowaliśmy wspólny punkt widzenia.

Koniec z władzą komunistów

Bez wątplenia za największy sukces uważam to, że odebraliśmy władzę komunistom. Kolejna sprawa to organizacja samego Lubina. Zreformowaliśmy i w dużej mierze stworzyliśmy nowy plan zagospodarowania przestrzennego. Zajęliśmy się organizacją zaopatrzenia miejskich sklepów oraz bazaru przy ulicy Kopernika. Przed 1989 rokiem stan tej organizacji przedstawiał się tragicznie, ponieważ brakowało dosłownie wszystkiego.

Należało też jak najszybciej postawić pomnik dla poległych pracowników kopalni i mieszkańców Lubina. Wiadomo było, gdzie powinien stanąć, ale pozostawało wszystko przygotować. Pomnik został odsłonięty w 1992 roku.

Pamiętam też, że na początku kadencji oddawaliśmy nasze symboliczne diety na cele charytatywne, a konkretnie na dom dziecka w Ścinawie.

Czas przyniósł podziały

Atmosfera panowała różna, także dlatego, że mieliśmy w składzie rady chyba trzech ludzi jeszcze z byłej PZPR. Bardzo byli krzykliwi, zwłaszcza jeden z nich, nazwiska nie podam, bo już mi umknęło.

Z czasem zaczęły się tworzyć podziały, nowe grupy, między innymi Teraz Lubin. Wywodziło się ono z tzw. inteligencji katolickiej, która działała jeszcze przed stanem wojennym. Oni jednak zaczęli się wycofywać z pewnych wcześniejszych założeń. Pan Raczyński, który był prezydentem w pierwszej kadencji, zrezygnował w kolejnych wyborach. Prawdopodobnie nie chciał wojny na górze.

Nie kandydowałem w następnych wyborach. Zresztą w pewnym momencie musiałem zrezygnować z uczestnictwa w posiedzeniach. Pracownicy umysłowi mieli płacone wynagrodzenie normalnie, niezależnie od tego, czy byli na zebraniu, czy nie. A ja jako górnik dołowy, jeśli nie pracowałem w danym dniu, mimo że miałem tę nieobecność usprawiedliwioną, dostawałem tylko dniówkę, bez premii, bez karty górnika itd. A ponieważ byłem przed emeryturą i liczył się dla mnie każdy grosz, nie opłacało mi się opuszczać pracy, bo zwyczajnie traciłem. Z tego powodu w większości sesji pod koniec kadencji już nie uczestniczyłem.



■ Małgorzata Rudniewska-Przygoda

Polityczna dziura w drodze

Do startu w wyborach w 1990 roku namówili mnie koledzy z izby lekarskiej, która też wtedy się odradzała. Byłam od dłuższego czasu przewodniczącą Towarzystwa Stomatologicznego w Lubinie i delegatką do izby. Koledzy uważali, że skoro szpital podlega miastu, to w radzie miejskiej powinni być lekarze, żeby zadbali o sprawy służby zdrowia. Zdecydowałam się i zostałam wybrana z komitetu obywatelskiego, jak większość ówczesnych radnych. To był intensywny czas w moim życiu. Miałam dużo zajęć, ale w tamtych czasach gdy szłam na sesję, zawiadamałam dyrektora, że nie przyjdę do pracy i nie było z tym problemu. Oczywiście w domu też trzeba było poświęcić niemało godzin na czytanie dokumentów, zwłaszcza, że nie jestem urzędnikiem i na analizowanie urzędniczych pism musiałam przeznaczyć zdecydowanie więcej czasu niż ktoś, kto pracuje w administracji. Jak większość radnych uczyłam się specyficznego języka urzędowego. Nie narzekałam jednak. Nikt nie narzekał, bo to był czas wielkiego entuzjazmu. Chcieliśmy zrobić coś dla miasta, nie tylko z naszej, ale także z inicjatywy mieszkańców. Mieliśmy wreszcie wolność, przynajmniej teoretycznie i sądziliśmy, że się da góry przenosić, świat zmieniać.

Szybka nauka

I nie stanowiło problemu, że poza kilkoma osobami, które pracowały w poprzednich radach, większość z nas nie miała pojęcia o samorządzie, o tym, jakie są przepisy. Wiedzieliśmy, że musimy się wszystkiego nauczyć i uczyliśmy się, w dodatku z ogromnym entuzjazmem. Książek nie było, ale pomagali nam urzędnicy, którzy pracowali w urzędzie miasta, większość z nich chętnie dzieliła się swoją wiedzą. Mogliśmy liczyć na wsparcie szczególnie kierowników

wydziałów. Dzięki temu robiliśmy wiele rzeczy, mimo że na początku nie mieliśmy o nich pojęcia. Pamiętam historię na pierwszej radzie. Nie powołałiśmy kierownika urzędu stanu cywilnego, dlatego że nikt o tym nie pomyślał. A skoro była nowa rada, to należało powołać nowego kierownika USC. Leżało to w gestii rady miejskiej. Bez kierownika urzędu stanu cywilnego miasto nie może funkcjonować, bo nie można rejestrować urodzeń, ślubów, zgonów. Na szczęście byli na sesji urzędnicy, którzy pracowali w magistracie od lat i znali przepisy, więc nam podpowiedzieli, że to jest konieczne. Zresztą często podpowiadali, co i jak mamy robić.

Wielkie oczekiwania

Pracowałam w komisji finansowej i w komisji zdrowia, zajmowałam się tym, co aktualnie było na tapecie. W służbie zdrowia brakowało wtedy pieniędzy. Niewiele się zmieniło, mamy lepszy sprzęt, ale pieniędzy wciąż brakuje. Miasto też za wiele nie miało. Startując w wyborach do samorządu, nie zdawaliśmy sobie sprawy, ile rzeczy gmina musi finansować, niezależnie od tego czy chce, czy nie chce, czy ma fundusze, czy ich nie ma. Pense dla nauczycieli, oświetlenie ulic, komunikacja miejska i wiele innych wydatków, na które rada musi mieć lub umieć zdobyć pieniądze. Uświadomienie społeczeństwa, co należy do miasta, co do państwa, a co do województwa, było mizerne, podobnie jak teraz. Ludzie chcą mieć autobusy, szkoły, czyste i oświetlone ulice, ale nie zastanawiają się, kto to sfinansuje. Dominuje przekonanie, że „oni mają nam to dać”, ale kim są ci „oni”, to już nikt nie wie... Ludzie nieraz nie rozumieją, jakie kompetencje ma miasto i że na przykład nie może wyremontować drogi krajowej. I ja się nie dziwię, bo skąd mają to wiedzieć.

Nie pamiętam spektakularnych sukcesów. Nie pamiętam też specjalnych trudności. Nawet jeśli były, to je pokonywałam. Raczej pamiętam wielkie oczekiwania ludzi, czasem nawet nazwałabym to chciejstwem. Wiele osób uważało, że im się po prostu wszystko należy. Najczęściej przychodzili ze sprawami mieszkaniowymi. Nie za dobrze wspominam dyżury radnych, właśnie z powodu niemiłych spotkań z mieszkańcami, którzy przychodzili nie tyle prosić o mieszkania, co ich żądali. Oczywiście nie wszyscy, ale pamiętam, że denerwowała mnie roszczeniowa postawa wielu osób, które nie chciały dać nic z siebie, ale miały wielkie żądania.

My i oni

Jaka atmosfera panowała na sesjach? To była rada z gatunku „my i oni”, radni należeli do dwóch opcji: SLD [wtedy SdRP – przyp. AG] i komitetu obywatelskiego. Składał się on z grupy ludzi, których łączyło jedno – byli przeciwko SLD. Poglądy może były mniej ważne, zresztą bardzo różne, niekoniecznie sprecyzowane, ale wszyscy mieli wspólnego przeciwnika. Z tego powodu niestety czasem się zdarzały sytuacje, że nie było ważne to, czy ktoś chciał powiedzieć, czy zrobić coś mądrego, ale z jakiej był opcji. Czasem dyskusje zakrawały na jakieś kpiny. Zdarzało się, że uciszałam salę.

Pamiętam takie typowe scenki: wstawał radny z SLD i mówił, że na którejś ulicy jest wielka dziura i trzeba ją koniecznie załatać, bo będziemy płacić odszkodowania za uszkodzone samochody. Na to natychmiast wstawał ktoś z komitetu i protestował, bo sprawę zgłosił lewicowy radny. Nie liczyło się, że przy tej dziurze mieszkali ludzie o różnych poglądach. Część osób była nastawiona bardzo ideowo, ale w złym znaczeniu tego słowa. Skoro taki radny był przeciwko komunie, to był także przeciwko wszystkiemu, co mówił radny z opcji SLD. Nigdy nie zapomnę pewnej sesji. Mieszkałam wtedy na ulicy Wrzosowej od pięciu lat, a moim sąsiadem był i nadal jest były prezydent Lubina Ryszard Maraszek. Kiedy się wprowadziliśmy, nie było drogi asfaltowej, przez pięć lat brnęliśmy w błocie po kolana. Któregoś dnia podszedł do mnie jeden radny i zapytał, czy mieszkam przy Wrzosowej. Potwierdziłam i usłyszałam; „Niech mi pani powie, jak to jest, że Maraszek robi sobie drogę. Myślałam, że wybuchnę. Przecież o tę drogę prosiliśmy miasto od pięciu lat, bo o jeżdżeniu tamtędy w ogóle nie było mowy, a chodzenie też było wyczynem. Maraszek, gdy był prezydentem, odmawiał, tłumacząc, że ludzie będą mu wypominali, że robi tę drogę dla siebie. Tłumaczyliśmy mu: „Człowieku, ale tam mieszka więcej ludzi (wtedy stało tam ze 40 domów) i wszyscy tej drogi potrzebujemy”. Opanowałam się i powiedziałam temu radnemu tak: „A ja słyszałam co innego, że Maraszek przez pięć lat nie zrobił sobie drogi, ale za to Przygodowa zrobiła ją sobie w dwa tygodnie”. I temat się skończył.

Mogliśmy wszystko

Jako komitet obywatelski mieliśmy miazdzącą przewagę w radzie i mogliśmy przegłosować wszystko. To była naprawdę fajna rada, bo ludzie bardzo chętnie pracowali, wszyscy pełni zapału. Kiedy się wytłumaczyło dokładnie, o co chodzi, głosowanie nie stanowiło problemu. Jeden z moich kolegów, który kiedyś był radnym, dał mi taką radę: „Pamiętaj, jeśli chcesz coś poddać pod głosowanie, najpierw musisz to bardzo dokładnie i w zrozumiały dla wszystkich sposób wytłumaczyć, żeby ludzie wiedzieli, o co ci chodzi i żeby nie mieli wątpliwości, czy się z tobą zgadzają, czy nie”. Tak robiłam i byłoby naprawdę super, gdyby nie wspomniane już animozje pomiędzy niektórymi radnymi. Tym bardziej szkoda, że zdarzały się niepotrzebne spory, że wszyscy ludzie w radzie byli sympatyczni. Ich poglądy są ich prywatną sprawą, najważniejsze, że każdy zabiegał o to, co istotne dla miasta. Liczyło się to, co razem robiliśmy dla Lubina, a nie to, jak kto patrzył na świat. Dziura w jezdni nie ma barw politycznych, nie jest ani komunistyczna, ani prawicowa. Mimo wszystko w wielu sprawach osiągnęliśmy porozumienie. Dobrze się układały relacje pomiędzy radą i zarządem miasta. Organizowaliśmy wspólne spotkania świąteczno-noworoczne. Rozmawialiśmy ze sobą.

Blamaż na sesji

Pamiętam zabawną historię. Jeden raz w życiu załatwiałam na sesji prywatę. Wstałam i zgłosiłam, że na ulicy, którą jeżdżę do domu, jest potrzebny koniecznie jakiś znak drogowy. Już nie pamiętam, czy zakazu postoju, czy pozwolenia postoju. Nieistotne. Pan Tadeusz Kielan, który był wtedy szefem wydziału infrastruktury, zapisał to sobie. Po sesji wracam o domu i nagle widzę ten znak. Myślę sobie: „Matko Boska, jaką dałam plamę. Przecież ten znak stoi. Skompromitowałam się!”. Przyjechałam do domu i dzwonię do pana Kielana z przeprosinami, że zrobiłam aferę. I słyszę, że on się zaczyna śmiać i mówi: „W międzyczasie kazałem go postawić”. Wtedy sesje trwały godzinami, więc zanim skończyliśmy, zdążyli postawić znak. Potrafiliśmy sobie robić takie psikusy, bardzo miłe, chociaż przyznam, że wtedy o mało zawału nie dostałam przed tym znakiem. I okazało się, że urząd może działać błyskawicznie. Pod warunkiem, że się chce radnej zrobić dowcip.



Zofia Sarna

1936–2015

Tylko na sto procent

Radna pierwszej kadencji Rady Miejskiej w Lubinie, pracowała w komisjach: zdrowia, ekologii i pomocy społecznej, budżetowej, rewizyjnej, ds. bezrobocia i polityki zatrudnienia. Reprezentowała gminę w Radzie Nadzorczej Zespołu Opieki Zdrowotnej w Lubinie. Sybiraczka.

Jako trzyletnie dziecko została wywieziona z mamą i siostrą na Syberię. Do Polski rodzina Sarnów wróciła, gdy Zofia miała 10 lat. Traumatyczne przeżycia, o których prawie nie opowiadała, naznaczyły ją na całe życie. Po maturze wybrała studia medyczne. Została lekarzem, specjalizowała się w medycynie pracy. Zapewne nie przypadkiem – sama była tytanem pracy. Oprócz etatu w Górniczo-Hutniczym Specjalistycznym Zespole Opieki Zdrowotnej w Lubinie, angażowała się w wiele spraw, m.in. w działalność opozycyjną. Od 1980 roku była aktywną działaczką NSZZ „Solidarność”. Z tego tytułu spotykały ją liczne represje nie tylko na gruncie zawodowym.

Zdecydowała się na start w wyborach samorządowych z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, bo – jak wspominają jej dzieci – została o to proszona. Podejmując się tego zadania, podeszła do niego bardzo poważnie. Nie chciała nikogo zawieść, poza tym trudne doświadczenia z Sybiru sprawiły, że zawsze bardzo ceniła takie wartości, jak prawda i uczciwość.

– Solidnie się przygotowywała do pracy w komisjach, do każdej sesji. Czytała, uczyła się, studiowała dokumenty, zestawienia, poświęcała na to dużo czasu – opowiada Maciej Sarna, syn znanej w mieście i szanowanej lekarki. – Mama dużo w życiu przeszła i zawsze dbała o uczciwość. Jeśli się za coś brała, to na 100 procent.

Maciej Sarna dodaje, że była dumna, że wreszcie ma wpływ na to, co się dzieje w mieście. Przede wszystkim

chciała coś zmienić na lepsze, skoro nastąpiła władza, która chciała być bliżej ludzi. – Nie zależało jej na polityce, na korzyściach czy zaszczytach – mówi. – Napędzało ją to, że po latach komuny można było działać zgodnie z wartościami. Dla niej wartości miały ogromne znaczenie.

Podobnie zapamiętała Zofię Sarnę jej córka Joanna Sarna-Jarosz: – Mama miała bardzo duże poczucie odpowiedzialności. Skoro ktoś ją poprosił i powołał do rady miejskiej, to dawała z siebie wszystko. Była dumna, że wreszcie w Polsce zmieniła się władza i że może zrobić coś dla miasta, dla innych ludzi.

Zajmowała się głównie służbą zdrowia, m.in. uczestniczyła w negocjacjach dotyczących zmian w Górniczo-Hutniczym Specjalistycznym Zespole Opieki Zdrowotnej w Lubinie.

Zasiadała w zarządzie Związku Sybiraków w Legnicy, udzielała się w jego lubińskim kole. Za tę działalność otrzymała Krzyż Zesłańców Sybiru w 2004 roku, a także odznakę Zasłużony dla Województwa Legnickiego oraz wyróżnienie „Pro Memoria” (2008).



■ Karol Seweryniak

1952–2001

Codziennosc na drugim planie

Radny pierwszej kadencji Rady Miejskiej w Lubinie, działał w komisjach: budżetowej, rozwoju miasta, inwentaryzacji majątku miejskiego oraz ds. bezrobocia, w latach 1993–1994 redaktor naczelny *Biuletynu Lubińskiego*.

Ekonomista z wykształcenia, pracował w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń Rud Miedzi (PeBeKa RM). Kiedy po-

wstał Komitet Obywatelski „Solidarność” w Lubinie, od razu się w niego zaangażował. Z ramienia tej formacji został radnym miejskim.

– Karol wszedł do rady, a mnie zaproponowano, żebym podjęła pracę w kancelarii rady miejskiej – wspomina Wiesława Seweryniak, żona pana Seweryniaka. – Na początku byłam tam sama, protokołowałam pierwszą sesję rady. Później dołączyła do mnie Grażyna Marczuk i Staszek Dobrowolski, który został naczelnikiem kancelarii. Protokołowanie komisji, protokołowanie sesji, rozwojenie materiałów przed sesją, wszystko pisało się ręcznie albo na maszynie. Mieliśmy mnóstwo pracy, ale też niesamowity entuzjazm.

Ogromnie odczytany, idealista o zdecydowanych, wyrazistych poglądach bardzo poważnie traktował działalność samorządową. – Może nawet zbyt poważnie. Karol angażował się niesamowicie, nic nie istniało poza tym, że trzeba było przeprowadzić zmiany – wspomina pani Wiesława. – Pracował w komisji inwentaryzacyjnej, która spisywała cały majątek miasta, a potem zajmowała się jego przekształcaniem. To samo z mieszkaniami komunalnymi. To był ogrom pracy.

Mieszkanie Seweryniaków w tamtym czasie przypominało biuro, wszędzie mnóstwo dokumentów, pism, niekończące się rozmowy z innymi radnymi. A do tego morze książek, zwłaszcza historycznych i z zakresu nauk społecznych – współtwórca i redaktor naczelny *Biuletynu Lubińskiego* chciał, by wszystko, co powstaje w mieście w nowych warunkach, miało solidne podstawy, było poparte rzetelną wiedzą, odnosiło się do dobrych, sprawdzonych wzorców.

– U nas nie istniało życie rodzinne, tylko społeczne. Wtedy nikt nie żałował swojego czasu, to coś niesamowitego, kosmiczna sprawa, ale jakoś dawaliśmy sobie radę – opowiada wdowa po radnym. – Karol wierzył w ideały, w to, co się mówiło przed wyborami i myślał, że do końca ludzie będą razem się trzymać i działać dla wspólnego dobra. Nie zwracał uwagi na codzienność, rodzina była na drugim planie. Zresztą, oboje w tym uczestniczyliśmy. Łukasz, nasz syn miał wtedy 9 lat i nieraz chodził z nami do urzędu, znał wszystkich radnych. 29 października 1991 roku, dokładnie w dniu 40. urodzin Karola, przyszła na świat nasza córka Wioletta.

Karol Seweryniak pracował w kilku komisjach, bardzo chciał zrobić jak najwięcej dla ludzi, dla mieszkańców Lubina, żeby każdemu było w nim dobrze. Ukończył różne kursy, także do rad nadzorczych, jednak nie pracował w żadnej z nich. Jak mówią jego bliscy, nie miał osobistych marzeń, wszystko robił na rzecz miasta, na rzecz ludzi, on po prostu żył dla innych. Był zdecydowany i uparty w tym, co robił, ale też wszystko mocno przeżywał.

– Nie oszczędzał się, mimo że miał chore serce. Kompletnie nie myślał o własnych korzyściach. Żyliśmy bardzo skromnie. Na początku radni pracowali społecznie, a później dostali symboliczne diety, których zresztą nie chcieli brać – wspomina pani Seweryniak. – Nie było myślenia o układach, profitach, polityce. Wszystkich przepętniała wtedy euforia, chęć działania. W kancelarii rady przez cały dzień przewijali się ludzie, toczyły się rozmowy, zapadały decyzje i ustalenia, tworzył się *Biuletyn Lubiński*. Karol był jego pierwszym szefem. Był zupełnie inaczej, niż jest teraz.



■ Danuta Sołtysiak

Jeden procent na zdrowie

W pierwszej lubińskiej radzie miasta działaliśmy w dużym stopniu na wycucie. Nie mieliśmy żadnego doświadczenia. Przy podejmowaniu uchwał zastanawialiśmy się, jak powinno być albo czy tak może być. Nie wszystko od razu było wiadomo. Dopiero po pewnym czasie powstał statut, według którego funkcjonowały zarząd miasta i rada miejska. Statut był później w miarę potrzeb zmieniany, dostosowywany. Muszę stwierdzić, że nie wszystkie zmiany akceptowałam, ale – jak zawsze w takich sytuacjach – rację miała większość. Z perspektywy trzech dekad mam spostrzeżenie,

że potwierdza się to znane powiedzonko „radny bezradny”. Generalnie radni mieli skromny udział w tym, co chcieli, żeby się działo w mieście. Większość przedsięwzięć była związana z potrzebami, które widział prezydent i zarząd, czy też które zgłaszała naczelniczy poszczególnych wydziałów. Radni albo to akceptowali, albo nie. Ich udział w zarządzaniu miastem jest mocno ograniczony.

Siła większości

W tej chwili, z perspektywy czasu, postrzegam radę miejską w taki sam sposób jak sejm: jest ekipa rządząca, która ma swoich zwolenników. Oni głosują za jej wnioskami, projektami i są też oponenci, którzy mają trochę inne spojrzenie na świat. Podobnie było w pierwszej lubińskiej radzie miasta. Ludzie związani mocno z prezydentem akceptowali większość wniosków zgłoszonych przez niego i zarząd miasta. Niekoniecznie te wnioski odpowiadały całej reszcie, która niejednokrotnie miała odmienne zdanie na dany temat.

Wsparcie dla zdrowia

Najbardziej interesowały mnie sprawy społeczne. Proponowałam na przykład, żeby bardziej rozwinąć gospodarkę komunalną w sensie budownictwa mieszkań dla tych lubian, którzy nie mieli gdzie mieszkać. Problem mieszkaniowy był wtedy bardzo poważny. Teraz większość ludzi kupuje mieszkanie na kredyt, wtedy takiej możliwości nie było, a mieszkań brakowało. Zresztą lokali socjalnych nadal brakuje. W tej kwestii za wiele się nie zmieniło. W końcu jednak budynek chyba na ulicy Słowiańskiej został przekazany miastu i zaadaptowano go na mieszkania socjalne. Mieszkałi tam ludzie, którzy oczekiwali na swoje lokum. Jak widać, w tej materii jednak jakiś sukces był.

Byłam przewodniczącą komisji zdrowia i podobnie jak inni radni lekarze zabiegałam o to, żeby wspomagać działanie opieki zdrowotnej. I to nam się udało. Wywalczyliśmy zapis w budżecie, zgodnie z którym 1 procent z budżetu miasta przeznaczony był na wspomaganie opieki zdrowotnej. W moim odczuciu to był największy sukces tamtej kadencji.

Najpierw najpilniejsze potrzeby

Chciałam być w komisji finansowej. Niestety, pracowali w niej tylko zwolennicy zarządu, przeciwników zabrakło. A mnie interesowały finanse publiczne. Byłam ciekawa, na co są przeznaczane pieniądze. Miałam zastrzeżenia do części wydatków, które w moim przekonaniu mogły poczekać, nie musiały być realizowane od razu. W mieście jest trochę jak w domu – człowiek najpierw zawsze patrzy, co mu jest najbardziej potrzebne, a dopiero potem pozwala sobie na pewnego rodzaju luksusy. Oczywiście mówię umownie, bo wiadomo, że nikt nie może żądać luksusów w ramach budżetu miasta. Tym bardziej że on jest wyznacznikiem tego, co gmina uzbiera z podatków i co otrzyma z góry od Ministerstwa Finansów. W tej sferze zawsze były między nami tarcia i nie zawsze byłam usatysfakcjonowana decyzjami podejmowanymi przez większość. Ale to taka moja luźna uwaga.

Targi i spory – tak, kłótnie – nie

Atmosfera była dobra. Na komisjach nawet bardzo dobra. Czasami mieliśmy różne zdania czy opinie, czasami spieraliśmy się, ale mimo to panowała dobra atmosfera. W komisjach zgadzaliśmy się z tym, co się nam podobało, a mniej korzystnie opiniowaliśmy te projekty, do których nie byliśmy przekonani, czy które nam się po prostu nie podobały.

Na sesjach bywało różnie – czasami na posiedzenia rady miejskiej przychodzili urzędnicy, którzy udzielali nam odpowiedzi na pytania i wątpliwości. Czasami na sesji nie pojawiał się prezydent. Czasami trwały targi, ale generalnie nie dochodziło do kłótni, raczej zadawano pytania, wyrażano wątpliwości.

Obrady w cieniu tragedii

Miało też miejsce przykre zdarzenie: jeden z radnych, pan Szykulski zastąpił po bardzo emocjonalnej wypowiedzi. Nie pamiętam już, o jaką sprawę chodziło. Niestety, to się skończyło jego zgonem. To był bardzo smutny incydent, który nas mocno poruszył. Zapewne pan Szykulski był człowiekiem schorowanym, o czym nie wiedzieliśmy, ale to nie zmienia faktu, że mocno przeżyliśmy to wstrząsające zdarzenie.

Telefon w środku nocy

Pamiętam doskonale jeden epizod z mojej samorządowej przygody. Zaraz po wyborach do rady miejskiej zbudził mnie w nocy telefon. Była chyba druga, może trzecia, na pewno środek nocy. Zadzwonił pan Raczyński uradowany, że wygraliśmy. Dla mnie to było zaskakujące i ciekawe, bo jako mało doświadczony osobnik polityczny nie przywiązywałam tak wielkiej wagi do wyników wyborów i nie przeżywałam tak bardzo, czy się dostanę, czy nie. Pan Raczyński był natomiast bardzo zainteresowany wyborami, w związku z tym uważnie śledził wyniki i bardzo się uradował, że radni, którzy z nim startowali, weszli do rady.

Jestem oczywiście dumna, że byłam w tym gremium. Może moja satysfakcja nie jest pełna, bo chciałam więcej, niż dostałam, nie wszystkie projekty przeze mnie zgłaszane były brane pod uwagę, jak wspomniane budownictwo komunalne, ale to był ważny czas i dla mnie, i dla naszego miasta.



■ Marian Szmigiel

Mogliśmy zrobić więcej

Kiedy dzisiaj myślę o pierwszej kadencji samorządu lubińskiego, wydaje mi się, że za bardzo nie odbiegaliśmy od średniej krajowej. Łatwiej było nabrać złych cech, niż trzymać się zasad. Dość szybko się odcięliśmy nawet od członków swojego komitetu. Kiedy tworzyliśmy komisje, to za bardzo nie chcieliśmy sięgać do tych, z których wyszliśmy. Jeszcze przed wyborami uczestniczyliśmy w posiedzeniach gminnych rad narodowych, żeby zobaczyć, jak przebiega praca w komisjach i na sesjach, żeby się zorientować, czym się zajmują radni. Uważam, że to świetna sprawa, że mogliśmy to zobaczyć. Pamiętam, że wtedy niektórych diety prawie parzyły, chociaż to były kwoty symboliczne, 20 czy 30 złotych

na obiad. Pytali, gdzie to przekazać. A potem, kiedy diety były znacznie większe, nie było już takich protestów. Uważam, że ktoś, kto nie miał środków do życia albo poświęcał swój czas, w którym mógłby zarabiać pieniądze, powinien dostawać dietę. Natomiast ci, którzy mieli pracę na etacie i nic nie tracili, przychodząc na sesje czy komisje, nie potrzebowali rekompensaty.

Dlaczego nie wyszło doskonale?

Odcinanie się od swojego pnia dotyczyło też zarządu, który dość szybko przestał nas, czyli radnych informować, dlaczego wybiera tak czy tak. Mówili tylko, że taka jest uchwała zarządu, tak głosujemy i tyle w temacie. Można powiedzieć, że bardzo dużo naleciałości z poprzedniej epoki przeniesliśmy do nowego samorządu, mimo że miało być zupełnie inaczej. Większość stanowili ludzie, którym nie podobało się to, co działo się dotychczas i startowali w wyborach właśnie dlatego, że chcieli to zmienić. Jednak dużo z tych rzeczy, które im się nie podobały, zabrali ze sobą. Ludzie z zarządu i najbliższego otoczenia zarządu weszli do rady nadzorczej banku i spółek miejskich. Równolegle zarządzali i byli wykonawcami tych zarządzeń. Troszkę zgubiliśmy zasady, zostaliśmy wybrani, namaszczeni i wydawało nam się, że teraz wszystko, co robimy, jest ok. A jednak nie wszystko było ok. Wydaje mi się, że w Lubinie było tak jak gdzie indziej, czyli ani nie najlepiej, ani nie najgorzej. Podobnie, jak w innych gminach.

Zarząd i reszta

W związku z tym, że zarząd ustalał większość decyzji, na sesjach nie mieliśmy za dużo merytorycznej pracy, wcielania polityki, przedstawiania różnych wariantów i możliwości. Zresztą budżet niejako sam się określa, bo dużo jest w nim takich rzeczy, które trzeba zrobić i nie ma co wymyślać. Szkoły muszą działać, woda musi być, autobusy muszą jeździć. Nie ma o czym dyskutować.

Moim zdaniem rady miejskie były wtedy za duże. W tak licznych gremiach bardzo trudno podejmować decyzje. Ktoś kiedyś powiedział, że najmniej zdolna osoba w takim gremium podejmowałaby lepsze decyzje niż całe to gremium. Tak wysooka jest cena kompromisu i efekt tego, że tyle osób musi się

ze sobą porozumieć. Zresztą to było widać już przed wyborami na zebraniach komitetu obywatelskiego, które czasami prowadziłem. Zachęcałem, żeby ludzie wypowiedzieli, co im w duszy gra. Ile osób, tyle opinii. Z jednej strony dobrą sprawą było zaproszenie do komitetu przedstawicieli różnych środowisk – od rzemieślników, związkowców z Solidarności, po członków spółdzielni mieszkaniowych. Z drugiej strony obawiam się, że niejednen widział w samorządzie więcej prywaty niż publicznej służby. Mówiło się, że wychodzimy z komuny suchą stopą, ale to nie do końca prawda. Jak widać, nadal z niej wychodzimy.

Sukcesy czy obowiązki

Przyznaję, że sam nie miałem za bardzo pomysłu, co proponować w mieście, ale może nie trzeba było wiele wymyślać. Czasem najprostsze sprawy są najważniejsze. Nie pamiętam spektakularnych spraw, może dlatego, że nie byłem autorem tych pomysłów.

Prywatyzacja mieszkań? Miałem trochę wątpliwości, dlaczego ktoś, kto mieszkał w mieszkaniu komunalnym, niekoniecznie o nie dbał, nagle może je wykupić za grosze. Nie toczyłem jednak bojów, bo skupiałem się ogólnie na budżecie. Chciałem, żeby mieszkańcy zrozumieli, jak on działa, nawet tłumaczyłem to w naszej gazetce, ale nie wiem, czy to odniosło jakiś skutek.

Mieliśmy słabości takie jak ratusz, który wymagał remontu – nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić, on nas straszył, w końcu oddaliśmy go bankowi. Obwodnica południowa była melodią przyszłości. Duże pieniądze poszły na remont pałacu ślubów. Miałem wątpliwości, czy tak powinno być.

Teoretyczna ocena

Pracowałem w komisjach budżetowej i rewizyjnej. Trochę śmieszyła mnie jedna rzecz. W statucie znalazł się zapis, że komisja rewizyjna udziela zarządowi absolutorium. Chciałem zmienić go na taki: komisja rewizyjna podejmuje decyzję w sprawie udzielenia zarządowi absolutorium. To się spotkało ze sporym oporem, a dla mnie to byłby zapis, który daje komisji wolność, ona może, ale nie musi, udzielić ab-

solutorium. Co by było, gdyby komisja go nie udzieliła? Nic, może jedynie miałoby to wydźwięk propagandowy. Jednak w statucie zostało, że udziela.

Brakowało mi argumentacji, zarząd może miał jakąś wizję, ale nie uzasadniał jej, nie obudowywał informacją. Nie mogę powiedzieć, że działał amatorsko, ale kiedy miałem głosować za czymś, to chciałem wiedzieć dokładnie, dlaczego tak a nie inaczej.

Niedoskonały plan

Kolejna rzecz, z której nie jestem do końca zadowolony, to plan zagospodarowania przestrzennego. Zdaję sobie sprawę, że przygotowanie takiego dokumentu jest bardzo trudne, że trzeba mieć wizję, żeby zrobić dobry plan. Byłem sceptycznie do niego nastawiony. Wystarczy popatrzeć, ile pięknych miast powstało bez takich planów. Wystarczy, że na bieżąco będzie się pilnować, żeby nie zaburzać charakteru zabudowy, właściwie traktować przestrzeń i troszczyć się o miasto, a nie tylko o interes tego, kto chce wybudować i decydenta. Mamy w Lubinie przykłady, że plan nie na wiele się zdał. W samym centrum, na rogu ulic Niepodległości i Skłodowskiej stoją budki, które są kpiną z planu zagospodarowania przestrzennego.

Pochwała też była

W ogóle mam krytyczne nastawienie do rzeczywistości. Uważałem, że nie należy wszystkiego rewolucyjnie zmieniać, ale stopniowo. Pamiętam taki przykład: na terenie parku na górze, gdzie się krzyżują ulice Hutnicza i Kaczyńskiego, wtedy stała jakaś obskurna buda, a w niej działała firma. Ktoś tam pracował. Uważałem, że nie należy tego burzyć, że to samo z czasem zniknie, bo albo się firma rozpadnie, albo rozwinie i zbuduje nowy zakład. Zarząd zdecydował jednak inaczej i zarządził rozbiorę budy oraz nasadzenia. I znów moje wątpliwości – drzewa, które powinno się sadzić wiosną, posadzono jesienią, bo akurat mieliśmy pieniądze i trzeba było je wydać. Pamiętam, że kiedy powiedziałem, że zarządowi się udało, że te drzewa jednak nie przepadły, tylko się przyjęły i rosną, to na sali dało się słyszeć oddech i radość, że ja, taki krytyczny osobnik, coś pochwaliłem.

Z uczuciem niedosytu

Niektórzy, myślę, trochę się bawili samorządem. Wydaje mi się, że mogliśmy więcej osiągnąć, ale może za dużo było rzeczy nowych, samorządowych... Mówiło się, że to najlepsza reforma. Nie zgadzam się z tym. Uregulowania finansowe, ramy, w jakich gmina może działać, były albo zupełnie mgliste, albo żadne. W ustawie samorządowej nie wpisano żadnych hamulców na zapędy zarządzających, więc jeśli ktoś miał tupet, to mógł sobie na przykład nakręcić wysokie wynagrodzenie. Rada mu je uchwaliła i już, po sprawie. Tak nie powinno być.

Zraziłem się tym, że z ludzi powychodziło trochę prywaty, że samorząd nie był dla nich do końca służbą, szukaniem pomysłów, że trochę działaliśmy po omacku. Nie chodziło przecież o totalną rewolucję, bo też trudno zmieniać wszystko, miasto musi mieć ciągłość. I miało. Wszystko w nim działało jak należy. To, co mówię, brzmi krytycznie, ale według mnie nie był to zmarnowany czas. Oceniam go na trzy plus.

Nie kandydowałem na kolejną kadencję, bo byłem zdegustowany, że powychodziło z nas niekoniecznie to, co najlepsze. Na początku był taki rodzaj aury, pogody do zmian i na tej fali chciałem działać, a potem się rozczarowałem. Dobrze wspominam inny koloryt tamtej rady, pamiętam spotkania opłatkowe. Cenię urzędników, z których pomocy nieraz korzystaliśmy, niektórzy z nich pracowali w urzędzie od dawna i byli świetni.

Po latach można powiedzieć, że nasz prezydent robi dużo dobrych rzeczy, chociaż słyszałem, że mamy też spore kredyty, a kredyt to nigdy nic miłego. Widać jednak, jak bardzo miasto się zmieniło. Za komuny wszystko wyglądało siermiężnie, a teraz Lubin wygląda zupełnie inaczej, lepiej. Zaskoczyło mnie na przykład, że można było wybudować tyle dróg rowerowych.

Przed pięciu laty, gdy były obchody 25-lecia samorządu, wykręciłem się od odznaczeń. Byłem radnym, ale nie uważam, że zrobiłem coś, co zasługuje na odznaczenia. Uważam, że mogliśmy zrobić więcej.



Zbigniew Szpich

Czas wielkiego uniesienia

Pierwsza kadencja samorządu to był bardzo ważny fragment mojego życia. Rok 1990 to początek mojej kariery zawodowej i działalności w radzie miasta. Od trzydziestu lat koncentruję się na tym, żeby być dobrym lekarzem, cały czas pracuję w tej samej firmie. Tylko raz, na początku lat 90., poświęcałem uwagę czemuś innemu niż medycyna, ale to był szczególny moment. Nie jestem politologiem, więc powiem, że dla mnie to była przemiana z państwa komunistycznego w państwo, w którym można było swobodnie oddychać.

Pierwsze lata 90. to był oddech i poczucie, że przyjdzie w końcu szeroko pojęta wolność. I chyba także sprawiedliwość. Wszyscy pragniemy wolności, sprawiedliwości, równości. Liczyliśmy też oczywiście na poprawę sytuacji ekonomicznej. Każdy w kraju miał nadzieję, że jeśli będziemy wolni i będziemy więcej pracować, a pracowaliśmy ciężko, to wreszcie będziemy więcej zarabiać, mieć i będzie się żyło lepiej. To był naprawdę okres wielkiego uniesienia społecznego. W tamtym czasie nie spotykałem ludzi, którzy byliby przygnębieni ani malkontentów, którzy by twierdzili, że coś się znowu nie uda. Nie! Wtedy wszyscy wierzyli, że wszystko się uda. Mnie też się te nastroje udzieliły i dlatego wziąłem udział w wyborach.

Charyzma i nieszablonowe myślenie

Miałem tę szansę wówczas spotkać pana Roberta Raczyńskiego, wtedy młodego człowieka, który zaimponował mi swoim zaangażowaniem i charyzmą działania. Na spotkaniach komitetu obywatelskiego zaskoczył mnie zupełnie odrębnym w stosunku do mojego sposobem myślenia.

Byłem człowiekiem typu „medycyna i reszta świata”. Poza pracą świata nie widziałem, nic innego mnie praktycznie nie interesowało. Do tamtego momentu. Zresztą nadal tak jest. Chodziłem na spotkania z Robertem Raczyńskim, które się odbywały u salezjanów. Mam ogromny szacunek dla tego człowieka za jego działalność i pracę. Od niego dostałem propozycję, żeby wziąć udział w wyborach samorządowych, on umieścił mnie na liście.

Ramię w ramię

Gdy kształtowały się komisje samorządowe, zapisałem się oczywiście z racji zawodu i mojej pasji do komisji zdrowia i w niej działałem. Tylko na ten temat mogę się profesjonalnie wypowiadać. W dalszych latach byłem także krótko członkiem komisji rewizyjnej.

W tamtych czasach nie trzeba było być wielkim znawcą samorządu, nikt nie wiedział, jak przeprowadzić kampanię, jakie przygotować plakaty, spoty, bilbordy itd. Teraz to jest ważne, wtedy wystarczyło tylko chcieć wziąć udział. Pierwszy i jedyny raz byłem radnym. Nigdy o to nie zabiegałem. Potem gdy dostawałem propozycję, by startować, godziłem się, ale z takim nastawieniem, że jeśli wejdę to dobrze, jeśli nie to też nic się nie stanie. Nigdy nie należałem do żadnej partii czy innej organizacji, jedynie w dzieciństwie do harcerstwa. Jednak w roku 1990 byłem tak entuzjastycznie nastawiony do działania, tak bardzo chciałem coś zrobić, że zdobyłem się na zapisanie się do komitetu obywatelskiego.

W mojej klatce mieszkał radny z opcji postpezetpeerowskiej, jednak gdy mieliśmy coś zrobić dla mieszkańców osiedla czy miasta, działaliśmy razem bez oglądania się na nasze poglądy. Jeżeli trzeba było walczyć o naprawę chodnika, szkołę czy przedszkole, to popierałem jego pomysły, a on moje. Nie było między nami niechęci z powodu reprezentowania innych opcji. To nie miało większego znaczenia. Liczył się wspólny cel. Tak to odczuwałem, że chcemy coś zrobić i zerwać z podziałem na ludzi naszych i nie naszych, dobrych i złych, na tych, którym mamy profity i na tych, którym nie mamy.

Zdrowie i honorowe obywatelstwo

Jest jedna sprawa, którą wymyśliłem i zrealizowałem w tamtej radzie. Chodzi o przyznanie pani prof. Danucie Kabacińskiej-Knapik honorowego obywatelstwa miasta Lubina. Pani profesor bardzo długo przyjeżdżała do Lubina na konsultacje medyczne raz w tygodniu. Zaczęła tu przyjeżdżać, jeszcze nie będąc profesorem i nie przestała przyjeżdżać nawet, gdy już przeszła na emeryturę. Była akademickim nauczycielem wielu pokoleń lubińskiej kadry medycznej. Przez wiele lat pracowała dla społeczności lubińskiej, uratowała wiele istnień ludzkich przed przedwczesną śmiercią. Rada miasta Lubina to obywatelstwo przyznała pani prof. dr hab. Danucie Kabacińskiej-Knapik. W innych projektach byłem jednym z wielu współautorów, angażowałem się, radziłem się mądrzejszych ode mnie, fachowców w danych dziedzinach, zanim głosowałem.

Krótką kołdra, czyja drabina

Wszyscy uczyliśmy się samorządu, większość z nas to byli nowi ludzie. Największym problemem wtedy tak jak dziś były pieniądze. Żeby realizować inwestycje, potrzebne są finanse. Jestem pełen szacunku dla wszystkich moich kolegów z rady i dla wszystkich obecnych radnych, którzy – jestem o tym przekonany – tak jak my trzydzieści lat temu mają dobrą wolę robienia dobrych rzeczy dla miasta i dla społeczności lubińskiej. Natomiast kiedy kołdra jest krótka, zaczyna się przepychanka i dyskusje o tym, co jest priorytetem, co jest ważniejsze i wtedy budzą się emocje, burzy się krew. To wynika często z tego, że pomysły przekraczają możliwości finansowe. Tak było w pierwszej kadencji i we wszystkich kolejnych zapewne. Pamiętam na przykład problem zakupu drabiny dla straży pożarnej i rozważania, czy straż jest miejska, czy państwowa, kto ma obowiązek kupować jej sprzęt. Jeśli wspomnianą drabinę kupi miasto, to czyja ona będzie – miejska czy państwowa itp. A przecież gdy się pali na piątym piętrze, to mieszkańcy bloku jest wszystko jedno, czyja jest drabina, której użyją strażacy. Ważne, żeby do niego dotarli na czas i go uratowali.

Obecnie cały mój świat to medycyna, samorząd obserwuję z daleka. Chciałbym, by zarówno samorządowcy, jak

wszyscy mieszkańcy działali w kierunku szeroko pojętego dobra. Życzę tego obecnym i następnym radnym, bo ich dobre pomysły to satysfakcja moja i każdego innego mieszkańca Lubina.



Zbigniew Szykulski

1940–1994

Zainteresowany człowiekiem

Radny pierwszej kadencji Rady Miejskiej w Lubinie, pracował w komisji gospodarki komunalnej. Społecznik, zainteresowany codziennymi sprawami ludzi.

Ekonomista, pracował m.in. w bankowości oraz w Zakładzie Transportu w KGHM. Był ławnikiem w Sądzie Rejonowym w Lubinie.

Gdy ogłoszono pierwsze wybory samorządowe, wystartował jako kandydat niezależny i wszedł do rady jako jedyny z Listy z Woli Mieszkańców. Jak wspomina jego córka, wcześniej odwiedzał lubinian w domach, rozmawiał, przedstawiał swój program wyborcom.

– Tato miał niezwykłą łatwość nawiązywania kontaktów, swobodę rozmawiania z każdym człowiekiem. To powodowało, że ludzie go rozpoznawali, lubili. Kłaniał się napotkanym, od małej 3-letniej dziewczynki z sąsiedztwa po seniorów – opowiada Aldona Szykulska. – Był zainteresowany człowiekiem.

Temperamentny, energiczny, angażował się w wiele spraw społecznych. Jedną z nich była budowa sali gimnastycznej przy drugim liceum ogólnokształcącym. W pamiętkowym wydawnictwie przygotowanym z okazji 10-lecia

szkoły napisano, że Zbigniew Szykulski dużo czasu i pracy włożył, współdziałając z fundacją rozbudowy tej placówki oświatowej. Szkolna społeczność nazwała go „nieodżałowanej pamięci rzecznikiem interesów II LO wszędzie tam, gdzie to było możliwe”.

Dusza towarzystwa – grał na akordeonie i organkach, szarmancki tancerz na imprezach towarzyskich. Barwna postać, a jednocześnie człowiek głęboko przeżywający problemy innych ludzi. Pracował w społecznej komisji mieszkaniowej przy urzędzie miasta.

– Pamiętam, jak kiedyś siedział taki zasępiiony. Martwił się, co ma zrobić, bo było 10 osób w tragicznej sytuacji, a tylko jedno mieszkanie. I jak tu podjąć decyzję? Komu je dać? – mówi córka radnego. Przypomina sobie też sprawę przystanku autobusów koło przejścia podziemnego, którą się zajmował. Do znajdujących się w pobliżu: ośrodka zdrowia, szkoły, żłobka i przedszkola codziennie potrzebowało się dostać wiele osób, a wtedy mało kto miał własny samochód. – Taki niby drobiazg, ale dla ludzi bardzo ważny. Starania trwały długo, ale w końcu Tacie się udało zrealizować tę sprawę i zrobiono przystanek, który był mieszkańcom tak potrzebny – wspomina.

Na fali przemian po roku 1989 lubinian, jak niemal wszystkich Polaków, ogarnął wielki entuzjazm, wiara, że razem można zmieniać rzeczywistość. Cenili sobie wolność, niezależność, dobro, uczciwość, interesowali się tym, co wspólne, co się dzieje dookoła. Zbigniewa Szykulskiego też przepętniła tamta niesamowita energia. – Wierzył, że wreszcie można będzie rozwiązać różne sprawy i że działanie oddolne jest bardzo istotne – dodaje Aldona Szykulska. – Chciał zrobić jak najwięcej dla miasta i dla ludzi, których problemami stale się interesował i był pochłonięty ich rozwiązywaniem.

Mocno się angażował w działalność samorządową, a przy tym bardzo przeżywał zmagania z trudnymi realiami początku lat 90. Pod koniec kadencji podczas jednej z emocjonujących dyskusji na sesji zasnął, a kilka dni później zmarł. W nekrologu zamieszczonym w *Biuletynie Lubińskim* jego koledzy z rady napisali, że dla wielu z nich był wzorem konsekwentnego, przemyślanego i mimo trudności skutecznego działania. Wspomnieli jego pogodne

i przyjazne ludziom wizje przyszłości miasta, a także niewiarygodne zaangażowanie, wypracowane zdanie na każdy temat i duże poczucie odpowiedzialności.



Władysław Trent

W 1990 roku zaczęliśmy budować nowe

Jeszcze zanim trafiłem do Lubina, gdzie spędziłem 18 lat, mieszkałem we Wrocławiu na Karlowicach. Na tym osiedlu żyło mnóstwo ludzi związanych ze służbami, także ze służbą bezpieczeństwa. W SB pracował ojciec jednego z moich kolegów. Gdy zdaliśmy na studia w 1969 roku, on tak nam powiedział: „Chłopcy, to się musi wszystko kiedyś zawalić. Musi, pytanie tylko: kiedy”.

Dwadzieścia lat później rzeczywiście komunizm się zawalił i zaczęliśmy budować nowe. W 1990 roku atmosfera była bardzo dobra, mieliśmy ogromny zapał do tej roboty. Zmienił się ustrój i zmienił się nastrój. Wcześniej grobowy, z jeżdżącą po ulicach milicją. W Lubinie w czasie stanu wojennego i po tragicznych wydarzeniach z sierpnia 1982 roku było strasznie. Gdy więc przyszła inna władza, wszystkim na nowo zaczęło się żyć i pracować.

Byliśmy zgodni

Początek lat 90. to bardzo fajny czas, czas zwycięstwa po tragicznych historiach, które miały miejsce w Lubinie, po strzelaninie. Jako komitet obywatelski zdobyliśmy w wyborach miążdzącą większość mandatów, na prezydenta wybraliśmy Raczyńskiego i wszystko zaczęło się kręcić. Wszyscy

byliśmy zgodni – i ci z prawa, i ci z lewa, że trzeba się rozprawić z przeszłością i jednocześnie tworzyć przyszłość, by spokojnie żyć. Ludzie oczekiwali zmian od razu, ale miasto w trakcie przemian musiało normalnie funkcjonować, autobusy musiały jeździć, szkoły, sklepy, firmy i służba zdrowia musiały działać bez przerwy. Na wszystko brakowało pieniędzy, zresztą w służbie zdrowia nadal brakuje, więc w szpitalach wtedy za wiele od razu się nie zmieniło. Rozwój następował dopiero potem stopniowo. W radzie czuło się entuzjazm i zapał do roboty, mimo że na wszystko brakowało pieniędzy. Działałem w komisji zdrowia, niestety, nie za wiele mogliśmy zrobić przy takim stanie finansów miasta, jaki był na początku kadencji.

Pamiętam, że w radzie fajnie nam się pracowało, z tym że ja byłem radnym krótko. W 1993 roku wyprowadziłem się do Zgorzelca, gdzie zostałem ordynatorem oddziału i dlatego musiałem złożyć mandat. Nie mogłem mieszkać i pracować w Zgorzelcu, a radzić w Lubinie. Z mojej bardzo krótkiej działalności w samorządzie lubińskim mam same pozytywne wspomnienia. Do tamtej rady dostało się mnóstwo kolegów lekarzy. Działaliśmy zgodnie, atmosfera na sesjach i w komisjach była sympatyczna. Nie dochodziło między nami do wielkich sporów, wszyscy mieli świadomość nowego, które stało się nagle i w którym trzeba się odnaleźć i wspólnie budować. Cieszyliśmy się, że wreszcie komitet miejski partii nie decydował o ludziach i przestał się do czegokolwiek wtrącać.

Ile na to potrzeba?

Skupialiśmy się na organizowaniu życia na nowo, chociaż trzeba przyznać, że łatwo nie było, bo większość z nas debiutowała w roli radnego i musieliśmy się wszystkiego uczyć. W czasach przedrewolucyjnych w radach zasiadała grupa działaczy partyjnych, a zwykli ludzie nie interesowali się władzą w mieście. Gdy już zaczęliśmy się interesować, jak działa samorząd, gdy sami zaczęliśmy w nim działać, to się okazało, że podstawowe pytanie brzmi: ile na to, co miasto musi robić, potrzeba pieniędzy i skąd je wziąć. Na początku przychodził ktoś z województwa – wtedy jeszcze legnickiego – i mówił, że na to jest tyle, na to tyle, trzeba zrobić to i to, ale w zasadzie to nic nie ma i mimo to trzeba działać. Dopiero

potem miasto miało swój budżet, ale ja już wtedy nie byłem radnym.

Wiem, że z czasem, jak zwykle w Polsce, w Lubinie też zaczęły się tworzyć różne podziały na grupy. Jednak miałem to szczęście, że w czasie, gdy zasiadałem w radzie, działaliśmy wszyscy razem.



■ Jarosław Wantuła

Byliśmy wybranymi ludźmi. Dostłownie

Z czym kojarzy mi się pierwsza kadencja samorządu? Z niewinnością polityczną. Wszyscy chyba, ja na pewno, szliśmy do wyborów, nie myśląc w kategoriach korzyści, nie po to, by zarobić, ale by coś zrobić. Każdy, kto szedł do rady w 1990 roku, chciał coś zrobić dla Polski i dla miasta. Panował wielki entuzjazm i radość, że wreszcie skończyła się komuna i że będziemy mogli sami decydować. To też był czas ideałów, nikt nie myślał, że może z tego coś mieć, że coś sobie załatwi. Dietę dostawaliśmy nie od razu i w dodatku małą. Jednak nikomu z nas to nie przeszkadzało, bo jakkolwiek to dziś górnolotnie zabrzmiało, to naprawdę był czas bezinteresownej chęci dania czegoś od siebie. Nie było grup interesów, układów, ale wtedy w samorządach nie było polityki.

Jestem z zawodu inżynierem elektrykiem, pod koniec lat 80. pracowałem w PeBeKa, byłem wtedy sztygarem oddziałowym. Zawsze miałem poglądy antykomunistyczne, więc gdy się tworzył w Lubinie komitet obywatelski, poszedłem na zebranie. A następnie startowałem z jego listy w wyborach. Dzięki temu, że komitet zebrał dużo głosów, dostałem się do rady miejskiej. Komitet był prawdziwie obywatelski, był ruchem, który wynikał z potrzeb, prawdziwą demokracją oddolną.

Wiara w zmianę

Przepełniała nas wiara. Komuna upadła, zmieniły się rządy w państwie, zmienił się samorząd. Wreszcie nie mieliśmy jak dotąd władzy narzuconej przez PZPR, tylko ludzi, których mieszkańcy sami wybrali. Tych, których chcieli i którym wierzyli, że jako nowi radni i nowe zarządy miast mogą zrobić coś nowego i dobrego. Wreszcie samorząd zaczął być tym, co oznacza, czyli samodzielną władzę w gminach. Ta zmiana, że ludzie mogą sami rządzić u siebie, była bardzo pozytywnie odbierana. Nazwa „samorząd” nie kojarzyła się z prywatą, lokalnymi księstwami, gdzie włodarze chcą być samodzielnymi władcami, ale z samodzielnością. Wtedy to ludzie mieli władzę, każdy mógł wejść do samorządu. Oczywiście, łatwo nic nie przychodziło. Z jednej strony nikt nie wiedział, o co chodzi, wszystkiego trzeba się było nauczyć, a z drugiej strony od pierwszego dnia zaczęła się intensywna praca. Tworzyliśmy statut i inne akty prawa miejscowego. Mieliśmy dobre intencje, chodziło nam o dobro miasta. Nawet jeśli czegoś nie wiedzieliśmy, o czym przekonywaliśmy się w trakcie działania, to na bieżąco się uczyliśmy, uzupełnialiśmy wiedzę, zdobywaliśmy niezbędne informacje.

Sukcesy? Mnóstwo

Jednym z najważniejszych osiągnięć tamtej kadencji była komunalizacja mienia samorządowego. Wcześniej gminne przedsiębiorstwa, takie jak Lubińskie Przedsiębiorstwo Komunalne, właściwie nie wiadomo, do kogo należały. Były państwowe, co zazwyczaj ludzie rozumieli jako niczyje. Kiedy grunty, budynki i firmy zostały przekazane samorządowi, dopiero zaczęły zarabiać i normalnie funkcjonować. Byłem przewodniczącym komisji komunalizacji mienia. Pamiętam dokładną datę – 1 kwietnia 1994 roku z LPK powstały nowe spółki: MPWiK, MPO i Mundo. Jedną z większych inwestycji, ogromnie ważnych dla miasta, był nowy cmentarz. Mieliśmy mnóstwo pracy, myślę, że zrealizowaliśmy wszystko, co zamierzaliśmy.

Sukcesem w ogóle było to, że samorząd zaczął działać, że wszystko zaczęło sprawnie funkcjonować, że uchwały, które podejmowaliśmy, mimo że wszyscy byliśmy świeży i uczyliśmy się, miały sens. Byłem też wiceprzewodniczącym komi-

sji rozwoju miasta i pamiętam, że wnikliwie rozpatrywaliśmy różne sprawy związane z rozwojem Lubina, w tym inwestycje. Sesje trwały długo, dlatego te decyzje wypracowywaliśmy w komisjach i na posiedzeniach rady, a każdy chciał coś wnieść od siebie. Po drugie, nie było komputerów, ręczne zapisywanie wymagało więcej czasu. Radni byli niezależni od zarządu miasta, to mieszkańcy ich wybrali, więc nie czuli presji, że jeśli się na coś nie zgodzą, to stracą pracę. Wtedy radni mieli więcej do powiedzenia niż obecnie. Przede wszystkim dlatego że prezydent był wybierany przez radnych, więc w każdej chwili mogli go odwołać. Nic takiego nie nastąpiło, ale istniała taka możliwość.

Z czasem rodziły się frakcje...

W pierwszych latach atmosfera w radzie była dobra. Pod koniec kadencji zaczynały się tworzyć frakcje, grupy interesów. Władza była podzielona – każdy wiceprezydent zajmował się czymś innym. Gromadzili się wokół nich poszczególni radni i zaczynały się podziały, ale dopiero w 1994 roku, gdy zbliżały się kolejne wybory. Wcześniej jeżeli dochodziło do sporów na sesjach, to raczej między radnymi z komitetu obywatelskiego a radnymi wywodzącymi się z PZPR. Bywało, że kto bardziej wygadany, starał się narzucić swoje zdanie innym, ale to normalne, zawsze tak jest. Biorąc pod uwagę, że jak dużym przekrojem poglądów i zawodów wśród radnych mieliśmy do czynienia – od kierowcy, fryzjera, przez inżynierów, nauczycieli, lekarzy po dyrektora PeBeKi, uważam, że to niesamowite, że tak długo dobrze się ze sobą dogadywaliśmy. Zapewne dlatego że – jak już mówiłem – mieliśmy czyste intencje i myśleliśmy o mieście i Polsce, a nie o sobie. Wszyscy, albo prawie wszyscy mieszkańcy mieli zaufanie do rady, przychodzili z przeróżnymi sprawami, głównie mieszkaniowymi. Bycie radnym to był zaszczyt, czuliśmy się dostłownie wybranymi ludźmi, naprawdę wybranymi przez mieszkańców, a nie przez partię.

Startowałem na kolejną kadencję ze stowarzyszenia Teraz Lubin, do którego przejście z komitetu obywatelskiego było naturalne. Zabrakło mi niewiele głosów, by wejść do rady na kolejną kadencję.



Józef Wawrzyniak

Żyliśmy problemami miasta

Kiedy zbliżały się nowe wybory, rok po porażce władzy, o której było głośno w całej Polsce, kiedy na wiece przychodziły tłumy ludzi, my z lewicy też mieliśmy grupę, która czuła nowe i chciała się w nim znaleźć. Mówiono, że będzie demokracja, pluralizm, więc też przygotowaliśmy się do wyborów, aczkolwiek zdawaliśmy sobie sprawę, że zdobycie jakiegokolwiek mandatu w radzie miejskiej przez nas będzie graniczyło z cudem. Niemniej jednak swoją postawą udowodniliśmy, że też chcemy budować nową Polskę, że chcemy, by w naszej małej ojczyźnie wszyscy ludzie byli sprawiedliwie zarządzani. Stworzyliśmy Demokratyczną Listę Obywatelską i zdobyliśmy cztery mandaty. Startowałem z trzeciego miejsca i wygrałem jeden mandat w moim okręgu Ustronie-Polne, bardzo dużym okręgu. Zdeptałem piechotą oba osiedla, żeby zdobyć szacunek wyborców. Pukałem do drzwi i przedstawiałem się ze swoim programem, rozmawiałem z mieszkańcami i myślę, że ten bezpośredni kontakt mi pomógł. Od dawna udzielałem się społecznie. Uważałem zawsze, że jeżeli ktoś chce coś zrobić dla społeczeństwa, to praca mu w tym nie przeszkadza. Wystarczy chcieć, kochać to, co się robi, kochać ludzi przede wszystkim, szanować ich i słuchać.

Mieliśmy na naszej liście możliwość oznaczenia, z jakiej partii jesteśmy. Niektórzy się na to decydowali, niektórzy – nie. Ani wtedy, ani teraz się nie wstydziałem swoich korzeni, dlatego przy moim nazwisku był dopisek „SdRP”. Wśród nas byli lekarze, nauczyciele, górnicy, inżynierowie, ekonomiści, prawnicy. Rozmawialiśmy z mieszkańcami i dzięki temu w Lubinie lewica zdobyła cztery mandaty, gdy w całym wojództwie legnickim było ich może 6 albo 7.

Niemiała uwaga wojewody

Entuzjazm dla nowej Polski był wtedy ogromny. Czuł go każdy, obojętnie z jakiej organizacji się wywodził. Szliśmy do wyborów, żeby przeprowadzić transformację pokojowo, w porozumieniu, próbować podać rękę, służyć radą, znajomością tematu. Zdarzały się niemiłe chwile, na przykład podczas wręczania zaświadczeń o wyborze na radnych na Wzgórzu Zamkowym ówczesny wojewoda pan Andrzej Głapiński powiedział, patrząc na nas: „A co robią ci panowie tutaj? Przecież miało ich nie być?”. Trochę to nas dotknęło. Jednak poza takimi drobnostkami w pierwszej kadencji nie było w Lubinie żadnych incydentów. Wszystko się odbywało tutaj wyjątkowo spokojnie w porównaniu do wydarzeń w kraju. Dodam, że już w trakcie kadencji nasze relacje z wojewodą Głapińskim poprawiły się do tego stopnia, że powołał mnie w skład Rejonowej Rady Zatrudnienia w Lubinie.

Prezydent mógł na nas liczyć

Kiedyś mnie zapytano, co trzeba robić, żeby być dobrym radnym. Odpowiedziałem, że trzeba być skutecznym i po prostu słuchać ludzi. Zdarzały się różne przytyki pod naszym adresem, zwłaszcza gdy przychodziła publiczność na obrady, ale my z lewicy mieliśmy jedną zasadę – popieraliśmy te wszystkie uchwały, które uważaliśmy za dobre dla ludzi. Nie byliśmy opozycją totalną. Dostrzegaliśmy nowe dobre rozwiązania, prezydent mógł liczyć na nasze głosy.

Protestowaliśmy tylko w kilku przypadkach, chyba w pierwszej kadencji po pierwszym roku nie daliśmy wotum zaufania zarządowi. Cały zarząd wtedy podał się do dymisji. Była dwugodzinna przerwa, prezydent Raczyński stwierdził, że nie chce być dalej prezydentem, ale jakoś go przewodniczący Paweł Niewodniczański przekonał. Wrócili na salę. Odbyło się drugie głosowanie. Do odwołania zarządu zabrakło jednego głosu. Był taki incydent, o którym prawie nikt dziś nie pamięta. Czy ktoś się nawrócił w ciągu tych dwóch godzin, nie wiem, ale więcej takich sytuacji do końca kadencji nie było. W głosowaniu nad absolutorium Robert Raczyński otrzymywał od nas głosy wstrzymujące się, weta nie stawialiśmy.

Murem za radnymi z... komitetu obywatelskiego

Bardzo mile wspominam ludzi, zwłaszcza pana Bączkowskiego, pana Pleśniaka, pana Kossowskiego, panią Dąbrowską-Chwastek, panią Palej, panią Hatkę, wiceprzewodniczącą rady.

Był taki incydent zaraz w pierwszej kadencji, w grudniu. Grupa radnych z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” sprzeniewierzyła się przeciwko wiceprzewodniczącemu rady miejskiej Józefowi Pleśniakowi. Chciano go odwołać. Wtedy wystąpiłem w obronie pana Józefa, mimo że należałem do innej opcji. On był bardzo uczciwym człowiekiem. I udało nam się pana Józefa uchronić.

Kiedyś też atakowano na sesji panią Hatkę (wtedy była dyrektorką MOPS-u) i znów to ja ją broniłem przed ludźmi z jej opcji. Znałem jej pracę, chodziłem na wizytacje do placówek MOPS-u i widziałem, jak dobrze nimi zarządzała. To bardzo oddana osoba, zarządzała MOPS-em uczciwie, energicznie, zgodnie z przepisami.

Było też tragiczne wydarzenie, kiedy zmarł pan Szykalski. On zawsze powtarzał, że jest w radzie z woli mieszkańców. Pewnego razu na sesji się zdenerwował i załabł. Kilku lekarzy radnych go ratowało, próbowali go reanimować. Niestety trafił do szpitala nieprzytomny i po kilku dniach zmarł. Na początku drugiej kadencji zmarł pan Klemaszewski. Później odeszli Karol Seweryniak i Zdzisław Jarosz, a w ostatnich latach pani Zosia Sarna.

Budżet na początku nie był taki duży jak dzisiaj, ale było po prostu jakoś tak rodzinnie i ciepło. Czasami żartowaliśmy sobie, organizowaliśmy zawody strzeleckie. Pamiętam, że kiedyś strzeliłem dobry wynik i jeden z radnych zapytał, czy nas też uczono strzelać. Składaliśmy sobie życzenia z okazji imienin, podawaliśmy rękę. Administracja miejska też miło obsługiwała nas radnych, wszystkich bez wyjątku.

Trzeba przyznać, że zawsze ze sobą współpracowaliśmy, darzyliśmy się szacunkiem. Nadal tak jest. Zawsze, kiedy się gdzieś spotykamy, rozmawiamy miło i cieszymy się, że mo-

gliśmy zapoczątkować tyle ważnych spraw w Lubinie. Oczywiście wszystko się w życiu doskonali i zmienia, ale solidne podstawy trwają.

Ogromny zapaf

W radzie miejskiej pracowałem w komisji zdrowia, ekologii i pomocy społecznej, w komisji rozwoju miasta, w komisji komunalnej oraz w kilku nadzwyczajnych komisjach, między innymi ds. odnaczeń, inwentaryzacji i komunalizacji przedsiębiorstw, a także zwalczania problemów alkoholowych. Naprawdę ci ludzie, którzy byli radnymi w pierwszej kadencji, wkładali bardzo dużo pracy. Mocno się angażowali w komisjach, na sesjach, interesowali się sprawami miasta. Z czasem poznaliśmy się bliżej na spotkaniach integracyjnych, wyjazdach, ale przede wszystkim na sesjach. Bardzo dużo rozmawialiśmy, składaliśmy interpelacje, zadawaliśmy pytania naczelnikom wydziałów.

Złożyłem kilka wniosków, między innymi dotyczących świateł na rogu ulic Kościuszki i Skłodowskiej, na Przylesiu, na drodze do Rudnej i do Ścinawy, kładki, parkingów – prostych spraw potrzebnych do życia, potrzebnych mieszkańcom. Parkingi robiliśmy, gdzie tylko można. I sygnalizacje świetlne. Trzeba było nieraz czekać na zgody decydentów dróg, ale generalnie udawało nam się ustawiać je wszędzie tam, gdzie poprawiały bezpieczeństwo. Oglądaliśmy inwestycje, wizytowaliśmy żłobki, przedszkola, zakłady. Żyliśmy problemami miasta, służby zdrowia, budową cmentarza. Komisja zdrowia decydowała, jak wydać 5 procent z puli pieniędzy przeznaczonych na służbę zdrowia, więc mogła dotować kupno sprzętu, ale trzeba było rozemnać, komu go kupić.

Posiedzenia komisji mieliśmy dwa-trzy razy w tygodniu, chcieliśmy zgłębić każdy temat, zobaczyć, zapytać, poznać materiały. Na to trzeba było poświęcać czas. Nikt z nas go nie żałował.

Mimo że warunki były trudne, pieniędzy brakowało, ale był entuzjazm, chęć zmiany, polepszenia życia, rozwiązania problemów i wykazania się swoją wiedzą, fachowością, rozważnością dla ludzi. Każdy, obojętnie skąd był, próbował zrobić coś dobrego...

Pamiętam radnego Korczowskiego, który był szeregowym pracownikiem w spółdzielni handlowej przy dawnym Domu Towarowym. On jeździł wszędzie, gdzie trzeba było, interesował się każdą sprawą. Radny Kossowski używał swojego domu na spotkania komisji roboczej. Postawił kawę czy herbatkę i rozmawialiśmy. Nieraz żartowaliśmy, przypinaliśmy sobie jakąś łatkę, ale na tym się kończyło.

W kontakcie z ludźmi

Pierwsza i jeszcze druga to były kadencje, w których radni byli prawdziwymi radnymi związanymi z mieszkańcami. Nawet jeśli oni nas krytykowali, to zawsze z nimi rozmawialiśmy. Zdarzały się protesty, gdy na przykład tworzone spółki na bazie komunalnych zakładów. Zarzucano nam, że oddaliśmy ratusz w dzierżawę na 10 lat, ale miasto nie miało pieniędzy, a o budynek zabytkowy trzeba było zadbać. Na szczęście ratusz powrócił do miasta. Trochę było sporu z dyrektorem II Liceum panem Toczkiem o halę sportową, w końcu jednak udało nam się jakoś ją przeforsować z oporami i powstała.

Radni pierwszej kadencji to byli normalni ludzie, którzy chcieli w tym czasie podjąć się trudnego i odpowiedzialnego zadania w obliczu krytyki i niezadowolenia.

Trudne, ale możliwe

Dzisiaj są środki unijne i więcej pieniędzy z podatków, a wtedy mieliśmy 10 procent budżetu na inwestycje i musieliśmy ustalać, co zrobimy w pierwszej kadencji, a co w następnych. Prezydent jeżeli miał jakiś pomysł, to musiał do niego przekonać radnych. Komisje tak długo wałkowały temat, aż były przekonane. Zwykle zarząd był dobrze przygotowany, wiceprezydenci pan Szczotka i pan Maćkała, a także inni członkowie zarządu byli fachowcami, podobnie naczelnicy wydziałów, więc mógł z nimi realizować zadania nawet w trudnym okresie, kiedy brakowało środków. Pan prezydent jako młody człowiek był odważny, za co go podziwiam.

W pierwszej kadencji uporządkowaliśmy miasto pod względem prawnym, zinwentaryzowaliśmy majątek. Przygo-

towaliśmy Lubin do zadań własnych samorządu. Wykraczaliśmy też poza te ramy, na przykład sprzedając mieszkania komunalne za obligacje.

Sukcesy i porażki

Sukcesem było – jak już wspominałem – uporządkowanie miasta pod względem inwentaryzacji zasobów komunalnych. To jest bardzo ważna rzecz. Przygotowaliśmy komunalizację i powołaliśmy pierwsze spółki miejskie. Uporządkowaliśmy też Lubin pod względem formalnym, wtedy powstał statut miasta, określiliśmy zakres prac komisji, ich rolę i zadania. Ustanowiliśmy herb miasta, flagę i wszystkie rzeczy związane z funkcjonowaniem samorządu, który zaczynał od nowa, w nowych warunkach. Dokończyliśmy cmentarz, on został uruchomiony pod koniec naszej kadencji. I nadal służy – rzecz smutna, ale niezbędna dla miasta. Komunalizacja zasobów mieszkaniowych, którą zrobiono w tamtej kadencji, to jest kolejny sukces. Dotowaliśmy też od pierwszej kadencji sprzęt medyczny. MOPS pełnił bardzo ważną rolę. Społeczeństwo nie było za bogate jak zawsze i widzieliśmy wielką potrzebę pomocy. Uporządkowaliśmy też zatoki parkingowe i parkingi. W mieście ciągle brakowało i do dzisiaj brakuje miejsc postojowych. Rozpoczęliśmy też wtedy remont Domu Kultury Zagłębia Miedziowego, czyli obecnego Centrum Kultury „Muza”.

Wtedy było budowanie solidnych podstaw dla następców. Dziś miasto stoi, jest piękne. Zawsze mówię, że my mamy miasto europejskie. Jest tak w dużej mierze dzięki tamtym naszym działaniom.

Czyn społeczny

Muszę się pochwalić. Bardzo się denerwowałem budową chodnika na ulicy Tuwima (mieszkałem vis-à-vis Szkoły Podstawowej nr 14). Brakowało tam 200-300 metrów chodnika. Wreszcie powiedziałem do pana Kielana, wtedy naczelnika infrastruktury: „Proszę przywieźć materiały, ja skrzyknę mieszkańców i zrobimy ten chodnik”. I faktycznie poszliśmy na kompromis: on dostarczył materiały (żwir, chodniki, trylinkę), a myśmy to ułożyli.

Zebrania w spółdzielni

W pierwszej kadencji dokończyliśmy „Czternastkę”. Trzeba było ją oddać jak najszybciej, bo dzieci na osiedlu mieszkało mnóstwo i nie miały gdzie się uczyć. Pamiętam, że angażowałem w tę sprawę Edzia Zaczynskiego, on wtedy był u nas radnym i przewodniczącym sejmiku. Angażowałem też nieżyjącą już panią Alicję Kopestyńską, kurator oświaty. Zapraszaliśmy ją, rodziców i robiliśmy debatę. Pod koniec kadencji budowaliśmy też „Czwórkę”. Raczyński uruchomił tę inwestycję trochę jako propagandowy chwyt, przez co drożej kosztowała, bo przecież można było dwie szkoły razem realizować, ale zostawmy to... Najpierw skończyliśmy „Czternastkę”. Pamiętam, jak do spółdzielni, w której byłem prezesem, przychodzili do biura na kawę pan Bączkowski – członek zarządu miasta, pan Raczyński, pan Pleśniak. Wizytowali szkołę i przy okazji mnie. Jeśli nie mieli gdzie się spotkać, to się spotykali w moim biurze na Kamiennej. Ta inwestycja rosła na naszych oczach.

Bezpieczeństwo w każdym względzie

Dbaliśmy o sprawy lokalizacji sklepów alkoholowych, żeby one zgodnie z ustawą nie były zbyt blisko instytucji. Dawaliśmy właściwie tak pozwolenia, żeby nie było nadużycia. Przyznawaliśmy koncesje na alkohol. Pracowaliśmy z klubami AA, żeby leczyć ludzi chorych i szukać rozwiązań.

Rzeczywiście spraw było tak dużo, że człowiek żył radą non stop, przez 24 godziny. Wtedy do radnego można było zadzwonić do domu o każdej porze i się nie obrażał. I do mnie ludzie dzwonili. Nadal jestem dostępny dla ludzi, teraz raczej na portalach społecznościowych, ale jestem. Wówczas często służyłem radą. Na przykład był konflikt o to, gdzie postawić boks śmietnikowy, bo wszystkim przeszkadzał. Należało zadbać o mieszkańców, wynegocjować, gdzie go postawić, bo przecież gdzieś śmieci trzeba wyrzucać.

Wtedy też przygotowaliśmy do nowej roli składowisko. Pamiętam, że Chojnacki był prezesem i z innymi radnymi jeździliśmy tam często oglądać, jak ono się rozwija. Modernizowaliśmy i robiliśmy nowe ujęcia wody. Rozbudowaliśmy

i zmodernizowaliśmy oczyszczalnię ścieków. To niby niewiele, a tak naprawdę bardzo dużo.

Wtedy zaczęły się pojawiać wielkie markety. Ludzie się oburzały, że są zwolnieni z podatków bez żadnych warunków. Nieprawda, warunki też były. Wiem, bo te decyzje przechodziły przez radę miejską. Jednym się to podobało, drugim nie. Widzieliśmy związane z takim handlem zalety, jak miejsca pracy dla ludzi. Ale wiedzieliśmy też, że nie ma idealnego rozwiązania i staraliśmy się umiejętnie rozmieszczać te obiekty, żeby one za bardzo nie szkodziły i nie zniszczyły możliwości zarobkowania drobnym przedsiębiorcom.

Generalnie uważam, że zrobiliśmy bardzo dużo jak na tamten czas i na tamte warunki, bez środków unijnych. Działaliśmy konsekwentnie, uczciwie i z sercem. Cieszyliśmy się tym, co robimy. Czy dzisiaj tak jest? Do końca nie jestem przekonany.



Henryk Wojtuściszyn

Zielona gwardia z wielkim zapałem

Pierwsza kadencja rady miejskiej była pełna entuzjazmu, nie zawsze pełna kompetencji. Tak można powiedzieć z perspektywy czasu. Wybory odbyły się na fali ówczesnych wydarzeń w kraju. Startowałem z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Mieliśmy w pierwszej radzie zdecydowaną przewagę. Koledzy z lewicy – było ich czterech czy pięciu – stanowili dodatek, który co najwyżej ubarwiał sesje. Niestety, demokracja nie pozwalała im na skuteczniejsze działania. Czy tak powinno być, to już jest inna sprawa.

Rozpierała nas chęć działania na rzecz społeczności lokalnej. Samorząd nie był wtedy upolityczniony w takim stopniu, jak to się teraz dzieje, zarówno jeśli chodzi o barwy polityczne poszczególnych radnych, jak i o relacje pomiędzy zarzą-

dem gminy czy prezydentem a radą. To był autentycznie samorząd, lepszy lub gorszy, ale w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Wspominam tamtą kadencję dobrze, choćby z tego powodu, że po raz pierwszy zostałem radnym jako jeszcze młody człowiek, pełen zapału i poczucia, że będę zmieniał świat. Później w praniu wychodziło to różnie, życie weryfikowało moje ówczesne przekonania. Myślę, że taki trend dominował – nawet jeżeli brakowało nam wiedzy merytorycznej, bo niestety większość z nas nie miała doświadczenia, nie ma się co oszukiwać – chcieliśmy zrobić jak najwięcej. Poza radnymi z lewicy, jak panowie Henryk Bober czy Józef Wawrzyniak i jeszcze dwoma czy trzema osobami, zdecydowana większość debiutowała w roli radnego. Jeżeli chodzi o zakres wiedzy samorządowej, to nasza nowa gwardia była po prostu zielona, mówiąc najogólniej.

Najbardziej lekarska rada

Charakterystyczna dla kadencji 1990–1994 była duża grupa lekarzy. W późniejszych kadencjach już nigdy się to nie powtórzyło. Stało się tak za sprawą doktora Czesława Klemaszewskiego, on miał ogromne zasługi dla samorządu lubińskiego. Lekarze wtedy nie palili się do pracy w radzie miejskiej, zwłaszcza że mieli mnóstwo zajęć na gruncie zawodowym. Kolega Klemaszewski jednak był dobrym psychologiem i potrafił nas zmotywować. I dobrze, zmiany zachodziły wówczas także w lokalnej służbie zdrowia, więc nasze spojrzenie jako najlepiej znającej ten obszar grupy zawodowej miało niemałe znaczenie. Tym bardziej że wtedy jeszcze miasto i gmina miały duży wpływ na lokalną sieć placówek służby zdrowia, na szpitale i przychodnie.

Bez pomnika

Na pewno nie uniknęliśmy błędów, jednak nasze działania, nastawione na gospodarowanie i zarządzanie miastem czy gminą, wychodziło nam całkiem dobrze. Spieraliśmy się o różne rzeczy, ale wszystko się obracało wokół jak najlepszego rządzenia naszą małą ojczyzną. Później pojawiły się podziały polityczne, interesy pewnych ugrupowań, które się

kształtowały w samorządzie, ale w pierwszej kadencji takich spraw nie było. Może dlatego, że mieliśmy ogromną przewagę – 35 do 5 i tworzyliśmy jedną grupę wywodzącą się z jednego korzenia. Co nie oznacza, że mówimy o jednorodnym gremium, przeciwnie – o dużym zróżnicowaniu, co zresztą pokazały późniejsze czasy.

Sukcesy? Stricte pomnikowych osiągnięć nie zanotowaliśmy. Na pewno do sukcesów należy zaliczyć sam fakt, że ukształtowaliśmy samorząd, że nauczyliśmy się zarządzania. Wyraźnie było widać, że nasze działania pod koniec kadencji stały się zdecydowanie bardziej merytoryczne we wszystkich aspektach życia lokalnego. Kolejna kwestia: ówczesny samorząd współpracował, czy też miał lepsze niż w późniejszych okresach relacje z kombinatem. Nie stawiałbym pomnikowych ocen. Czas też troszkę zamazał obraz, więc trudno mi wymienić jedno konkretne zadanie. Jednak był to przede wszystkim czas nauki i budowania podstaw, tworzenia fundamentów pod następne kadencje samorządu.

Przemiana, a nie stworzenie świata

Potem nasza grupa mocno się weryfikowała przy następnych wyborach i to pod różnymi względami. Jednak myślę, że zdążyliśmy wypracować strukturę, ramy i zasady działania urzędu miasta, poszczególnych wydziałów i jednostek. I to, że w późniejszych kadencjach one sprawnie działały, to jest nasza zasługa. Nie można też myśleć, że wcześniej nic nie było. Czasami wyobrażamy sobie 1990 rok jako stworzenie świata, a przecież wcześniej też w jakiś sposób istniał samorząd, wiadomo, że przed rokiem 1989 upolityczniony i ze znacznie mniejszym zaangażowaniem ludzi. Dla nas to był przeskok, przede wszystkim dlatego że mieliśmy świadomość, że zostaliśmy wybrani przez ludzi. Tkwilo w nas przeświadczenie, że mamy w swoich działaniach reprezentować przede wszystkim interesy swoich wyborców. Czasem to nawet prowadziło do lokalnych konfliktów, w zależności kto z jakiego osiedla pochodził i jaki rejon reprezentował, ale przecież właśnie od tego jest samorząd między innymi. Po to wyborcy wybierają swoich przedstawicieli do rady miasta, żeby reprezentowali ich region. Ordynacja była tak skonstruowana, że podziały na okręgi rysowały się dość wyraźne. Lubin nie jest duży, ale już wtedy istniały pewne rozbieżności między poszczegól-

nymi obszarami miasta, jednak udawało nam się je godzić. Współpraca pomiędzy samorządem a lokalnymi strukturami typu spółdzielnie mieszkaniowe bądź ogródki działkowe czy stowarzyszenia układała się zdecydowanie lepiej.

Większość decyduje

Zarząd miasta z prezydentem Raczyńskim, który też się wtedy uczył i nieco później z wiceprezydentem Maćkałą (oni wtedy przecież ze sobą współpracowali), rządził w miarę sprawnie. Dobrze też współpracował z radą miejską i kombinatem. Energia i entuzjazm były ogromne, chociaż warunki niełatwe. Między innymi z powodu zmieniających się non stop przepisów, mówiło się o prawie powielaczowym – z dnia na dzień trzeba było dostosowywać się do wydawanych rozporządzeń ministrów. Problem tkwił między innymi w tym, że nie było wielu prawników w zarządzie i radzie, poza panem Maćkałą i panem Raczyńskim, który też miał dużą wiedzę w tym zakresie. Było ciekawie, różnokolorowo, nie powiem jednak, że gładko. Koledzy z lewicy zawsze usiłowali zaznaczyć swoje zdanie. Niestety, nie zawsze ich głos się przebijał. Prawidła demokracji są takie, że decyduje arytmetyka. Czasami trochę na zasadzie odegrania się, udowodniano, że nie mają prawa głosu. Trzeba mieć świadomość, jaki to był czas. Po przełomie osoby, które reprezentowały stary układ czy stary świat, nie cieszyły się dużym uznaniem. W poczuciu siły demokratycznej, naszej przewagi w samorządzie, mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby rządzić tak, jak chcieliśmy. Chociaż oni ze swoim doświadczeniem, zwłaszcza mówię tu o panu Boberze czy panu Wawrzyniaku na pewno często mieli słuszne uwagi i uwzględnienie ich mogło pewne kwestie prostować, ale wtedy się tym nie przejmowaliśmy. Mimo to atmosfera była dobra. Pomijając utarczki słowne z kolegami z lewicy na forum, w kuluarach traktowaliśmy się równorzędnie i po przyjacielsku. Nie przypominam sobie, żeby były jakieś nieporozumienia między nami. To, co działo się na sali obrad, nie rzutowało na nasze relacje osobiste.



Antoni Wysocki

Czuliśmy powagę chwili

1990 rok to był bardzo przełomowy czas w historii naszego kraju. Wychodziliśmy z komunizmu, czuło się powiew wolności. Może nie był to taki wiatr historii, jaki byśmy sobie życzyli, jednak wówczas mieliśmy nadzieję, że jest prawdziwy. Łudziliśmy się, że będzie silniejszy. Wiadomo, że przemiany systemowe to wielka polityczna reżyseria, ale społeczeństwo nie spodziewało się, że za tym kryje się też wielkie oszustwo – nie mniej czuło się wielkie zmiany. Co ciekawe, czuli je też ludzie niezaangażowani politycznie. Nie tylko tacy jak ja, którzy byli działaczami antykomunistycznymi, którzy weszli do samorządu, budowali go, ale również na przykład pracownicy urzędu.

Do roku 1980 żyliśmy w komunizmie, bo nie mieliśmy alternatywy i jakoś ludzie przywykli, mimo że był on siermiężny, szary, ponury, zbrodniczy. W 1980 roku nastąpił wzrost świadomości społecznej, zaczęło się wielkie przebudzenie narodu. Czas karnawału Solidarności to moment, kiedy ludziom otworzyły się oczy, dostrzegli i bardziej zrozumieli, czym jest komunizm i że chcą zmiany systemu. Mimo że tamten zryw został stłumiony, trwała walka podziemna i już raczej trudno było powiedzieć, że ktoś np. nie słyszał o Katyniu.

Wreszcie było normalnie

Wracając do 1990 roku, przypominam sobie, jak panie w urzędzie opowiadały mi, że za komuny magistrat funkcjonował w oczekiwaniu na to, kiedy zadzwoni czerwony telefon z komitetu PZPR i padną wytyczne. Po 1989 roku jakby ktoś otworzył okna i wpuścił świeże powietrze. Czerwony telefon poszedł w zapomnienie, zaczęły się normalne ludzkie kontakty. My, czyli nowi radni, odnosiliśmy się do urzędników z sympatią, bo nie czuliśmy się jakimiś ważnymi posta-

ciami z góry, mianowanymi przez partię. Utożsamialiśmy się ze społeczeństwem, bo wyszliśmy z niego, stanowiliśmy jego część. Towarzyszyło nam wtedy poczucie wspólnoty.

Samorządność to dbanie o wspólne

Później to się zmieniło. Mam trochę żalu o to, że nie potrafiliśmy zbudować autentycznego samorządu, społeczeństwo nie poczuło, że jest samorządne w swojej gminie, że to my u siebie rządzymy. Pamiętam sytuację na osiedlu Wyżykowskiego. Rano wyszedłem do sklepu i zobaczyłem, że w nocy złodzieje ukradli pokrywę ze studzienki. Szedł tamtędy patrol straży miejskiej (strażnik i strażniczka). Przeszli. Nie zwrócili uwagi na tę otwartą studzienkę, do której ktoś mógł wpaść i nieszczęście gotowe. Zawróciłem ich i zapytałem, co oni patrolują, skoro nie zwracają uwagi na coś, co stanowi zagrożenie... Samorządność to jest dbanie o to, co wspólne, o naszą małą ojczyznę.

Jeden raz, dla sprawy

Nie szedłem do rady po to, żeby brać dietę, byłem działaczem Solidarności. Stworzyliśmy komitet obywatelski i co? Mieliśmy oddać wszystko komunistom? Nie! Należało spróbować walczyć o samorządy w terenie. Trzeba się było zaangażować. Nie zamierzałem kandydować do ostatnich dni, ale gdy się okazało, że brakowało chętnych, to w ostatniej chwili się zdecydowałem. Dla sprawy.

Kandydowałem tylko raz. Potem tworzyłem komitet wyborczy, ale sam już nigdy nie startowałem. Uznałem, że jeżeli w pierwszej kadencji, kiedy mieliśmy tak zdecydowaną przewagę i mogliśmy przeprowadzić wszystko, nie miałem na tyle siły przebicia, żeby przeforsować ważne sprawy, to nie powinienem startować ponownie. Zniechęciłem się, gdy musiałem się ścierać z kolegami, walczyć i wymieniać pismami przez pół roku w sprawach, które uważałem za ważne dla naszego miasta. Uznałem, że głową muru nie przebiję.

Tylko tyle i... aż tyle

O jakie sprawy chodziło? Na przykład postanowiono, że zostanie zamontowana sygnalizacja świetlna na skrzyżowaniu ulic Paderewskiego, Komisji Edukacji Narodowej i Piłsudskiego. Wiem, że jeszcze wtedy nie było tylu wyspecjalizowanych firm i tak zaawansowanej technologii jak dziś, ale uważam, że sprawa mogła być lepiej pokierowana. Jakaś firma wygrała przetarg. Należałem do komisji komunalnej i byłem w komisji odbioru. Gdy przyszło odebrać tę inwestycję, okazało się, że to nie działa, tamto nie działa. I ciągle słyszałem, że to się poprawi, tamto się poprawi. Powiedziałem więc: „Nie, panowie, poprawicie, to odbierzemy”. I czekałem na telefon z urzędu miasta, kiedy będzie drugi odbiór. Tydzień, dwa, trzy minęły i nic. W końcu poszedłem do urzędu i zapytałem. Co usłyszałem? Że już odebrano inwestycję. Zrezygnowano ze mnie, bo chciałem rzetelności, normalności... Jak mogłem podpisać, że coś działa, skoro nie działało, zwłaszcza że chodziło o bezpieczeństwo.

Rezygnowano ze mnie w wielu sprawach. Kolejny przykład: kupiono straży miejskiej nowe samochody służbowe. Chciałem, żeby jeździli nimi kierowcy, którzy mają trochę doświadczenia za kierownicą. Proponowałem, że jako zawodowy kierowca przetestuję tych strażników i sprawdzę ich umiejętności. Nie zgodzono się na to. Efekt? Kilka stłuczek i wypadków.

Uważałem też, że niekoniecznie trzeba było trzymać stare kadry w instytucjach miejskich. Jednak ten mój postulat nie spotkał się ze zrozumieniem. Za dużo chciałem i wychodziłem na oszołoma. To był taki przełom w moim odczuciu, żeby było tak, jak było.

Drogi, ulice, rzeki

Czasem miewałem sukcesy, chociaż łatwo nie przychodziły. Trwała przebudowa dróg i pętli autobusowej na Ustroniu. Wjeżdżało się tam i wyjeżdżało jedną drogą. Taka organizacja ruchu była bardzo kolizyjna. Zaproponowałem osobny wyjazd i wyjazd. Pracowałem wiele lat jako kierowca autobusu i wiedziałem, co należało tam zmienić, by zminimalizować zagrożenie. W trakcie robót zobaczyłem, że powstaje osobny

wyjazd, ale tylko dla małych aut, ale już nie dla autobusów. Interweniowałem i poszerzono wyjazd, jednak wciąż nie było dobrze, bo długi autobus, wyjeżdżając, zajmował dwa pasy ruchu, a to kolidowało z ruchem pojazdów jadących z przeciwnika. Przekonałem więc wiceprezydenta Władysława Szczotkę, żeby tam ze mną pojechał. Pokazałem mu na miejscu problem i dopiero wtedy go rozwiązano.

Udało się natomiast ze zmianą nazw ulic. Nie uważałem, żebyśmy mieli nadal czcić komunistycznych zbrodniarzy. Domagałem się zmiany nazw i naszych bohaterów na tabliczkach. Ile było dyskusji, że to są koszty, bo trzeba będzie zmieniać dowody osobiste, że ludzie będą zagubieni, bo się zmienią adresy, że... sto innych argumentów. Walczyłem do skutku. Nazwy zostały zmienione, ale ile przy tym było niepotrzebnej dyskusji!

Starłem się zbudować grupę inicjatywną, która by się zajmowała lokalnymi rzeczami, jak pamiętam, poza panią Aleksandrą Dąbrowską-Chwastek nie udało mi się zainteresować problemem więcej osób. Rzeki jak śmierdziały, tak śmierdzą – może teraz w mniejszym stopniu.

Tajemnicze finanse miejskiego klubu

MKS Zagłębie Lubin zarządzał gieldą, a gielda była spółką miejską. Chcieliśmy więc wiedzieć, jakie zyski klub czerpie z giełdy. Owszem, nie mieliśmy nic przeciwko temu, żeby im płacić za administrowanie terenem, dbałość o budynek, ale nie mogliśmy uzyskać informacji o finansach. Ciągłe władze Zagłębia gościły w urzędzie, na komisjach, na sesjach, oczekiwali wsparcia finansowego, głosząc piękne hasła o rozwoju tęczy młodzi, zdrowiu młodego pokolenia. Zapytałem więc, ile z tych pieniędzy idzie na sport masowy, a ile na pensje piłkarzy i działaczy. Oooo, jakie było oburzenie w klubie! No, ale skoro miasto za to płaciło, to miasto powinno wiedzieć. Sytuacja była patologiczna, walczyłem z nią, ale kiedy jeden mój kolega opozycjonista nie poparł mnie, bo – jak tłumaczył – jego syn chodził do trampkarzy, to byłem zdegustowany. Pytałem go, o co walczył – mieliśmy nie kontrolować wydawania publicznych pieniędzy?

Sukces czy obowiązek

Pyta mnie pani o sukcesy rady. Trudno powiedzieć, bo czy sukcesem jest realizowanie przez gminę ustawowych zadań? Budowa cmentarza już była rozpoczęta, gdy weszliśmy do samorządu. Inwestycję trzeba było dokończyć i oddać do użytku. Przekształcenie spółek państwowych w komunalne było naturalnym procesem. Nie wymieniam tego jako sukces, bo to należało zrobić i już! Lubin nie był jakiś wyjątkowy pod tym względem. Zmieniał się status prawny, tablice, ale zadania i ludzie zostawali ci sami. To dość oczywiste sprawy związane z funkcjonowaniem miasta, bez względu na to, kto nim rządzi. Mnie interesowało nowe spojrzenie, jak wspomniana ochrona środowiska, na którą za komuny w ogóle nie zwracano uwagi.

Radny, więc pomoże

Dyżury radnych... Jaką radny ma moc sprawczą? Może postawić wniosek, ale czy rada go przegłosuje? Jako radny wsłuchiwałem się w utyskiwania ludzi, którzy przychodzili na dyżury. Czasem ktoś mówił, że kanalizacja wybija, to szedłem i oglądałem. Sprawdzałem, czy tak jest. Jeśli faktycznie wybijała, to szedłem do wodociągów i interweniowałem. Nigdy nie zostawiałem żadnej sprawy bez interwencji. Raz jedna pani nawet przyszła, żeby jej małżeństwo ratować. Podejmowałem się nawet takich działań, bo ludzie przychodzili do nas z zaufaniem. Czasem z takimi nietypowymi sprawami też. Powiem tylko, że wtedy porozmawiałem z jej mężem, z sukcesem. Pisałem ludziom pisma, bo nie każdego było stać na prawnika. Starłem się pomagać, ile mogłem.

Serdecznie, uszczypliwie, z humorem

Atmosfera w radzie miejskiej była dobra. Jestem człowiekiem z poczuciem humoru, więc nawet gdy chciałem „dokończyć” lewej stronie, robiłem to z humorem, bez agresji, raczej żartem, ale dawałem wyraz mojemu stosunkowi do komuny. Był taki radny, z którym stale się spierałem, Józef Wawrzy-

niak. Nagle chciał zmienić czerwone barwy jak kameleon. Przyjął szaty demokracji i próbował nas uczyć, co to jest demokracja, prawa wolnego rynku itp. Powiedziałem raz na sesji, że jak tak dalej pójdzie, to radny Wawrzyniak publicznie zakwestionuje zasadność wystrzału z Aurory. Wszyscy się śmiali, nawet sam Józek się śmiał. Było w radzie trochę lekarzy, przewodniczący zwracał się do nich per: „pani doktor, panie doktorze”. Zaproponowałem kiedyś, żebyśmy przestali używać zwrotów zawodowych, bo nie wiem, czy zwracając się do pana Wawrzyniaka, mam nadal używać zwrotu „towarzysz” czy nie. Wawrzyniak wtedy krzyknął: „Mów mi Józek!”. Nie było gniewów, dąsów, było serdecznie i z humorem, byliśmy wyluzowani. Nie znaczy to, że niepoważni. Bardzo czuliśmy powagę chwili, ale nie byliśmy napompowani, napuszeni, ważni. Już chyba nigdy potem nie panowała w radzie miejskiej tak dobra atmosfera. Podobnie pamiętam kontakty z urzędnikami – uprzejme, życzliwe. Wtedy był inny klimat.



■ Józef Wyspiański

Chciałem patrzeć na rękę

Kadencja 1990–1994 kojarzy mi się najpierw z dużą pracą przed samymi wyborami. Zdawałem sobie sprawę, że komitet obywatelski jest bardzo spójny i bardzo popularny w społeczeństwie. W związku z tym, żeby być wybranym z komitetu demokratycznego, zastosowałem technikę odwiedzania mieszkańców, co było wówczas ewenementem. Odwiedzałem po kilkanaście mieszkań na każdej ulicy na Przylesiu, rozmawiałem z ludźmi o tym, jakie były potrzeby, co ich zdaniem należało poprawić, co zmienić. I zyskałem poparcie jako jeden z nielicznych z naszego komitetu demokratycznego. Do rady weszło nas trzech, może czterech. Później dołączyła do nas jeszcze jedna osoba. Nie miałem złudzeń, kto wygra wybory, ale chciałem patrzeć nowej władzy na

rękę. Chciałem widzieć, jak będzie przebiegało rządzenie miastem, w którą stronę pójdzie i czy coś nie zostanie zapomniane ze składanych wcześniej zobowiązań. Pamiętna akcja zdarzyła się w przeddzień ciszy wyborczej. Otóż wszystkie nasze plakaty wyborcze w ciągu dnia zostały bez pardonu zaklejone przez inne komitety wyborcze. Wobec tego postanowiliśmy przed godziną 24 przejechać głównymi ulicami i nakleić nasze plakaty na istniejących słupach ogłoszeniowych. Krok nasz był na tyle skuteczny, że w dniu wyborów mieszkańcy Lubina mogli je przeczytać.

Solidna praca

Myślę, że to była dobra kadencja. Solidna praca, bez nienawiści, przytyków, złośliwości – jak to ma miejsce teraz w sejmie. Radni z komitetu obywatelskiego szanowali nas, bo wiedzieli, że nasza obecność to decyzja ludzi, mieszkańców Lubina, którzy nas wybrali. Stąd praca była przyjemna i rzeczowa. Tak właśnie wspominam tamtą kadencję. Solidnie pracowaliśmy na początku nowego rozdziału samodzielności gminy. Oczywiście, to była inna rada od poprzedniej, choć nie wiem tego dokładnie, bo nigdy wcześniej nie byłem radnym. Wtedy zostałem radnym po raz pierwszy. I to w momencie przełomowym, gdy gmina przejmowała majątek, gdy trzeba było ją organizować po nowemu.

Dokładne planowanie

Pamiętam tamten czas jako porządkowanie rzeczywistości. Wykonaliśmy mrówczą pracę. Trzeba było dokładnie policzyć powierzchnię, jaka podlegała pod gminę, ustalić, kto ją zajmował, kto co dzierżawił, kto korzystał z jakich ułamkowych części gruntu czy budynków, a nie płacił za to, w ogóle czy ktoś wykorzystywał mienie gminne bez opłat. To wymagało rejestracji gruntów, opisanie każdej działki i przeanalizowania jej statusu. Kolejna sprawa to dokładne, rzeczowe planowanie budżetu. Muszę przyznać, że budżet był solidnie planowany, bez ryzyka w założeniach, że plan się nie spełni. Dla mnie jako nauczyciela fizyki, osoby niezwiązanej z administracją czy samorządem to były nowe sprawy. Powoli się w nie wgrzyzałem, poznawałem, podobnie jak wszyscy. Jedni drugich uczyli, stale zaglądało się do statutu, do różnych zarządzeń. Dostaliśmy przedruk obowiązków gminy, pamię-

tam, że był mocno potargany, bo co chwila ktoś do niego zaglądał, by sprawdzić, czy coś można zrobić tak, czy trzeba w inny sposób, czy można coś obejść, czy dopisać, czy jakoś inaczej jeszcze postąpić.

Pomysłowe rozwiązania

Tamte lata to taki gorący, dobry moment. Prace przebiegały w dobrej atmosferze. Jeżeli były dyskusje, to nad meritum sprawy. Zarząd miasta i prezydent przedstawiali pomysłowe rozwiązania, które nie budziły poważniejszych zastrzeżeń. Zazwyczaj były już solidnie skonsultowane, omówione, dopracowane pod względem formalnym. Tak, żeby uchwały nie podlegały rewizji, stąd potem nie było zastrzeżeń organu nadzorującego z Wrocławia.

Na sesjach praca przebiegała raczej sprawnie, bez niepotrzebnego gadulstwa. Nieraz przychodzili wyborcy, by wspierać radnych. Pamiętam pana, który się bardzo cieszył, że się dostaliśmy do samorządu z komitetu demokratycznego i pytał, jak nam się pracuje. To był czas owocnej pracy i wzajemnego szacunku, nie było nienawiści, sarkazmu, wytykania poglądów, raczej skupienie na sprawach merytorycznych. Pan Niewodniczański dbał o to, żeby nie było wycieczek osobistych, zwracał na to uwagę. Mieliśmy dużo pracy, czasem siedziałem do późna w nocy i wertowałem dokumenty, które przychodziły z sekretariatu rady i z którymi trzeba było się zapoznać, a potem przemyśleć, porozmawiać, naradzić z kolegami z komitetu, ustalić stanowisko. Czas miałem wypełniony bardzo. Podobało mi się pomaganie ludziom, poza tym to było płatne zajęcie, to też niebagatelny powód, by startować w wyborach w kolejnych kadencjach.

Osobiste sukcesy

Pracowałem w komisji oświaty i kultury. Rozmawiałem z dyrektorami placówek oświatowych i kulturalnych, żeby się dowiedzieć, co wymaga poprawy, jak oni widzieli funkcjonowanie instytucji, którymi kierowali. I to przynosiło pozytywne efekty. Poza tym spotykałem się też z mieszkańcami, żeby realizować to, co obiecałem przed wyborami. Dowiadywałem się o nowych problemach do rozwiązania, jak zalewanie ulicy Ptasiej czy uciążliwe pylenie betoniarni. Pierwsza sprawa, czyli wadliwa kanalizacja mocno dawała się ludziom we

znaki. Po deszczu woda sphywała w dół ulicy, ale ponieważ studzienki kanalizacyjne jej nie zbierały, to zalewała piwnice w budynkach. Po czterech latach moich starań zostało to naprawione. Drugi problem był poważniejszy. Naprzeciwko miejsca, gdzie dziś stoi Lidl, działała betoniarnia. Wytwarzała mnóstwo pyłu, który roznosił się po domkach, zasypywał ogródki działkowe, rośliny, drzewa, co było mocno uciążliwe. Firma najpierw zobowiązała się, że będzie zraszać teren, a później że przeniesie betoniarnię w inne miejsce. I tak się stało. Nie dało się tego załatwić od razu, ale sygnalizowałem problem zarządowi miasta do skutku.

Niepokoje, oczekiwania, żarty

Z jednej strony czas przemian rodził nieraz niepokoje. Pamiętam na przykład rozterki w technikum górniczym, którego dyrekcja i nauczyciele nie wiedzieli, w jakim kierunku planować przyszłość placówki. Kopalnia trochę przyblokowała nabór, podobnie jak w zasadniczej szkole górniczej przy ulicy Legnickiej, a gmina wtedy nie mogła pomóc, bo szkolnictwo jej nie podlegało. Pierwszy temat, którym musieliśmy się zająć, to remont placówek. Zaczęto od przedszkoli, później modernizację przechodziły szkoły podstawowe. Następową poprawą warunków i przejście na bardziej nowoczesną postać edukacji.

Kluczową inwestycją był remont walącego się Centrum Kultury „Muza”, wtedy jeszcze Domu Kultury Zagłębia Miedziewego.

Na dyżury radnych przychodzili ludzie głównie po to, żeby dostać mieszkanie. Pamiętam chłopaka, który się ożenił, miał dziecko i nie miał gdzie mieszkać. Przychodził wiele razy, w końcu dostał jakieś zastępcze mieszkanie. Czasem pomagaliśmy ludziom, którzy mieli problem z wykupieniem leków. Dominowały życiowe kłopoty.

Zarząd miasta i rada działały sprawnie, radni akceptowali to, co zaproponował zarząd. Chociaż zdarzały się nietrafione pomysły. Na przykład prezydent polecał kiedyś do Stanów Zjednoczonych i kupić tam kapelusze dla strażniczek miejskich. Potem ludzie żartowali, że będziemy mieli w Lubinie konną straż jak w USA, ale to chyba było już podczas drugiej kadencji.



Edward Zaczyński

Mądre kobiety, utrudniacze i kielich

Rada miejska to były dla mnie pierwsze poważne obywatelskie obrady. Pamiętam, że po pierwsze, przygotowując się do bycia radnym w 1990 roku, wpadłem w taką powagę, że sam siebie podziwiałem, że tak potrafię. Z reguły żartowałem w życiu, a gdy zostałem radnym, zacząłem mniej mówić, więcej się zastanawiać. Uważałem, żeby myślenie nadążało za mową, żeby nie doszło do sytuacji, że się nagadałem, a potem nie wiem, co powiedziałem. Wydaje mi się, że rozumiałem jako obywatel, że tak naprawdę nie ma lepszego wyboru niż szansa samorządu terytorialnego w dobrze pojętej demokracji. Trzeba zadbać o ten kawałek ziemi, gdzie żyję, nawet gdy jest nie mój.

Po drugie, spotkaliśmy się w radzie z ludźmi tamtego systemu. Tak sobie myślałem: „No dobra, ale jak ci ludzie myślały publicznie?”. No i okazuje się, niestety dziś po trzydziestu latach tak myślę, że oni byli całkiem mądrzy w działaniu publicznym. Może sami nie rozumieli, dlaczego system był taki. Nie podejrzewam, że każdy z nich był w stu procentach pezetpeerowski, radziecki czy komunistyczny – jak kto woli. Nie. Obywatele w roku 1989 i 1990 przynajmniej ci, którzy przyjechali do Lubina, to przede wszystkim odważni osadnicy, mający misje życiowe i marzenia do spełnienia. Dopiero po 1980 roku do Zagłębia Miedziowego przyjeżdżali ludzie dla socjału.

Praca w zespole

Pierwsze pół roku uczyliśmy się, co i jak się robi w samorządzie. Według mnie, jeśli ktoś chce być radnym, wcześniej powinien być zrzeszony w jakimś stowarzyszeniu. Po co? Żeby rozumiał, czym jest praca w grupie. Obojętnie, czy to będzie grupa przy kościele, sportowa czy inna. Ważne, żeby sprawdził, czy ma smykałkę i wie, kiedy wśród ludzi coś powiedzieć, a kiedy przemilczeć. Powinien też rozu-

mieć problemy swojej dzielnicy, z której został wybrany i być w niej znanym, pokazywać się w swoim miejscu, na swoim terenie, mieć kontakt z ludźmi.

Nadążyć za młodymi

Kiedy mówię o skojarzeniach, jakie budzi we mnie myśl o tamtej radzie, to pierwsza sprawa, która przychodzi mi do głowy, to bardzo młody prezydent Raczyński, młodszy ode mnie o prawie 20 lat i taki mądry. Postanowiłem, że skończę dodatkowe studia. Ja, górnik po AWF, skończyłem prawo i gospodarkę Unii Europejskiej, potem jeszcze studia podyplomowe z komunikacji społecznej w biznesie, a następnie jeszcze roczne studia, dające uprawnienia do bycia nauczycielem akademickim na kierunku turystyka i krajoznawstwo na PWSZ w Legnicy. Wszystko dlatego, że chciałem nadążyć za młodziem. Wiedziałem, że mogę się do czegoś przydać i nie chciałem zostawać w tyle.

Burzliwie, ale z szacunkiem

Atmosfera na sesjach była burzliwa, bo wywodziliśmy się z różnych obszarów. Dużą rolę w uspokajaniu atmosfery odgrywał Paweł. Solidarność nie miała dużo przedstawicieli, więc ich wypowiedzi nie były konstruktywne. Robert miał autorytet. Ludzie sami umieli znaleźć konsensus, obrady były burzliwe, ale nikt nikomu nie ubliżał, szanowaliśmy się.

Ważne było też to, że w tamtej radzie zasiadały mądre kobiety. Ich obecność i zaangażowanie merytoryczne bardzo tonowały atmosferę dyskusji. Myślę, że to, że byliśmy w różnym wieku i mieliśmy różne poglądy, różne doświadczenia, wpłynęło na fakt, że podejmowaliśmy jako rada mądre decyzje.

Czasami przychodziłem na komisję nieprzygotowany. Wtedy mówiłem, że nie jestem przygotowany i pytałem o zdanie zwolenników oraz przeciwników danej uchwały, by wypośredkować stanowisko i żeby podjąć decyzję najrozsądniejszą. Nigdy nie poddawałem pod głosowanie nieuzgodnionych stanowisk. Kiedy miałem je już uzgodnione, można było na następnej komisji głosować. Ale najpierw należało przedyskutować wszystkie uwagi.

Dla środowiska

Tamta rada nie należała do łatwych. Była bardzo różnorodna, a ja w niej nie byłem ani stary, ani młody. Szedłem do wyborów z hasłem ochrony środowiska. Na czym ona polegała? Lubinowi dokuczały Huta Legnica i Huta Głogów oraz staw osadowy Żelazny Most. Nagraliśmy nawet film o tym, że jeśli nie będziemy bardziej ostrożni w planowaniu kopalni, to z naszą planetą będzie źle. Miałem taki pomysł, żeby osady z kopalni pompować do Bogatyni, do tej dziury po węglu brunatnym. To byłoby kosztowne, ale uważałem, że potrzebne, żeby nie robić sztucznego wału i wykorzystać dziurę w ziemi, która już jest. Pracowałem w zakładzie doświadczalnym i ochrona środowiska leżała mi na sercu. Jako inżynier ds. techniki strzelniczej, a wcześniej instruktor strzałowy uczyłem górników, jak wywoływać należycie zawał podszkockowy pod ziemią, żeby na powierzchni niczego nie naruszyć. Gdybyśmy to robili zawsze prawidłowo, to nie byłoby ruchów górotwórczych. Ale jest rabunkowa gospodarka – to detal ukrywany, stąd te wstrząsy. Przy końcu naszej kadencji, gdy działałem w samorządzie województwa i wojewódzkim funduszu ochrony środowiska, współuczestniczyłem w projekcie instalacji odsiarczania Huty Miedzi Legnica, był to bardzo nowatorski pomysł.

Bez wielkich pensji

W 1990 roku marzyło mi się, że samorząd terytorialny w Polsce będzie bardzo rozumiały dla ludzi, bo to jest prosta gra. Graj obywatelu dla siebie, dla swojej gminy, ale bądź bezinteresowny... Pierwsze trzy kadencje były autentycznie niepolityczne. Polityka weszła do samorządu po 2000 roku, kiedy zmienił się podział administracyjny z 49 na 17 województw. Początkowo samorząd rozwijał się prawidłowo, a gdy weszła do niego polityka, całkowicie zmieniła się strategia. Wtedy jako marszałkowie małych województw mieliśmy wynagrodzenie z diety radnego gminnego i diety radnego wojewódzkiego, pracowaliśmy zawodowo, a funkcję marszałka pełniliśmy dodatkowo. Teraz, jak słyszę, marszałek województwa zarabia 30 tysięcy złotych plus świadczenia. Myślę, jako obywatel, że ktoś z czymś przeholował. Jesteśmy z żoną emerytami, opiekujemy się od 20 lat niepełnosprawnym autystą i nikt nas nie zauważa, ani rząd, ani samorząd...

Uważam, że w samorządzie człowiek nie powinien działać więcej niż dwie kadencje. Dlaczego? Bo potem wpada w konflikt sam ze sobą i zaczyna się wiara w to, że jest niezastąpiony. Zaczyna się gwiazdorzenie.

Mieszkania dla ludzi

Najważniejsze sprawy? Cmentarz to była bardzo ważna i trudna decyzja. Ale najważniejsza to ta, że bardzo szybko daliśmy obywatelom szansę wykupienia mieszkania na własność. Oczywiście, Lubin nie miał tak dużych zasobów komunalnych jak np. Legnica, ale to nieistotne. Najważniejsze, że ludzie mogli kupić mieszkania na własność, a miasto wyzbyło się masy komunalnej.

Wtedy Lubinowi przybyła kolonia Krzeczyn. Zarząd wyraźnie opowiedział się, że Krzeczyn będzie częścią miasta.

W pierwszej kadencji bardzo nam zależało, żeby ludzie się nauczyli przedsiębiorczości, prowadzenia podmiotu gospodarczego – małego, dużego, średniego, jaki kto chciał. Wydaliśmy na ten cel dość sporo pieniędzy.

Utrudnienia z góry

Trudności były takie, że rządowcy nigdy nie rozumieli samorządowców. Przepisy ograniczały wolność samorządu. Na ironię losu każdy wojewoda powołał pełnomocnika ds. samorządu i to byli najwięksi utrudniacze rozwoju samorządności na danym terenie. W województwie legnickim takim pełnomocnikiem był Andrzej Potycz. Cały czas działał przeciwko nam. Podpowiadał na przykład, że na Dolnym Śląsku powinno być tylko jedno samorządowe kolegium odwoławcze. Nie zgadzałem się z tym absolutnie i tłumaczyłem, że Wrocław nie rozumie Legnicy, a my w Legnicy nie rozumiemy Wałbrzycha. I dzięki mojemu uporowi mamy na Dolnym Śląsku dwa kolegia, w tym jedno legnickie. Walczyłem o to, bo jestem zwolennikiem zrównoważonego rozwoju, a nie tylko metropolii.

Wysadzić kielich

W 1990 roku, na drugim lub trzecim posiedzeniu, Robert Raczyński mówi do mnie tak: „Panie Edziu, słyszałem, że pan jest górnikiem strażowym. Niech pan wysadzi w powietrze ten kielich na Przylesiu, bo mieszkańcy narzekają, że tam tylko psy sikają, pijaki butelki tłuką itd.”. Najpierw zapytałem, czy mówi poważnie, a potem założyłem z kolegami stowarzyszenie i przejęliśmy kielich od miasta. Od lat 70. do 90. byłem członkiem Klubu Wysokogórskiego we Wrocławiu, czynnie uprawiając alpinizm. Do treningu chcieliśmy budować sztuczny obiekt. Zupełnie szczęśliwie okazało się, że w Lubinie taki obiekt czekał na zagospodarowanie. Po tej rozmowie było jasne, że w Lubinie można się wspinać sportowo. Obecnie marzymy o zainstalowaniu najnowszych paneli wspinaczkowych dla sportów olimpijskich. Oby się powiodło.



Jan Zimroz

Czas budowania

Pierwsza kadencja samorządu to przede wszystkim euforia, oczekiwania i nadzieja na przyszłość. Wybory samorządowe były kolejnymi po wyborach parlamentarnych, dzisiaj różnie ocenianych. Jako komitet obywatelski wywodziliśmy się ze środowiska opozycyjnego i intelektualnego, które gromadziło się w stowarzyszeniu SPK, czyli Salezjańskich Pomocników Kościoła. Przewodniczyli tej organizacji tacy ludzie jak Andrzej Glapiński, Paweł Niewodniczański, Henryk Karaś, generacyjnie troszeczkę starsi ode mnie. Stanowili grupę 50–60 osób, które wcześniej próbowały założyć Klub Inteligencji Katolickiej, ale trafiły na silną blokadę. W stanie wojennym i pierwszych latach po nim Lubin znajdował się pod szczególną obserwacją władzy, która uniemożliwiła tamto przedsięwzięcie. Stowarzyszenie Salezjańskich Pomocników Kościoła stało się wyjściem alternatywnym.

Glejt od Wałęsy

Pamiętam sytuację, gdy wiosną 1989 roku, czyli przed wyborami 4 czerwca, na zebraniu SPK pojawiło się trzech mężczyzn z glejtem od Wałęsy. Ludzie ci działali w imieniu powołanego już wtedy w skali kraju Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Wiadomo było, że szykujemy się do wyborów, więc rozpoczęły się działania mające na celu powołanie lokalnego komitetu obywatelskiego i wyłonienie naszych kandydatów do parlamentu. W Lubinie to my, ludzie najbardziej zaangażowani w SPK, stworzyliśmy komitet obywatelski. Przyjechali do nas na spotkanie wspomniani trzej przewodniczący komisji zakładowych – jeden z PKS-u, drugi z zakładów mięsnych, trzeci nie pamiętam z jakiego przedsiębiorstwa – po to, żeby zainicjować przygotowania do wyborów. Oni mieli związki zawodowe, ale pod względem intelektualnym musieli sięgnąć po kogoś od nas. Rozpoczęła się dość dziwna dyskusja, szczególnie z tego względu, że jeden z tych trzech związkowców był nietrzeźwy, doszło do pyskówki.

Na szczęście w spotkaniu brał udział ksiądz Jan Pryputniewicz, świetny człowiek i dyplomatycznie przekonał, że dla dobra Rzeczypospolitej trzeba się pogodzić i dogadać. Bardzo szybko założyliśmy lokalny komitet obywatelski, którego liderami zostali ludzie z czołówki SPK: Andrzej Glapiński, Paweł Niewodniczański, Henryk Karaś, Marian Szmigiel i ja. Wcześniej jeszcze w mieszkaniu śp. Stasia Śniega odbyło się zebranie, na którym wyłoniliśmy kandydata do sejmu, był nim Andrzej Glapiński.

Praktyka w miejskiej radzie narodowej

W pewnym momencie w komitecie obywatelskim pojawił się Robert Raczyński, który ma zapewne swoją wersję tej opowieści. Powiedział, że ma grupę młodych ludzi i pomoże nam zrobić kampanię. Rzeczywiście świetnie się sprawiło, wybory parlamentarne przebiegły bardzo sprawnie. Następnym krokiem były wybory samorządowe w maju 1990 roku. Już byliśmy trochę otrząskani, przeszliśmy szkolenia i to nie było jakie. Szkoliły nas amerykańskie i angielskie organizacje.

Pamiętam dwu- czy trzydniowe szkolenie w Żarach z prof. Kuleszą i prof. Regulskim. Kilka szkoleń odbyliśmy w Warszawie, otrzymaliśmy edukację w zakresie reformy samorządowej, więc organizując komitet obywatelski i zgłaszając swoją listę w wyborach, byliśmy już dość dobrze przygotowani.

Troszkę wejście w realia samorządów ułatwił nam pan Maraszek, ostatni prezydent Lubina za czasów peerelowskich. Oczywiście nie dlatego, że tak nas lubił. Miał w tym swój ukryty interes – uważał, że jest najlepszym kandydatem na prezydenta, a my nie mamy innego wyjścia i musimy go wybrać. Wtedy już było wiadomo, że nowego prezydenta wybierze nowa rada miejska, a nie wyznaczy partia. Jak nam ułatwił przygotowania? Zaproponował, żeby komitet obywatelski delegował po jednym czy po dwóch swoich przedstawicieli do komisji miejskiej rady narodowej. Rzeczywiście weszliśmy do tych komisji. Trafiłem do komisji rozwoju i spraw komunalnych i muszę przyznać, że dzięki temu kiedy wygraliśmy wybory i kiedy tworzyliśmy nową strukturę rady, wiedzieliśmy, że najważniejszą sprawą jest rozwój miasta i że musimy przejąć kontrolę nad miejskimi inwestycjami.

Aneksy, aneksy, aneksy...

Sposób, w jaki pod koniec lat 80. organizowane były inwestycje w Lubinie, dzisiaj określilibyśmy jako korupcyjny i byłoby to za delikatne określenie. W nowej radzie miejskiej w kadencji 1990–1994 utworzyliśmy dwie komisje zajmujące się tym tematem – rozwoju, której byłem przewodniczącym, i spraw komunalnych, której przewodniczył ktoś inny. Prace w komisji rozwoju i spraw komunalnych peerelowskiej rady pozwoliły nam poznać zakres prac komisji i zorientować się, jaka jest sytuacja w mieście. Wiedziałem, że sposób zarządzania inwestycjami miejskimi to była jakaś kpina. W urzędzie miasta istniał wydział, w którym pracowały cztery osoby. Ich zadaniem były tylko zlecenia na aneksy projektów i jakieś mniejsze projekty. Równolegle funkcjonowało coś, co się nazywało Zastępstwo Inwestycyjne oraz wielka firma WDI (Wojewódzka Dyrekcja Inwestycji). Rola tej instytucji polegała na nadzorowaniu robót prowadzonych przez miasto. Wynagrodzenie było prowizyjne od 2,5 do 4 procent od wartości inwestycji, więc łatwo się domyślić, że zarówno im, jak i wykonawcom robót zależało, żeby wartość ta była

jak największa. Dogadywali się więc z wykonawcą i kombinowali, co zrobić, żeby podpisać kolejny aneks, i kolejny i jeszcze następny. W ten sposób podwyższali wartość, a wydział w urzędzie miasta tylko przygotowywał papiery i sankcjonował ten proceder. Jedną z pierwszych praktyk, jakie zmieniliśmy, był sposób prowadzenia inwestycji w mieście.

Miejskie, czyli nasze

W ciągu tych czterech lat w Lubinie zostało zrobione bardzo dużo, zwłaszcza w zakresie chodników, parkingów. Pojawili się pierwsi przedsiębiorcy. Pamiętam, jak przyszedł do mnie pan Marian Urbaniak i zażądał w imieniu prywatnych przedsiębiorców, którzy mieli firmy budowlane, żebyśmy dla nich zorganizowali posiedzenie komisji rozwoju. Powiedzieli, że chcą rozwijać lokalny lubiński biznes, zakłady budowlane, że tutaj płacą podatki i chcą wejść w inwestycje miejskie. Faktycznie jako szef komisji zorganizowałem to spotkanie, a potem z pełnym przekonaniem dostawali od nas preferencje jako lokalne rodzime firmy.

W tej kadencji został przeprowadzony proces inwentaryzacji i komunalizacji majątku miejskiego. Pamiętam między innymi spółdzielnię usługową, którą tworzyli introligatory, krawcy, szewcy, fryzjerzy. Świadczyła ona usługi, które zostały sprywatyzowane. Rzemieślnicy na preferencyjnych zasadach stali się właścicielami lokali, w których prowadzili zakłady. Inwentaryzacja mienia komunalnego trwała – jeśli dobrze pamiętam – do 1992 roku. To był skomplikowany proces. Odbywał się na podstawie ustawy o samorządach. Gwarantowała ona samorządom lokalnym majątek, który był związany z zadaniami własnymi gminy. Na tej zasadzie bardzo sprawnie przejęliśmy cały majątek związany z podstawowym funkcjonowaniem miasta. Pamiętam, że na tym tle powstawały zarzewia konfliktów, jednak udawało się je sprawnie łączyć.

Trudna transformacja

Następny etap to proces komunalizacji mienia. Prowadziła go komisja inwentaryzacyjna, która miała uprawnienia z mocy ustawy i członkowie zarządu, którzy mieli upraw-

nienia do podpisywania decyzji komunalizacyjnych. To było o tyle proste przedsięwzięcie, że walka i przeciąganie kołdry odbywały się w obrębie jednego ugrupowania, czyli komitetu obywatelskiego. Na 40 mandatów mieliśmy 36. Czterej radni z listy SLD [wtedy SdRP – przyp. AG] nawet się specjalnie nie awanturowali. Chęć porozumienia i współpracy była dużym ułatwieniem. Komunalizacji towarzyszyło mnóstwo problemów natury prawnej, formalnej. Byliśmy dobrze przygotowani i mocno skoncentrowani na zadaniu, więc w Lubinie transformacja, przejście od starego do nowego systemu, nastąpiła bardzo sprawnie, mimo że był to proces dość skomplikowany w sensie formalno-prawnym. Ułatwiała go powszechna świadomość, że działamy w interesie miasta i jego mieszkańców. Dziś wydaje się to dziwne, ale nie pamiętam zdarzeń, które mogłyby świadczyć o ewidentnym uprawianiu „prywaty”.

Kołdra zawsze za krótka

Nie dochodziło do konfliktów pomiędzy radnymi czy pomiędzy komisjami rady. Największa walka zawsze odbywała się podczas uchwalania budżetu. Zawsze i w każdym miejscu to jest naciąganie krótkiej kołdry. Oczywiście zdarzały się kłótnie, jakieś walki w komisjach, bo do tego nas mobilizowały środowiska, które reprezentowaliśmy w radzie – każdy radny był zakorzeniony w środowisku lokalnym, zakładzie pracy, spółdzielni mieszkaniowej czy jakimś stowarzyszeniu, które miały swoje oczekiwania. Natomiast były to spory o konkretne sprawy miasta. Wspominam ten czas dobrze, jako czas budowania.

Specjalista w zarządzie

W kontekście tego, co mówiłem o reformie w obszarze inwestycji miejskich, pamiętam, że z mojej inicjatywy do zarządu miasta wszedł pan Władysław Szczotka. Zarząd skorzystał z mojej propozycji, by to właśnie jemu powierzył stanowisko wiceprezydenta ds. inwestycji. Znałem pana Szczotkę z PeBeKi, był wtedy młodym emerytem, do zagospodarowania. Cała praca w PeBeKa zawsze się opierała na realizowaniu inwestycji, budowaniu obiektów. Pan Władysław był moim szefem, kiedy zaczynałem pracę zawodową. Wiedziałem,

że to jest bardzo dobry inżynier i bardzo dobry człowiek, spokojny, wytonowany, merytoryczny, niekonfliktujący. Ponieważ często rozmawialiśmy o samorządzie, bo blisko siebie mieszkaliśmy, wiedziałem, że interesowało go życie miasta i że jest on najlepszym kandydatem na to stanowisko. I rzeczywiście pan Szczotka bardzo szybko doprowadził do zakończenia współpracy miasta z WDI, nawet nie trzeba było zrywać umów, wystarczyło nie podpisywać kolejnych. Zorganizowaliśmy swoje służby inwestycyjne i przejęliśmy wielu inspektorów nadzoru, pracowników WDI do urzędu miasta. Potrzebowaliśmy tych ludzi, zwłaszcza że wiele inwestycji było już rozpoczętych, w tym kilka potężnych, jak budowa Szkoły Podstawowej nr 4 czy remont Domu Kultury Zagłębia Miedziowego, czyli dzisiejszego Centrum Kultury „Muza”. Tu ciekawostka: stan techniczny budynku był tragiczny. Gdy wykonawcy zaczęli remont, obnażyli mury do żelbetu – bez problemu, bo tynki same spadały – okazało się, że filary z pierwszej kondygnacji i z drugiej miały się zamiast łączyć. Wielką inwestycją z pierwszej kadencji był też cmentarz w Oborze.

Największy sukces?

Myślę, że inwestycje. Może to jest subiektywna ocena, bo zajmowałem się nimi, jednak uważam, że mówimy o dużym skoku jakościowym w tej sferze i w infrastrukturze miasta. Od razu zauważano nowe chodniki, parkingi, oświetlenie. Miasto bardzo szybko uzyskiwało nowy wizerunek. Wcześniej na lubińskich ulicach było ciemno. Trzeci stopień zasilania skutkowało tym, że nikt nie widział sensu budowania oświetlenia miejskiego. Kiedy po upadku fatalnej i ponurej komuny pojechało się na Zachód, to przeżywało się szok, że w nocy w mieście może być tak jasno. Każdą nazwę ulicy dało się odczytać. Dla nas to było imponujące.

Najbardziej udany projekt

Reforma samorządowa była, bez wątpienia, najbardziej udaną reformą ustrojową, bo rzeczywiście zaangażowała ludzi, skierowała ich aktywność na uzasadnione działania wynikające z ich potrzeb. W krótkim czasie dawała niespotykane wcześniej efekty. To jeszcze bardziej ludzi mobilizowało.

Prywatyzacja zakładów rzemieślniczych i spółdzielni przynosiła pozytywne skutki. Gdy ktoś czuł, że staje się właścicielem firmy, to inwestował w nią, rozwijał. Później dużą akcją była prywatyzacja mieszkań komunalnych, byliśmy w tej dziedzinie pionierami. Przed nami tylko jedno miasto Międzyrzecz przeprowadziło prywatyzację mieszkań komunalnych w formie obligacji i przekazywania ich użytkownikom za symboliczną złotówkę. Analizując budżet, widzieliśmy, ile miasto dopłacało do mieszkań komunalnych. Było oczywiste, że oddanie ich nawet za darmo ogromnie się opłaca. Wtedy wchodziły też w życie ustawy o wspólnotach mieszkaniowych i podziale spółdzielni. Wielu ludzi skorzystało z możliwości tworzenia wspólnot. Modelowym przykładem był blok przy Jamnikach – na owe czasy centrum handlowym Lubina. W budynku jest chyba 8 klatek, w każdej po osiem czy dziesięć mieszkań, a więc około 70–80 właścicieli, którzy jako wspólnota dostali do dyspozycji kilka lokali usługowych. Można powiedzieć, że wygrali los na loterii. A przepisy mówiły, że wystarczyło, aby czterech czy pięciu właścicieli mieszkań się dogadało, by mogli stworzyć wspólnotę i wystąpić ze spółdzielni. I ludzie z tego korzystali.

Bogaty podatnik

KGHM za Peerelu dominował nad całym regionem, dyrektor naczelny kombinatu (jak się wówczas mówiło) był równy wojewodzie. Równoległe z reformą samorządową następowała reforma podatkowa. Wiedzieliśmy doskonale, że KGHM płaci podatki w Lubinie i w ościennych gminach, i że ta firma tworzy nasz publiczny budżet. Gdy w połowie lat 90. wprowadzono opłatę eksploatacyjną, sześćdziesiąt procent z tej opłaty otrzymywał samorząd, a czterdzieści procent Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska. Angażowaliśmy się mocno w proces uzgadniania formuły ustawy o podatkach lokalnych, w szczególności o opłacie eksploatacyjnej, bo wiedzieliśmy, ile tutejsze gminy korzystają z faktu, że na ich terenie działają kopalnie. Dziś to jest oczywiste, że KGHM Polska Miedź SA jest podstawowym źródłem dochodów gmin, ale wówczas ta wiedza nie była powszechna.



■ Stanisław Dobrowolski

Niby przypadkowi ludzie, a same tuzy

Rok 1990 w sferze samorządu to była rewolucja. Nagle gminy stały się właścicielami mienia komunalnego, uzyskały osobowość prawną, mogły zaciągać kredyty, prowadzić gospodarkę. Zaczęły powstawać spółki z o.o., w których udziałowcem zasadniczym było miasto. Gmina zaczęła działać zupełnie inaczej. Wtedy stworzone zostały wszystkie służby komunalne. Miasto było pracodawcą nauczycieli, MOPS-u, domu kultury, miejskich spółek, dokonywały się specjalizacje branżowe, dynamiczna sprzedaż lokali komunalnych. Raptem mieszkańcy stali się właścicielami nie tylko lokali mieszkaniowych, ale też użytkowych. To była rewolucja! Przekształcenie LPK w spółki, któremu towarzyszyły interwencje pracowników, obawiających się o swój los. Ludzie to odbierali jako likwidację miejsc pracy. Ówczesny dyrektor Cyganowski organizował ostry sprzeciw, ale ostatecznie wszystko się powiodło.

Zgrana drużyna

Chciałbym podkreślić, że Raczyński jako przywódca lokalnego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” miał największą liczbę radnych, więc bez problemu został prezydentem i mógł rządzić spokojnie. Dla porównania – w Ścinawie na każdej sesji dochodziło do próby odwołania burmistrza Kraśniańskiego. Funkcja radnych była wtedy o tyle ważniejsza, że to oni byli pracodawcami prezydenta, burmistrza, wójta. Raczyński był najmłodszym prezydentem w Polsce, miał wtedy 28 lat, a mimo to miał niemały autorytet i dar przekonywania. Nie obawiał się wystąpić na sesji i w krótkich żołnierskich słowach wyłożyć, co i jak.

Trzeba podkreślić, że pierwsza kadencja to była rzeczywista kuźnia kadr samorządowców i okres harmonijnej współpracy. Raczyński dobrał sobie na wiceprezydenta niebędącego radnym Maćka, w zarządzie byli też Milka, Bączkowski, Dąbrowska-Chwastek, Kot. Wszyscy współpracowali ze sobą zespołowo, to trzeba koniecznie podkreślić – niesamowita harmonijna współpraca różnych indywidualności. Przewodniczący rady Niewodniczański to postać, która wyjątkowo chroniła Raczyńskiego. A potem stali się zaciekłymi przeciwnikami...

Wtedy wybierało się delegatów do sejmików samorządowych. Dowodem znaczenia tamtej rady był fakt, że Zaczyński został marszałkiem sejmiku ówczesnego województwa legnickiego, a Milka był w nim też znaczącą postacią. To w ogóle wyjątkowego intelektu człowiek – groźny, złośliwy, zawsze miał ripostę na każdy temat, ale przy tym ogromną wiedzę. Jaki zmysł Raczyńskiego – żeby takiego gościa uziemić, wziąć go do zarządu.

Trzeba też oddać Raczyńskiemu, że on bardzo walczył o to, by nie przenosić siedziby kombinatu do Warszawy. Co jakiś czas ten temat wraca. Gdzie w takim Lubinie taka światowa firma!? A przeniesienie władz KGHM do stolicy znacznie by zmniejszyło wpływy z podatków. I on to dobrze wiedział już wtedy, w pierwszej kadencji, kiedy takie tendencje zaczęły się pojawiać.

Raczyński od początku też miał poczucie, że historia miasta jest ważna i dlatego zatrudnił Jana Bilińskiego jako kronikarza miasta. Ja z kolei byłem inicjatorem wydawania *Biuletynu Lubińskiego*.

Lancet i encyklopedia prawa

Raczyński i wszyscy radni to same indywidualności. Zdzisław Jarosz znał na pamięć *Pana Tadeusza*. Karol Seweryniak był bardzo podejrzliwy, kiedyś poprosił o utajnienie głosowania, a potem się okazało, że chodziło o jakąś błahostkę.

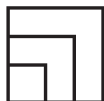
Małgorzata Rudniewska-Przygoda, dentystka, potrafiła dramatycznie podnieść głos, gdy dochodziło do konfliktów, by uspokoić emocje. Ona była jak lancet, precyzyjna do bólu,

rzadko wstawała, by bronić propozycji zarządu, ale jak już wstała, to ludziom szczeni opadały.

To jest zastanawiające, że w tym gronie niby trochę z przypadku, nie było oszołomów, a same tuzy. Kierowca Antoni Wysocki, pewnie miał najniższe wykształcenie, ale przecież tylko na papierze, bo to jest człowiek o ogromnej wiedzy i oryginalnych, radykalnych poglądach prawicowych. Kiedy mnie czasem spotkał w autobusie, to rozmawialiśmy wbrew zakazowi. I wie pani, on rano jeździł jako „siódemka”, po południu jako „jedyńka”. Bywało, że zapomniał się i pomylił trasę, bo tak się zagadał. Ludzie zaczęli na niego krzyczeć. Oryginał. Kiedy Antoni wstawał, to wszyscy na sali czekali, co powie, a Wawrzyniak z SdRP szykował się do boju. Kot umarzał zarzewie konfliktu pomiędzy nimi i zawsze robił to z poczuciem humoru.

Był jeszcze taki wcale nie najmniej znaczący radny Langner, nietuzinkowy. On miał chyba 21 lat wtedy, ale to była encyklopedia prawa, autorytet z ekonomii. Młody człowiek, ale wiedzę miał niesamowitą. Pamiętam, że kiedy była kwestia sprzedaży mienia komunalnego, wstał Langner, wówczas zwolennik Korwina-Mikkego i mówi: „Coś jest tyle warte, ile ludzie chcą za to zapłacić. Jak nie ma chętnych na kupno, to nawet za złotówkę można to sprzedać”. Rudniewska się oburzała, że to głupota, przecież budynek nie może być wart złotówkę, bo to jest miejskie mienie. Tego typu spory wtedy się toczyły.

Broniłbym 40-osobowego składu rady. To, że było ich tylu, zbliżało ich do mieszkańców, mieli z nimi lepszy kontakt. Polemizowałbym też z tym, czy bezpośrednio wybory prezydenta to dobre rozwiązanie. Obsługiwałem owych 40 radnych jako naczelnik kancelarii rady miejskiej, pisałem projekty uchwał, jeżeli to były inicjatywy rady, w siedzibie radnych byłem na co dzień i mogłem z bliska przyglądać się, jak tamta rada funkcjonowała. Wtedy radny to był gość, był pracodawcą prezydenta, każdy urzędnik czuł respekt przed radnym.



30 lat samorządu terytorialnego
Obchody rocznicy pod patronatem Prezydenta Miasta Lubina Roberta Raczyńskiego

To było jak lądowanie na Księżycu
Wspomnienia lubińskich samorządowców z pierwszej kadencji 1990–1994

Redakcja i opracowanie
Agata Grzelińska

Projekt graficzny i skład
Jacek Świerad

Biblioteka Muzeum Historycznego w Lubinie – zeszyt 15

Wydanie poszerzone

Wydawca
Muzeum Historyczne w Lubinie

Dyrektor
dr Marek Zawadka

ISBN - 978-83-66574-11-3
Copyright © by Muzeum Historyczne w Lubinie

Lubin 2020



ISBN - 978-83-66574-11-3

Lubin 2020